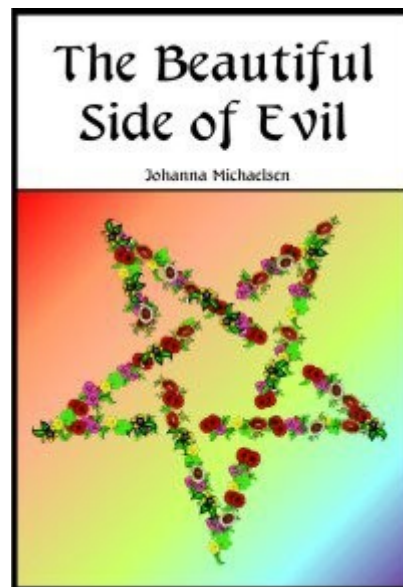


Johanna Michaelsen

PIĘKNA STRONA ZŁA



Tytuł oryginału:

The Beautiful Side of Evil (c) 1982 by Harvest House Publishers Eugene, Oregon 97 402

SPIS TREŚCI

Przedmowa	7
Spotkanie	10
Prapraciotka Dixie	17
Intruz	19
Punkt zwrotny	28
Wesleyan	34
Chapel Hill	46
Damon	52
Rozgniewane cienie	59
Kontrola Umysłu	75
Piękna strona zła	99
Znaki i cuda	124
Pachita	142
Exodus	154
Nowy fundament	178
Aksamitne szpony	191
Prawdziwe i fałszywe	209
Badajcie duchy	227
Wyzwolenie	237

"Wziął nóż i wyciął duży guz, który zawinęliśmy w czarny papier. Hermanito położył rękę na kilka sekund na ranie, po czym odsunął zakrwawioną watę i przykrył miejsce operacji czystym opatrunkiem.

- Skończyliśmy, drodzy bracia. Zabandażujcie go teraz i zabierzcie stąd, aby odpoczął.

Chalio, Adrew i tata pomogli wynieść Dawida z pokoju; pozostali wyszli, aby się nim zająć.

Zostałam w pokoju sama z Hermanito, który stał obok ołtarza. Nagle ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać. Były to łzy strachu a zarazem ulgi.

- Hermanito, Hermanito, co się stało? - zapytałam. Serce pękato mi na widok jego głębokiego smutku.

- Och, moja maleńka, staję się takim tchórzem. Dawid umarł wtedy, na stole. Siła stojąca za Hermanito przywróciła go do życia, ale śmiertelne wezwanie przeszło zbyt blisko."

"Jestem charyzmatyczką. Wierzę, że dary Ducha Świętego, a wśród nich proroctwo, czynienie cudów, uzdrowienie i dar języków rzeczywiście istnieją i działają wśród wiernych. Widziałam wielu ludzi uzdrowionych przez Boga dzięki modlitwie. Jednym z nich był mój mąż, który wyzdrowiał z dnia na dzień, gdy Bóg dosłownie scalił na nowo dwa bolesne, rozsypujące się kręgi jego kręgosłupa. Słyszałam prawdziwe słowa mądrości, językowi proroctwa: Oryginał istnieje. I właśnie dlatego szatan trzyma się, aby przy pomocy osób o zdolnościach nadmysłowych sfalszować dzieła Boże. Tego należy się po nim spodziewać."

Randolphowi, mojemu mężowi i przyjacielowi - za jego miłość.

Imiona, które z różnych przyczyn zostały zmienione, oznaczono gwiazdką przy pierwszym podaniu ich w tekście. Wszystkie pozostałe imiona należą do prawdziwych osób i tam, gdzie było to niezbędne, uzyskano pozwolenie na ich użycie.

Specjalne podziękowania Halowi i Kim Lindsey - mojej rodzinie - za ich miłość, nieustanne poparcie, wielki wkład pracy i żarliwą modlitwę. Tym którzy dostarczyli cennych komentarzy i uwag; byli wśród nich: Dr Os Guinness, Dr Walter Marcin, Brad Miner, H.G. Miller, John Odean, Pani Donna Odean, Ann Bare i Elliot Miller. Książka ta byłaby z pewnością o wiele lepsza, gdybym pełniej skorzystała z ich pomysłów. Za treść książki w jej ostatecznym kształcie ponoszę jednakże wyłączną odpowiedzialność. Mojej matce, Paschal J. Abkarian, za wiele godzin spędzonych cierpliwie na przemian na redagowaniu tekstu i pocieszaniu autorki. Mojemu ojcu, Albertowi L. Abkarianowi, za jego nieustanną troskę o moje bezpieczeństwo i powodzenie. Dziękuję, Tigerlily! Mojej siostrze ciotecznej, Rose Marie Johnson, za jej badania dotyczące Ciotki Dixie. Normie Van Deusen i Sondrze Hirsch za ich wytrwałość w żmudnym przepisywaniu rękopisów na maszynie. Kierownikowi i pracownikom Courtyard Cafe w Malaga Cove w Kalifornii za pogodne przyjęcie mnie jako części stałego wyposażenia ich zakładu na wiele tygodni pisania niniejszej książki.

PRZEDMOWA

Od piętnastu lat jesteśmy świadkami wzrostu zainteresowania zjawiskami nadprzyrodzonymi i ludzką psychiką w skali nie spotykanej dotychczas w historii. Fascynacja rzeczami uważanymi za cudowne lub przynajmniej niewytłumaczalne objęła prawie wszystkie sfery społeczne. Jest to szczególnie łatwo zauważalne w środowisku akademickim, gdzie jeszcze dwadzieścia lat temu zainteresowania tego typu zostałyby uznane za absurdalne. Teraz jednak, po prawie dwóch wiekach sceptycyzmu wobec "cudownych" zjawisk, świeckie społeczeństwo jest wprost bombardowane dowodami na istnienie sił wykraczających poza zwykłe badania naukowe. Większość głównych uniwersytetów otworzyła wydziały parapsychologii, na których studenci nie tylko uczą się historii, ale także zgłębiają tajemnice okultyzmu. Istnieją potwierdzone, niezbite dowody na to, że podczas praktyk okultystycznych zachodzą niewytłumaczalne zjawiska. Lekarze potwierdzili wiele przypadków nadprzyrodzonych uzdrowień dokonanych przez ludzi posługujących się niekonwencjonalnymi metodami leczenia. Główny problem, na jaki niniejsza książka stanowi odpowiedź, brzmi następująco: czy eksperymenty okultystyczne i nadprzyrodzone uzdrowienia są rzeczywiście dobre, czy też mogą one stanowić początek zniewolenia przez ledwo uchwytny byty duchowe o niewiarygodnie niszczyielskich zamiarach. Johanna Michaelsen jest w sposób niezwykle upoważniona do zabrania głosu na ten temat. Nigdy jeszcze nie spotkałem osoby, która z tak wielką szczerością i zaangażowaniem badała tę dziedzinę. Johanna studiowała ze mną w szkole Light and Power House przez kilka lat. O jej doświadczeniach rozmawialiśmy przez więcej niż osiem lat. Kiedy usłyszałem o nich po raz pierwszy, wątpiłem w ich prawdziwość. Były tak zupełnie niewiarygodne, że wprawiły mnie w zakłopotanie. Od tamtej pory jednak, miałem możliwość dokładnie zweryfikować wszystkie zdarzenia jej życia. Oświadczam, że ta zadziwiająca historia jest w całości prawdziwa. Johanna stała się ekspertem w dziedzinie okultyzmu i posiada dar mówienia o skutkach, do ludzi podejmujących podobne eksperymenty. Książka ta jest bardzo potrzebna w czasach, gdy stare prorocтва hebrajskich proroków wypełniają się na naszych oczach. Oni szczególnie przestrzegali przed czasami, gdy złe duchy będą czynić zwoownicze cuda. Z wielu stron doświadczamy wypełniania się tej przepowiedni. Słowa nie mogą wyrazić tego, jak bardzo polecam tę książkę. Uważam, że powinien ją przeczytać każdy człowiek, bez względu na to czy miał związki z okultyzmem czy nie. Wierzę, że może ona dosłownie uratować życie!

Hal Lindsey

SPOTKANIE

Napięcie stawało się prawie nie do zniesienia, gdy tak jeździliśmy przeszukując ciemne ulice Mexico City. Zabłądziliśmy. Spojrzałam na zegarek w świetle przejeżdżającego samochodu. Nic z tego. Prawie ósma. Byliśmy zbyt spóźnieni, aby obejrzeć jakkolwiek z zaplanowanych na dzisiejszy wieczór operacji. Poczułam jak wzbiera we mnie gniew, gdy Tom* po raz kolejny zatrzymał samochód, aby zorientować się w położeniu. Ani on, ani jego sekretarka, Nora*, nie przejmowali się, czy przyjeździemy do domu Pachity na czas. Oboje byli tam już wcześniej i widzieli ją przy pracy. Tom nawet sam poddał się operacji, w czasie której, jak twierdził, zardzewiały nóż myśliwski został mu wbity w rzepekę, w celu usunięcia dawnej kontuzji kolana. Nie użyto żadnego znieczulenia, ani środka dezynfekującego. Kolano miał teraz zupełnie zdrowe. Co do mnie, to wiedziałam, że mogę wybrać się innym razem, aby zobaczyć medium w czasie pracy. Ale Kim, moja siostra, wyjeżdżała z Meksyku nazajutrz. Była to dla mnie ostatnia szansa przekonania "No cóż, teraz już nic na to nie poradzę" - pomyślałam. "Wszystko w rękach Boga." Odetchnęłam głęboko i zmusiłam się do rozluźnienia mięśni.

-To tu! Dojechaliśmy! - zawołał Tom, z całej siły naciskając hamulec. Jednym szarpnięciem zaparkował przed starym targowiskiem. Gdy wysiadałam z samochodu, słodko gryzący odór gnijących odpadków szczypał mnie w nozdrza. Przez całe życie spędzone w Meksyku, gdzie się urodziłam i wychowałam, nie mogłam przyzwycząić się do tego zapachu. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i stanęliśmy przed brudnobiałą metalową furtką w ciągnącym się w obie strony murze. Noc była jasna i spokojna, ale gdy tak staliśmy, niebo nagle wypełniło się gromadą niewidocznych stworzeń, które wirowały i okręgały nas z szelestem podobnym do tego, jaki wydają wysokie drzewa w porywach wiatru. Serce waliło mi w gardle. Bałam się. Pozostali wydawali się nieświadomi poruszenia wokół nich, a ja nie powiedziałam nic.

Gdy Tom zastukał, metalowa brama otworzyła się. Weszliśmy na wąskie podwórko wypełnione ludźmi. Niektórzy wyglądali na bogatych, inni ubrani byli w łachmany świadczące o skrajnej nędzy, jednak wszystkich łączyła wspólna więź cierpienia, które kazało im sięgnąć w nieznaną po promyk nadziei i uzdrowienie, niemożliwe do osiągnięcia przez konwencjonalną medycynę. Jakiś rozgniewany głos wzbił się ponad przyciszony szept tłumu. Należał on do dystyngowanego wyglądającego siwiejącego mężczyzny z wąsami, ubranego w czarne spodnie i białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Jego postawa zdradzała nieomylnie, że zajmował tu ważne stanowisko. Kiedy zaczął wymachiwać pięściami w stronę Toma, dla pewności wycofałam się w stronę bramy.

- Jesteś wreszcie! - krzyczał - Chodź tu, chcę z tobą pomówić! Jego angielski był nienaganny, pomimo obcego akcentu.

- Czy wiesz co się tutaj dzisiaj dzieje? Opowiem ci. Jeden z twoich ludzi od Kontroli Umysłu (Silva Mind Control) zjawiał się tu dzisiaj z kamerami filmowymi i zażądał żeby mu pozwolono sfilmować Pachitę w czasie operacji. Powiedział, że ty go przysłałaś i nie chciał odejść, kiedy mu powiedziałem, że to nie jest pokaz cyrkowy dla ciekawskich. Wbił Pachicie szpilkę, żeby sprawdzić, czy jest w transie i o mało mnie nie uderzył, kiedy kazałem mu się wynosić. Głos trząsnął mu się ze zdenerwowania.

- Doktorze Carlos* niech się pan uspokoi! - wykrzyknął Tom - Nic o tym nie wiem. Ja go nie przysłałem.

- Nie wiem czy przysłałaś czy nie, ale powiem ci jedno: jeśli nie potrafisz upilnować swoich własnych ludzi i nauczyć ich szacunku do pracy, którą tutaj wykonujemy, nikt z was nie będzie tutaj mile widziany! Doktor Carlos odwrócił się i zniknął w tłumie. Tom potrząsnął tylko głową i wzruszył ramionami. Po chwili ruszył w tym samym kierunku, w którym udał się doktor.

- Kto to był? - zapytałam Norę, która stanęła obok.

- To doktor Carlos - odpowiedziała. - Jest chirurgiem, ma praktykę w tej okolicy. Pracuje od kilku miesięcy jako jeden z głównych pomocników Pachity i bardzo się nią opiekuje. Chodź, zaprowadzę cię do niej. Przepchnęliśmy się przez tłum, obok otwartego zlewu pełnego brudnych naczyń, potem obok cuchnącej ubikacji, oddzielonej tylko cienką plastikową zasłoną. Miałyśmy właśnie przekroczyć próg domu, gdy usłyszałam szelest na nadprożu nad moją głową. Spojrzałam w górę wprost w dwoje paciorkowatych oczu, połyskujących po obu stronach paskudnego dzioba.

- Och, nie przejmuj się nią - odezwała się Nora trochę za bardzo ściszym głosem. — To Ursula, oswojony sokół Pachity.

- Jakie to miłe - mruknęłam do Ursuli tonem, który miał zabrzmieć ujmująco. Weszliśmy do ciemnej poczekalni, zupełnie pustej, jeżeli nie liczyć metalowego biurka i odgłosu sokolich szponów wbijających się w drewno. Wejście do pokoju operacyjnego zakrywała kolejna plastikowa zasłona. Nora odsłoniła ją i przytrzymała, abym mogła wejść. Natychmiast przytłoczył mnie zapach wypełniający pokój, zapach zbutwiałych, zwiędłych róż i alkoholu. Elektryczne mrowienie, które poczułam już przy przejściu przez próg domu Pachity, stało się teraz znacznie silniejsze, jakby to ten pokój był jego źródłem. Modlitwa Pańska, którą powtarzałam w duchu od naszego przyjazdu, zmieniła się w wypełniający moją głowę wrzask. Zatrzymałam się w progu, nie mogąc postąpić dalej i rozejrzałam dookoła. Niewielki pokój oświetlała jedna tylko żarówka zwisająca z sufitu. Osiem do dziesięciu osób, wliczając w to doktora Carlosa, stało rozmawiając po cichu. Pod nagą, cementową ścianą po mojej prawej stronie znajdowała się szafka z lekarstwami, dalej rozklekotane drzwi wychodzące na podwórze. Po lewej stronie stał drewniany stół cały zajęty przez kłębki waty i butelki z alkoholem. Ale najbardziej zwracał uwagę okazały, piętrowy ołtarz wypełniający lewy róg pokoju. Pokrywały go całymi tuzinami słoiki i wazony wypełnione gnijącymi różami. Obraz Chrystusa na krzyżu i duży drewniany krucyfiks otaczały białe świece. Obok krucyfiks, w centrum ołtarza, znajdowała się brązowa figurka przedstawiająca Cuauhtemocę, księcia Azteków, który z pogardą przyjął tortury i śmierć z rąk hiszpańskich konkwistadorów. U stóp figurki leżała para chirurgicznych nożyczek i zardzewiały nóż myśliwski. Mój wzrok powędrował w prawy koniec pokoju. Tam, na kozetce, siedziała stara, mądra kobieta. Jej nogi okrywał zniszczony koc. Palila papierosa rozmawiając z Tomem, który siedział przed nią. Przyglądałam się jej sękatym rękóm, poruszającym się często dla podkreślenia jakiegoś słowa lub zwrotu, choć jej gesty zdradzały zmęczenie. Przecheszyła dłońmi krótkie, szpakowate włosy, potem przesuwała nimi po twarzy, którą teraz zaczęła pocierać, jakby wyczerpana. Podeszłam bliżej i przyglądałam się uważnie, nie mogąc w pierwszej chwili pojąć, co widziałam na jej dłoniach. Aż do nadgarstków były one pokryte zaskorupiałą, skrzepłą krwią. Nora i Kim wystąpiły naprzód, aby przywitać się ze starą kobietą.

- Gdzie jest Johanna? - zapytał Tom, rozglądając się dookoła.

- Chodź - ponaglił mnie z uśmiechem Pachito, to jest Johanna, jedna z moich najlepszych uczennic.

Podeszłam i ujęłam jej wyciągniętą rękę w swoją, patrząc w zmęczone, bardzo surowe prawe oko.

Lewe było na wpół przymknięte, jakby na skutek wylewu. Poczułam się naga, kiedy jej wzrok nagle skoncentrował się na mnie. Spojrzenie miała równie ostre i przenikliwe jak jej sokół.

Ochryplym mruknięciem skwitowała moje przybycie, potem spojrzała z powrotem na Toma, a ja wycofałam się na środek pokoju. Odwróciłam się, aby jeszcze raz popatrzeć na ołtarz. Fale delikatnego światła zdawały się teraz emanować z figurki wojownika i stojącego obok krucyfiksu.

- Panie Boże, - wyszeptalam - dziękuję Ci za to miejsce. Po latach życia w strachu doprowadziłeś mnie nareszcie do świątyni światłości. Pozwól mi tutaj służyć Tobie, Panie. Moja modlitwa została przerwana przez ugrzecznionego młodego człowieka.

- Proszę powiedzieć, co pani czuje? - zapytał. Z wysiłkiem oderwałam wzrok od świetlistego ołtarza.

- Nie jestem pewna - odpowiedziałam. Czuję, że znalazłam się w obecności mojego Boga. Młody człowiek pokiwał głową.

- A więc musi pani dotknąć figurki Cuauhtemoca! - zawołał. - Proszę iść i przyłożyć palce do figurki trzy razy! W jego głosie dało się słyszeć ponaglenie. - Proszę iść!

Zawahałam się, nagle przestraszona widokiem wciąż jeszcze świecącej figurki. "Ojciec nasz, któryś jest w niebie"... Wyciągnęłam rękę i końcami palców dotknęłam podobizny azteckiego wojownika, który był teraz duchem przewodnim Pachity, sprawcą wszystkich cudów, o jakich mi opowiadano. Przy trzecim dotknięciu słaby prąd przebiegł mi przez palce. Oddech miałam przyspieszony. Czułam się dziwnie lekka, oddalona. Nawet Ojciec nasz, które wciąż brzmiało w mojej głowie prawie bez mojej wiedzy, ucichło. Spowijał mnie głęboki, aksamitny spokój, miękki jak płaszcz, spływający z ramion księdza. Mężczyzna wziął mnie za rękę i zaprowadził do starej kobiety na kozetce.

- Pachito, musisz porozmawiać z tą dziewczyną! Zmęczona twarz zwróciła się ku mnie i Pachita przeszła mnie przerażająco skupionym spojrzeniem, patrząc mi prosto w oczy. Przez wiele sekund nie padło ani jedno słowo. Potem pokryta krwią ręka chwyciła moją i przyciągnęła mnie bliżej.

- Jesteś bardzo wrażliwa, bardzo wrażliwa, prawda? - powiedziała cicho - Czy jesteś medium? Jej słowa zaskoczyły mnie i zawahałam się.

- No - nalegała - czy jesteś medium?

- Ja... nie jestem pewna Pachito - odpowiedziałam - Czasem wydaje mi się, że tak.

- Dobrze, moja mała, skończ z Tomem kurs Kontroli Umysłu, a potem wróć tutaj. Potem dodała, jakby do siebie: zobaczmy, zobaczmy.

PRAPRACIOTKA DIXIE

Ciotka Dixie zmarła wkrótce po przyjeździe na świat mojej mamy. Była to siostra mamy pradziadka. Większość rodziny bała się jej i jej dziwnych zdolności. Bywały jednak czasy, gdy oklaskiwały ją koronowane głowy Europy, w tym królowa Wiktoria i książę Walii. Jej fotografie pojawiały się w gazetach w Europie i Ameryce przez ponad piętnaście lat.

Urodzona w Milledgeville w Georgii, Dixie Jarratt odkryła swój niezwykły talent podczas przedstawienia dawanego przez Lulę Hurst, jedną z tak zwanych "cudownych elektrycznych dziewcząt", które stanowiły swego rodzaju modę w Georgii u schyłku ubiegłego wieku. Według jednego z artykułów w prasie, przedstawienie "panny magnes z Georgii" trwało około dwóch godzin, w którym to czasie podnosiła ona na przykład krzesło nie trzymając go, a tylko dotykając. Tuzin mężczyzn nie mógł postawić krzesła z powrotem na podłodze, ani oderwać od niego jej rąk bez porządnej szarpaniny. Nie byli oni także w stanie zabrać jej kija bilardowego trzymanego w dwóch palcach lub podnieść go z podłogi, gdy go tam położyła. Kiedy dotknęła otwartego parasola o metalowym szkielecie pokrycie nagle zostało zerwane jakby od uderzenia pioruna. Kolejna próba polegała na podniesieniu jedną ręką krzesła, na którym siedział potężny mężczyzna i na utrzymaniu go w równowadze na jajku trzymanym w dłoni.

Artykuł stwierdzał dalej, że była ona poddana "wielu innym próbom i w żadnym mieście, gdzie się pojawiła nikt z oglądających przedstawienie nie wątpił w prawdziwość jej dziwnych zdolności." (1) Ciotka Dixie znana była również jako spirytystka i medium. Często podczas seansu, w którym uczestniczyła, twarze zmarłych pojawiały się na ścianach, a cały dom trząsł się jakby szarpany przez olbrzymiego teriera. Budziła się z transu ze straszliwym bólem głowy, nie pamiętając nic z zaistniałych wydarzeń. Ktoś ze starszych członków rodziny pamiętał, że potrafiła odnajdować zaginione przedmioty i podczas transu dysponowała nadnaturalną siłą. Zmarła w latach dwudziestych naszego wieku, samotna, zapomniana i wynędzniała. Dopiero w czerwcu 1975, dwa lata po tym wszystkim, co mi się przydarzyło, dowiedziałam się o jej przepowiedni, mówiącej że: Ktoś w trzecim pokoleniu - moim pokoleniu - miał odziedziczyć jej zdolności.

INTRUZ

- Jesteś pewna, że pamiętasz jak się tym posługiwać? Spojrzałam na trzymany przez tatę automatyczny pistolet kaliber 32.

- Myślę że tak, tatusiu - odpowiedziałam, ostrożnie biorąc pistolet - Muszę tylko odciągnąć kurek, wycelować, a potem nacisnąć spust. Zostało tylko kilka miesięcy do moich dwunastych urodzin i tata uważał, że już czas, abym nauczyła się posługiwać bronią, którą trzymał w domu na wypadek niebezpieczeństwa. Nasze osiedle znajdowało się na skraju miasteczka Cuernavaca, które w tamtych czasach było jeszcze uroczą, staroświecką osadą, położoną w zielonej dolinie, czterdzieści pięć mil na południe od Mexico City. Tata wybudował tutaj nasz duży, nowoczesny dom w stylu farmerskim sześć lat temu, kiedy osiedle dopiero powstawało. Wielu Europejczyków i Amerykanów budowało tu teraz swoje domy, ale aby dostać się do miasta wciąż jeszcze trzeba było jechać dwadzieścia minut pełną drogą, która podczas długiej pory deszczowej zamieniała się w zdradliwe grzęzawisko. Minie jeszcze rok zanim osiągną nas linie telefoniczne. Jednak największym zmartwieniem taty był fakt, że duża liczba bezprawnych osadników zajęła niedawno ogromne tereny położone około mili na północny wschód od nas. Ziemia ta należała do grupy Amerykanów, którzy zaczęli już nawet brukować drogi i doprowadzać elektryczność, kiedy ich teren został zajęty. Osadnicy składali się głównie z uciekinierów z sąsiedniego stanu Guerrero - morderców, złodziei i ludzi uciekających przed zemstą klanów, którzy po prostu weszli na ten teren razem z rodzinami i zawładnęli ziemią na mocy ustaw Rewolucji 1910 roku: "Ziemia należy do tego, kto ją uprawia" i "Posiadanie stanowi dziewięć dziesiątych prawa".

W ciągu jednej nocy wyrosły tam szałas, a prymitywne motyki wzruszyły ziemię przeznaczoną kiedyś pod eleganckie domy. Policja ościągła się z wejściem na teren osady po ostatnich zamieszkach, w czasie których zabito kilku funkcjonariuszy. Nawet armia meksykańska nie była w stanie rozgromić wyjętych spod prawa. Osadnicy zwykle pozostawiali obcokrajowców w spokoju, chociaż w sobotę wieczorem słyszeliśmy, jak wielu z nich rozrabia i śpiewa na naszych ulicach, strzelając przy tym w pijackim zamroczeniu. Tata miał ostatnio do czynienia z jednym z wyjętych spod prawa vaqueros. Człowiek ten wpuścił swoje bydło na ziemię należącą do nas. Kiedy tata dowiedział się o tym, zatknął czterdziestkę piątkę za pasek swoich białych bermudów i w języku hiszpańskim, zniekształconym niemal nie do poznania nawet po piętnastu latach spędzonych w Meksyku, rozkazał wysokiemu, przystojnemu vaquero (który także był uzbrojony), aby zabrał "swoje brudne krowy" z jego ziemi. Vaquero mógł zastrzelić tatę, zanim którykolwiek z nich zdążyłby mrugnąć okiem. Był z tego znany. Zobaczył jednak śmiertelny błysk w oczach taty i najwyraźniej poczuł respekt wobec tego odważnego, ale z całą pewnością zwariowanego gringo. (Tata nie wiedział, że vaquero uczył mnie doić te "brudne krowy", i że żałowałam ich odejścia). Po tej konfrontacji tata rozpoczął co tygodniowe strzelanie z pistoletu, aby przypomnieć wszystkim w zasięgu słyszalności strzału, że brał rzecz na serio i nie miał ochoty na żarty. Tego wieczoru jednak, tata przypominał mi jak posługiwać się bronią z bardziej konkretnych powodów. Wybierali się gdzieś we dwoje z mamą. Kim i ja po raz pierwszy miałyśmy zostać same w domu. Zawsze miałyśmy przynajmniej jedną mieszkającą z nami służącą, która się nami zajmowała, ale ostatnią wezwano nieoczekiwanie do domu poprzedniego dnia i nie było czasu znaleźć kogoś na jej miejsce.

- Jesteś pewna, że dacie sobie radę? - Na twarzy taty malowała się troska.

- Na pewno, tato - odparłam z przekonaniem.

- No - powiedział śmiejąc się - jeśli ktokolwiek miałby się tu włamać, to na widok ciebie wymachującej tym pistoletem ucieknie z wrzaskiem w przeciwnym kierunku. Chodź. Sprawdzimy jeszcze; czy wszystko jest pozamykane na klucz. Poszłam za tatą do jego pokoju i przyglądałam się, jak zamyka na klucz rozsuwane drzwi prowadzące do ogrodu i zaciąga zasłonę. Zaryglował okna, a potem przeszedł do pokoju, który dzieliłyśmy z Kim, aby sprawdzić czy obydwójce drzwi i wszystkie okna są porządnie zabezpieczone. Ten sam rytuał powtórzył się na piętrze, w salonie i pokojach dla służby.

- To nie potrwa długo, kochanie - powiedziała mama całując mnie na dowidzenia. Wyglądała tak uroczo w delikatnej popołudniowej sukni.

- A ty - powiedziała do Kim - kładź się szybko do łóżka jak grzeczna dziewczynka. Hungry będzie na dworze, żeby pilnować domu. Houdini może zostać z wami. Hungry był najczystszy kundlem, dokładną kopią żółtego psiska z książki Gipsom, ale tata zawsze upierał się, że należy on do rasy tropicieli lwów z gór Abisynii, cokolwiek miałyby to oznaczać. Myślę, że jego zdaniem dodawało to temu biednemu psu egzotycznej dzikości.

- Aha, nie kłopot się otwieraniem bramy, wziąłem klucze ze sobą - powiedział tata całując mnie w czoło, a potem zamknął za sobą drzwi i zaryglował je od zewnątrz. Słyszałam jak przyczepia oporny klucz do łańcuszka, nie chcąc go zgubić tak jak poprzedniego kompletu miesiąc wcześniej. Był to jedyny klucz do tego nieużywanego zamka.

- Pa, mamó! Pa, tato! - zawołała Kimmy.
- No, mała - powiedziałam, zwracając się w jej stronę - Słyszałaś co powiedziała mama, czas do łóżka. Kim ociągała się.
- Idź już, przyniosę ci twój sok ananasowy. W wieku dziewięciu lat moja siostra była dosłownie uzależniona od soku ananasowego przed pójściem spać. Patrzyłam, jak połyka swoją miksturę, po czym otuliłam ją kołdrą. Usadoviłam się w swoim łóżku z pierwszym tomem encyklopedii, który właśnie czytałam: w przeciwnym końcu pokoju widziałam śpiącą Kim.
- Chodź, Houdi! Mały, biały pudełek zwinął się w kłębek u moich stóp. Godziny mijały szybko. Potem usłyszałam kroki. Stukanie wysokich szpilek mamy, a potem ciężkie stąpanie taty zabrzmiało na sześciu schodkach oddzielających salon od sypialni. Houdi poderwał się i zaczął cicho warczeć. Wysokie obcasy zatrzymały się w pokoju mamy. Drzwi skrzypnęły przy otwieraniu, potem zatrzymały się. Potem kroki ojca zatrzymały się w jego pokoju. Kimmy usiadła na łóżku, przestraszona i potarła oczy.
- A, mama i tata wrócili - mruknęła i zapadła z powrotem w sen.
- To dziwne, pomyślałam. "Nie słyszałam jak otwierali bramę. Och, zamknij się; Houdi!" Pies wciąż jeszcze warczał leżąc na łóżku. Z dworu dobiegło mnie wściekłe ujadanie i wycie. "To Hungry. Pewnie znowu jakieś krowy na ulicy", pomyślałam wstając z łóżka, żeby wyrzucić do przedpokoju. Otworzyłam drzwi do pokoju taty, żeby powiedzieć mu dobranoc.
- Tato? - zawołałam. - Tatusiu? Nie było go. Pomyślałam sobie, że pewnie wyszedł do ogrodu. Zastukałam do pokoju mamy. Żadnej odpowiedzi. Pokój był pusty. W żaden sposób nie mogła mnie minąć wychodząc.
- Coś tu jest nie tak - powiedziałam cicho, nagle przestraszona. Pobiegłam z powrotem do mojego pokoju i chwyciłam pistolet.
- Chodź, Houdi! - piesek zeskoczył z łóżka i podszedł za mną do drzwi. Zatrzymał się na progu i wściekle szczerząc zęby nie chciał pójść dalej. Kim płakała cichutko przez sen i niespokojnie przewracała się w łóżku. Wyszłam do przedpokoju i wspięłam się na schody. Pistolet ciążył mi w dłoni. Na górze zatrzymałam się. Poczulałam śmiertelny, lepki chłód, jakbym nagle weszła do ogromnej lodówki pełnej nieżywych ryb. Przecucie czegoś złego wisiało w powietrzu i zaczęłam drżeć. Drzwi frontowe stały otworem.
- Mamó? Tato? Cisza, słyhać tylko wycie psa na dworze. Niepewnie przeszłam przez pokój i zamknęłam drzwi. Cichy, niski śmiech zaczął rozbrzmiewać w mojej głowie, śmiech, jakiego nigdy przedtem nie słyszałam. Ogarnęło mnie przerażenie. Powoli, z wysiłkiem dobrnęłam do krzesła w rogu i wycelowałam pistolet w drzwi. Spojrzałam na zegarek: była jedenasta dwadzieścia. Trzydzieści pięć minut później samochód zatrzymał się na naszym podjeździe. Usłyszałam odgłos otwierania i zamykania ciężkiej, metalowej bramy. Silnik samochodu zgasł. Siedziałam na krześle i czekałam z pistoletem wycelowanym w drzwi.
- Hungry, skończ z tym wściekłym jazgotem! zawołał tata - Nie ma tu żadnych krów, głupi psie. Słyszałam, jak podawania kluczami. Podbiegłam do drzwi i otworzyłam je na oścież, wciąż jeszcze z pistoletem w ręku.
- Co, do...! - wykrzyknął zdumiony ojciec - Czy ktoś próbował się włamać? Nic ci nie jest? ...dodał.
- Serce wciąż jeszcze waliło mi w gardle, ale powoli i z namysłem opowiedziałam mu co się stało:
- Ktoś musiał się włamać, a potem został przepłoszony - powiedział, gdy skończyłam.
- Ależ tato, obie z Kim słyszałyśmy wasze kroki i trzaskanie drzwiami! - zaprotestowałam.
- I słyszałam, jak ktoś się ze mnie śmiał!
- Naprawdę pozwalasz swojej wyobraźni zapanować nad sobą. Wybij sobie to z głowy i idź spać. Ponownie zaryglowałam drzwi i zszedł na dół. Tata był Nowojorczykiem, i chociaż reżyserował w radiu pierwsze historie grozy z serii "Wewnętrzna świątynia", to do wydarzeń tego typu odnosił się sceptycznie, szczególnie we własnym domu.
- Mamó, ja naprawdę tego nie wymyśliłam. Coś się tutaj wprowadziło. Nie czujesz? - patrzyłam na nią w napięciu. Mama nic nie odpowiedziała, tylko przytuliła mnie mocno do siebie.

Istota, która wprowadziła się do naszego domu nie należała do przyjemnych. Wyglądało na to, że straszenie mnie dostarcza jej ponurej przyjemności. Którejś nocy, kilka dni po jej pierwszym pojawieniu, obudziłam się nagle z głębokiego snu. Jakiś głos jęczał cichutko, jakby z bólu. Oczy omal nie wyskoczyły mi z orbit. W nogach mojego łóżka, wisiała zawieszona w powietrzu makabrycznie groteskowa głowa, oderwana od ciała i brocząca gęstą krwią. Gęste, czarne włosy i potężna broda przesiąknięte były krwią, z otwartych ust, wydobywały się bezładne jęki. Leżałam sparaliżowana strachem, z oczami wlepionymi w tę zjawę. Potem jęki zmieniły się w cichy, głęboki śmiech, który stopniowo ścichł, po czym głowa zniknęła. Czasami wchodziłam wieczorem do pokoju i znajdowałam na mojej poduszce odrąbane ciemne, włochate ramię, które po chwili rozwiewało się, a wokół mnie rozbrzmiewał ten sam powolny śmiech. Na przestrzeni kilku lat, odeszło z naszego domu wiele służących, albo odmawiało pozostawania w nim na noc, twierdząc, że coś w nim straszy. Jednak najwyraźniej to coś nigdy nie ujawniło się moim rodzicom.

Z tamtych lat pozostały mi także inne szczęśliwe wspomnienia wycieczek do okolicznych piramid, by zbierać tam grotę strzał i kamienie, przytulania mięciutkich kociąt i buszowania wśród soczystej zieleni ze zgrają psów, gdy pomagałyśmy mamie w uprawie krzewów hibiskusa. Były też słoneczne dni spędzone z tatą na brzegu basenu i zawzięte rozgrywki w warcaby, w czasie których czasem pozwalał mi się pokonać. Nigdy też nie zapomnę delikatnego południowego akcentu mamy, ledwie dosłyszalnego, gdy czytała nam "Pajęczynę Charlotty" lub "Małego Stuarta", a który rozbrzmiewał w całej swej krasie w zetknięciu z południowymi bajkami Wuja Remusa. Ku jej wielkiemu rozczarowaniu, nigdy nie mogła przebrnąć z nami dalej niż przez pierwsze kilka stron; byłam już na drugim roku studiów, gdy wreszcie dowiedziałam się co to był "Bre'r Rabbit" (2). Pamiętam także lekcje baletu. Były one czarujące, jeśli nie liczyć złamanej nogi podczas ćwiczenia skoków w ogrodzie i nieudanego popisu, który lepiej pominąć milczeniem. Ale najlepiej pamiętam siostry zakonne. Siostry Najświętszego Serca Marii, wówczas bardzo jeszcze surowo odziane, pojawiły się w Cuernavaca w samą porę, aby przyjąć mnie do trzeciej klasy. Wyglądały wspaniale. Chodząc po obitych boazerią korytarzach i pod marmurowymi kolumnami starej szkoły, poruszały się w swoich habitach w atmosferze wręcz nietykalnego dostojęstwa i świętości. Wrażenie to potęgował jeszcze fakt, że byłyśmy zobowiązane ukłonić się przy każdym spotkaniu z nimi. Pod zewnętrznym pozorem wyniosłości były to jednak ciepłe i troskliwe kobiety, które przez większość czasu starały się jak najlepiej przygotować nas do życia, a w szczególności do studiów. Z tego też powodu zawsze będę gorzko żałować, że musiałam ukończyć szkołę rok wcześniej, nim siostra Sara rozpoczęła wykłady z literatury światowej.

PUNKT ZWROTNY

Biskup Pike wraz z rodziną spędził cały miesiąc w Cuernavaca w lecie 1963 roku. Tego lata kończyłam czternaście lat. Przewodniczący naszego kościoła, któremu przypadł zaszczyt podejmowania biskupa był akurat chory, tak więc zadanie to powierzono mojemu ojcu, który był zastępcą przewodniczącego kościoła. Nasze rodziny polubiły się od pierwszego wejrzenia I, i dużą część tego miesiąca spędziliśmy razem. Pamiętam ożywione dyskusje prowadzone wieczorami w naszym domu, podczas których biskup przedstawiał temat jakiejś bardzo skomplikowanej książki własnego autorstwa, a mój ojciec występował z propozycjami pomysłowych, jeśli nawet nie całkiem odpowiednich tytułów. Biskup przywiózł ze sobą troje ze swych dzieci. Connie, może o rok starsza ode mnie, była szczupłą, atrakcyjną, i miała ogromne powodzenie u amerykańskich chłopców, którzy przyjechali tu na wakacje. Natomiast jego dwaj synowie stanowili typowy przykład dzieci kaznodziejów. Chris miał trzynaście lat i chyba za mną nie przepadał. Któregoś razu złapał mnie za palec i wykręcił mi go tak, że aż się popłakałam. Jednak bardziej niepokoił mnie drugi z nich, Jim. Już w wieku siedemnastu lat, często popadał w ponury, milczący nastrój, który pod wpływem alkoholu zmieniał się w wybuchy nagłej złości. Trudno było mi zrozumieć jego otwarty bunt i publiczne, spektakularne ataki gniewu. Bałam się go, a jednak w jakiś sposób czułam się z nim związana: Wyczułam w nim niezrozumiane wołanie o pomoc, takie samo, jakie i ja nosiłam w moim wnętrzu. Przez następne lata często myślałam o nim. W lutym 1966 roku, młody Jim już nie żył. Zastrzelił się w nowojorskim hotelu, będąc pod wpływem narkotyków.

Jego śmierć i głośnie wówczas nadnaturalne wydarzenia, które wtedy nastąpiły, stały się punktem zwrotnym mojego życia. Serce podskoczyło mi do gardła, gdy usłyszałam, że biskup brał udział w seansach spirytystycznych w celu skontaktowania się ze swoim nieżyjącym synem. Nie byłam jedyną osobą doświadczającą rzeczy niewytłumaczalnych! Może w poszukiwaniu prowadzonym przez biskupa znajdę wreszcie klucz, który pomoże mi zrozumieć otaczające mnie istoty i nauczy mnie postępowania z nimi. Zachłannie czytałam teraz wszelkie publikacje na temat okultyzmu, jakie tylko mogłam znaleźć. Miewałam dziwne sny, w których widziałam siebie w dziwnych miejscach i w różnych postaciach, a jakiś głos mówił mi, że są to wspomnienia z moich poprzednich wcieleń. Moje myśli krążyły wokół śmierci i spokoju, jaki ona przynosi. Czasem czułam się jakbym była uwięziona we własnym ciele, jakbym została wrzucona w nie przez pomyłkę i pragnęłam uwolnić się od niego, chociaż nigdy nie odważyłabym się odebrać sobie życia.

Im bardziej się w to zagłębiałam, tym bardziej zdawałam sobie sprawę z niemal namacalnej obecności duchów, z których nie wszystkie wydawały mi się złe. Widziałam ciemne postacie obok mojego łóżka, słyszałam ich ciche nawołujące mnie głosy. Zdradzały mi one myśli pewnych ludzi, które często przeczyły wypowiedzanym przez nich słowom. Nieufność i antypatia, jaką w wyniku tego darzyłam większość ludzi, powoli zmieniała się w pogardę. Moje uczucia ukrywałam pod płaszczykiem opanowania i spokoju do tego stopnia, że pewien stary hiszpański ksiądz nazwał mnie nawet mistyczką. Zaufaniem darzyłam tylko jedną osobę - malutką meksykańską zakonnice, wspaniałą Matkę Bernardo, która zajęła się mną jak małym, wystraszonego kociakiem. Jej towarzystwo i troska o mnie łagodziły przytłaczającą depresję ostatnich dwóch lat i czyniły moje życie prawie znośnym.

Szkoła w tym czasie stanowiła dla mnie zło konieczne. Przez wszystkie lekcje brnęłam z wysiłkiem i nie interesowałam się właściwie żadnymi z przedmiotów. Uczylałam się, bo tego ode mnie wymagano. Któregoś dnia, gdy byłam w ostatniej klasie, na lekcji poruszono temat czarów. Czy były prawdziwe? Większość dziewcząt wypowiadała się sceptycznie. Jedna z nich stwierdziła, że to tylko przesady, a inna, że są to zupełne głupoty.

- Jak możecie być tego pewne? - zapytałam w końcu, sfrustrowana ich postawą, która moim zdaniem dowodziła tylko ignorancji - Wokół nas istnieje inny wymiar, bliżej niż się nam wydaje wypełniony istotami innymi niż my. Czy rzeczywiście jest to takie nieprawdopodobne, że istnieją ludzie, którzy je widzą, a może także posiadają sekret panowania nad tymi siłami? Może nawet ktoś z nas uczy się tej sztuki - dodałam cicho. Zapadło niezręczne milczenie, zanim siostra prowadząca lekcję ogłosiła przerwę.

- Johanno, zaczekaj! - Terry, która wyszła z klasy chwilę po mnie, wołała za mną w korytarzu.
- Chciałam cię zapytać czy te siły o których mówiłaś, mogą mi pomóc w odzyskaniu czegoś? Czy one naprawdę działają?
- O co ci chodzi, Terry? - zapytałam.
- Pewnie pomyślisz, że to głupie - zaśmiała się nerwowo - Mój chłopak i ja zerwaliśmy ze sobą w zeszłym tygodniu. Czy mogłabyś mi pomóc go odzyskać. Poprzedniego dnia, czytałam przypadkiem coś o pewnej czarownicy z Anglii, która miała taki sam problem. Będąc sama w środku lasu, dokonała ona dziwnego obrzędu, używając do tego dwóch figurek z gliny, magicznego koła, krótkiego drewnianego kija i świeżego, surowego serca owcy i magicznych zaklęć. Jej narzeczony wrócił do niej w przeciągu tygodnia. Prawdę mówiąc, wszystko to wydawało mi się zbyt krańcowym posunięciem, gdyż zawsze bałam się czarów z powodu ich, jak mi się już wtedy wydawało, otwarcie satanistycznego zabarwienia. Jeśli coś wpadło mi w ręce, to czytałam na ten temat, ale nigdy nie zajmowałam się tym na poważnie. Poza tym, większość obrzędów wydawała mi się trochę przesadzona i śmieszna. Ale jeśli Terry potrzebowała takiego rytuału i była na tyle zdesperowana, by uważać że jej chłopiec wart jest takiego zachodu, to dlaczego miałabym jej w tym nie pomóc. Opisałam jej bardzo szczegółowo ten obrzęd, uśmiechając się w duchu, gdy jęknęła słysząc o sercu owcy, ale powiedziała że zrobi i to. Pod koniec tygodnia Terry zadzwoniła do mnie. Wszystko było już przygotowane. Miała jednak niewielki kłopot - serce owcy. Czy to naprawdę jest konieczne?. Tak... aha... Czy w takim razie nie pomogłabyś mi go zdobyć?
- Oczywiście, że nie. Musisz je zdobyć sama. To część obrzędu - odparłam, przyznając się po cichu, że surowe serce owcy budziło we mnie takie samo obrzydzenie, jak i w niej. Byłam zdumiona, że rzeczywiście chciało jej się pokonywać wszystkie te trudności. Przez kilka dni Terry próbowała namawiać mnie do pomocy. Jednak to, co najpierw mnie tak bawiło, zaczęło mnie w końcu irytować. Wreszcie któregoś ranka, gdy znowu prosiła mnie o pomoc, przerwałam jej mówiąc: Terry, mam już dość tego nalegania, lepiej zostaw mnie w spokoju i uważaj na ręce!
- Co to ma znaczyć? - zapytała.
- Nic - odpowiedziałam ze złością, zastanawiając się dlaczego w ogóle przyszło mi to do głowy
- Po prostu daj mi spokój.

Następnego dnia Terry spóźniła się do szkoły, jej ręce przybrały czarno-fioletowy kolor. Skóra do wysokości przedramion była skrobana i szorowana tak intensywnie, że wyglądała jak czerwona ze złości. Wyjaśniła, że poprzedniego wieczoru pomagała koleżance farbować włosy i rękawice okazały się nieszczelne. Ale wyraz jej twarzy wyraźnie wskazywał na to, że jej zdaniem rzuciłam na nią urok i spowodowałam ten wypadek. W każdym razie nie usłyszałam nic więcej o sercu owcy. Nieco później, podeszło do mnie na korytarzu kilka jej przyjaciółek. Nagle jedna z nich wyciągnęła krzyż i zbliżyła go do mojej twarzy z zapalem godnym doktora Von Helsinga spotykającego Drakulę, aby sprawdzić czy jestem prawdziwą czarownicą i czy zacznę, na ten widok, wić się po podłodze. Jak na ironię, to właśnie krzyża chwytalam się w desperacji, gdy zamykał się wokół mnie krąg rozpacz i samotności. Co do Terry, to nigdy nie wracała już do tego tematu, ale gdy miesiąc później zaraziłam się zapaleniem wątroby podczas epidemii panującej w szkole, przysłała mi kartkę w której, trochę żartobliwie ale jednoznacznie, wspominała o uroku który rzuciła na mnie z zemsty.

WESLEYAN

- Ty idiotko, kiedy wreszcie nauczysz się trzymać język za zębami!?! - złościłam się na samą siebie.

Stałam na drugim brzegu jeziora leżącego obok terenu szkoły. Gęsty las za moimi plecami pogrążył się w ciemności, słońce powoli zniknęło mi z oczu, a niezliczone żaby i świerszcze jak na komendę zaczęły swój nocny koncert. Nie minęły trzy tygodnie, odkąd przybyłam do Wesleyan College w miasteczku Macon w Georgii, a po raz kolejny udało mi się zyskać imię kogoś, kim na pewno nie byłam - czyli czarownicy.

W pierwszym dniu zajęć dr Bryce* przechadzając się tam i z powrotem po klasie przyglądała się krytycznie grupie przyszłych aktorek i reżyserok zaczynających właśnie naukę.

- Dziewczęta, bądźcie pewne jednego: albo na prawdę przyłożycie się do pracy na tych zajęciach, albo skrócę was o głowę! Wyraz jej oczu i Holenderski akcent, dzięki któremu wymawiała wyraźne "er", zdawał się rozwiewać w umysłach słuchaczek wszelkie wątpliwości co do wątpliwości tych pogrózek.

- Jeżeli, pomimo to, jesteście zdecydowane zająć się teatrem - ciągnęła dalej - to musicie nauczyć się rozwijać swoje ciało i umysł, jakie by one nie były - dodała krzywiąc się. Ale przede wszystkim, musicie rozwinąć jedną zdolność, bez której żadna z was nie znajdzie miejsca w teatrze: wyobraźnię! Musicie zacząć interesować się wszystkim, co pobudza wyobraźnię; co jest odmienne... a nawet tajemnicze...

- Na przykład okultyzmem? - słowa te wyrwały mi się, zanim zdołałam je powstrzymać.

Dr Bryce zatrzymała się, odwróciła i wpatrywała we mnie przez chwilę, tak jak i pozostali w klasie.

- Być może - powiedziała powoli, unosząc żartobliwie jedną brew - być może.

Kilka dni później siedziałam w teatrze, czekając na rozpoczęcie obowiązkowego cotygodniowego nabożeństwa. Obok siedziało kilka dziewczyn, z którymi chodziłam na zajęcia z aktorstwa. Zaczęła się rozmowa na temat dr Bryce - cóż to za fascynująca osoba, a jakie ma wspaniałe poczucie humoru i jak ciekawie prowadzi zajęcia.

- No, właśnie - odezwała się jedna z dziewczyn. Co właściwie miałaś na myśli mówiąc o okultyzmie, wtedy na zajęciach? Znasz się na tym?

- No, tak trochę - odparłam, mile polechtana nagłym zainteresowaniem i podziwem, jaki pojawił się na ich twarzach. Może te dziewczyny mnie zrozumieją, nie tak jak tamte w Meksyku, myślałam naiwnie.

- Opowiedz nam o tym, naprawdę chcemy się czegoś dowiedzieć!

Opowiedziałam im o tym jak widywałam dziwne zjawiska i żartowałam z Terry i jej łatwowierności. Dziewczyny cały czas słuchały mnie z zainteresowaniem. Potem jedna zapytała, czy umiem usuwać brodawki, po czym podsunęła mi przed oczy palec z naroślą. Na pewno nie mówi poważnie, pomyślałam. - Właściwie to nie moja specjalność - odpowiedziałam ze śmiechem - Ale zobaczę co się da zrobić. Poczekaj ze dwa tygodnie. Nasza rozmowa skończyła się, gdy światła na widowni przygasły i zaczęło się nabożeństwo. Nie pamiętałam o całym tym wydarzeniu aż do i chwili, gdy pewnego popołudnia dwa tygodnie później zostałam zaczepiona przez jakąś dziewczynę która miała dziwny wyraz twarzy. Wydała mi się znajoma, ale nie mogłam sobie przypomnieć jej imienia.

- Dziękuję ci, bardzo dziękuję.

- Proszę bardzo. Co takiego zrobiłam?

- Brodawka - powiedziałaś, że się nią zajmiesz już jej nie ma. Odpadła wczoraj wieczorem, jeszcze przed upływem dwóch tygodni! Bardzo dziękuję!

W jej głosie brzmiał wyraźny podziw. Spojrzałam na jej wyciągnięty palec i rzeczywiście, narośl, którą teraz sobie przypominałam, zniknęła. Wiedziałam, że nie miałam z tym nic wspólnego, ale nie miałam nic przeciwko temu, żeby ona myślała inaczej.

- Cieszę się - powiedziałam, uśmiechając się tajemniczo. Wiadomość o tym, że mam władzę nad wirusowymi naroślami skórnymi nazywanymi brodawkami, rozeszła się szybko po całej szkole. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem tego, co zaszło były czary. Koniec końców, ubierałam się przeciw zwykłe na czarno i spędzałam długie godziny spacerując w lesie i zbierając tajemnicze zioła i liście które służyły mi jako ozdoba na biurko. Na prawdę miałam tylko statuetkę Mefistofelesa na toalecie, która była prezentem od moich rodziców, odzwierciedlającym uniwersyteckie motto mojej mamy: "Iść musi ten, kogo diabeł gna", no i to, że pierwszego dnia mówiłam do dr Bryce o okultyzmie. Na domiar złego, pani Bryce najwyraźniej darzyła mnie sympatią - a to był wystarczający powód aby zwrócić się przeciwko mnie. Oczywiście, była jeszcze sprawa tematu mojej pracy semestralnej, gdyż zdecydowałam się pisać o kulcie Woo Doo na Haiti. Nie był to dobry wybór, ale nie potrafiłam znaleźć żadnego innego interesującego tematu. Najgorsze było to, że byłam związana z teatrem i kochałam koty. Czy ktokolwiek potrzebowałby jeszcze jakiś dowodów? Jedynym możliwym wyjaśnieniem tego wszystkiego były czary. (Udało mi się zgromadzić niewielką grupkę ochotników, którzy informowali mnie o takich rozmowach). Moja początkowa frustracja z powodu tych podejrzeń powoli ustąpiła rozbawieniu. "Niech sobie ci głupcy myślą, co im się żywnie podoba", myślałam, "Bóg jeden wie, że nie jestem czarownicą. Wiem, że mam jakieś zdolności psychiczne, że mogłabym je rozwinąć, gdybym się do tego przyłożyła, ale nie jestem czarownicą. Zabawnie jest jednak patrzeć, jak skracają się z ciekawości." Teraz przynajmniej, ta dziwna istota, która nie dawała mi spokoju w Meksyku, należała już do przeszłości: Minął ponad miesiąc, odkąd po raz ostatni doświadczyłam jej obecności. Może już nigdy jej nie zobaczę. Ta perspektywa pozwalała mi odetchnąć nieco swobodniej.

A potem stało się to.

* * *

Tego październikowego wieczoru teatr stał cichy i chłodny. Wszyscy studenci poszli już na obiad. Miałam za sobą ponad pięć godzin pracy bez przerwy i byłam zmęczona, ale postanowiłam zostać dłużej i skończyć przygotowywanie rekwizytów na wieczorną próbę. Dr Bryce mianowała mnie rekwizytorem naszego pierwszego przedstawienia - był to świeżo napisany musical – i nie chciałam prowokować jej do wygłoszenia swojej pogrózki "skrócę cię o głowę". Pomimo sympatii do mnie, z całą pewnością obdarzyłaby mnie nią gdyby realistyczne, szare ryby na straganie sprzedawcy nie były gotowe na czas. Rezygnacja z ciepłego posiłku wydawała się niewielką ceną za uratowanie własnej głowy. Malutki warsztat z tyłu wielkiej sceny wypełniał odór gotującej się farby. Zgasiałam palnik i po raz ostatni zamieszałam bulgoczącą szarą maź. No i proszę, kilka pociągnięć i makrele z odległości trzydziestu kroków będą wyglądały jak żywe. Odwróciłam się sięgając po pędzel i zamarłam. Temperatura w pomieszczeniu raptownie spadła. Przeszedł mnie dreszcz. Rozejrzałam się, żeby sprawdzić czy nie zostawiłam otwartego okna. Wszystkie były zamknięte. A potem usłyszałam cichy i groźny głos, syczący wprost do mojego ucha:

- Co tu jeszcze robisz - to jest moja pora. Co tu jeszcze robisz - wynoś się!

Odwróciłam się na pięcie. Nie było nikogo. A potem głos zabrzmiał jakby ze sceny:

- Wynoś się - to jest moja pora.

Wciąż jeszcze drżąc, weszłam na ciemną scenę i zawołałam: Kto tu jest? Wtedy zobaczyłam, na środku sceny, wolno pulsującą, jarzącą się kulę światła. Ponownie usłyszałam kobiecy głos, który teraz wrzeszczał:

- Co tu robisz, to moja pora, wynoś się!

- Przepraszam, przepraszam... Nie wiedziałam, że to twoja pora. Już idę. Mój głos był przemiły i łagodny, bo wyczułam instynktownie, że znajdę się w ogromnym niebezpieczeństwie, jeśli pokażę po sobie jak bardzo się boję. Odwróciłam się i zeszałam powoli po schodkach prowadzących na widownię. Kiedy przeszłam już całą widownię, głos ze świetlnej kuli wrzasnął znowu: wynoś się! Przebiegłam pędem przez hall i precyzyjnie sięgnęłam przez ciężkie drzwi prowadzące na podwórze. Byłam już w połowie podwórza, gdy poczułam, że moje plecy przeszywa lodowate spojrzenie. Obejrzałam się przez ramię i stanęłam jak wryta. W drzwiach przez które właśnie wyszłam, stała kobieta w długiej, białej sukni. Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem. Odwróciłam się na pięcie i uciekłam. Prawie zawsze, gdy byłam sama w teatrze (unikając tego tak, jak tylko było to możliwe), słyszałam zawsze ten sam przenikliwy śmiech, któremu towarzyszyły zwykle głośne odgłosy kroków albo szelest sukni. Zdarzało się czasem, że i inni wyczuwali jej obecność.

Jedną z tych osób była Donna, która razem ze mną studiowała aktorstwo. Miałymy grać razem w sztuce Enida Bagnolda "Kredowy ogród". Pewnego wieczoru, na kilka dni przed przesłuchaniami, poczułam nieodpartą chęć narysowania liści dzikiego wina. Kiedy czytając sztukę dowiedziałam się, że Madrigal - główna bohaterka tej sztuki, spędzała całe godziny na ozdabianiu liśćmi dzikiego wina świec przeznaczonych na ołtarz, wiedziałam, że zagram tę rolę, chociaż aktorką byłam dość mierną. Tyle lat czułam, że moje ciało nie jest częścią mnie i tak bardzo pragnęłam się z niego wyzwolić, że teraz, kiedy miałam za jego pomocą przekazać widzom wnętrze i duszę bohaterki, odmawiało mi posłuszeństwa. Szczególnie dużo trudności sprawiało mi mówienie tak, by słyszano mnie w ostatnich rzędach i tego wieczoru Donna zgodziła się zostać ze mną po próbie, aby pomóc mi w ćwiczeniach. Kurtyna na scenie była spuszczone. Stałam na proscenium, na samym jego środku, podczas gdy Donna usadowiła się w fotelu na końcu widowni. Od kilku minut ćwiczyłam jedną ze scen, gdy dokładnie za moimi plecami, po drugiej stronie kurtyny usłyszałam odgłos przypominający westchnienie i delikatne stąpienia. Owładnęło mnie uczucie, że ktoś zaraz dotknie mojego ramienia. Znienacka odwróciłam się i rozchyliłam fałdy materiału.

- Kto tam? - zawołałam. Gdy odsłoniłam kurtynę, Donna i ja ujrzaliśmy przejrzystą, białą postać usuwającą się w ciemność. Ciche stąpienia i jeszcze cichszy, wysoki śmiech, podobny do tego, który słyszałam wcześniej, towarzyszył znikającej zjawie niczym echo. Donna nie proponowała mi więcej pomocy w wieczornych ćwiczeniach w teatrze. Próbowaliśmy łagodzić nienawiść zjawy przynosząc jej podarunki. Kilka razy układałam dla niej, na scenie małe bukiety z kolorowych liści i polnych kwiatów.

- Proszę... przyniosłam to dla ciebie. Czy nie mogłybyśmy zaprzyjaźnić się trochę? Moje podarunki witało niezmiennie lodowate milczenie. A potem ogarniały mnie niemal dotykalne fale strachu i nienawiści. Wiedziałam, że mój prezent został odrzucony.

* * *

Pierwszego roku w Wesleyan, Święto Dziękczynienia nadeszło bardzo szybko. Spędziłam je z siostrą mojej mamy, Dorotheą, i jej rodziną. Ciocia Dot, delikatna i ciepła, sprawiła że od razu poczułam się u nich jak w domu. Pierwsze święta spędzane z daleką od rodziców były dla mnie ciężkim przeżyciem i ciocia, chcąc mnie pocieszyć, podarowała mi prawdziwą tabliczkę Ouija - używaną w czasie seansów spirytystycznych.

- Koniec końców - żartowała, wymawiając słowa z południowym akcentem charakterystycznym dla mieszkańców Georgii - powinien ją mieć każdy, kto pisze pracę semestralną na temat kultu Woo Doo. Bardzo się ucieszyłam z tej tabliczki. Słyszałam o nich w czasie studiów, ale nie wiedziałam, że w Stanach są one tak łatwo dostępne. Zaraz po powrocie do koledżu pokazałam mój prezent Katy* i Jill*, które mieszkały w pokoju obok. Były tak samo jak i ja zapalone do wypróbowania mojego prezentu. Przyłączyła się też moja współlokatorka Ruth*. Spędziłyśmy razem wiele godzin pochylone nad tabliczką w mętnie oświetlonym pokoju. Podczas seansu otaczało nas nagle poczucie czyjejs obecności i wskazówka zaczynała się poruszać zatrzymując się na literach tworzących jakąś wiadomość. Było to całkiem zabawne i wydawało się niewinne, aż pewnego wieczoru, wraz z pojawieniem się czyjejs obecności, otoczyło nas paralizujące zło. Rury kanalizacyjne w pokoju zaczęły głośno dudnić a w drzwiach pojawiły się jasne rozbłyski światła. Podniosłam głowę i zobaczyłam tę samą mglistą, ubraną na biało kobietę, którą widziałam w teatrze. To wydarzenie, a także fakt, że złe przepowiednie na temat jednej z dziewcząt spełniły się prawie co do joty, bardzo mnie przstraszyły. Przysięgłam sobie nigdy więcej nie posługiwać się tabliczką. Było w niej coś niebezpiecznego i złowrogiego, na pewno nie była to niewinna zabawka. Wymogłam na wszystkich uczestniczkach naszych eksperymentów przysięgę milczenia, ale nie zdziwiłam się specjalnie, gdy plotki o dziwnych wydarzeniach rozeszły się po szkole. Moja reputacja zmieniała się w zastraszającym tempie z wątpliwej na fatalną. Jakaś dziewczyna wybiegła w nocy wrzeszcząc ze swojego pokoju, bo koleżanka przypięła jej dla żartu do poduszki czarne "J". Była przekonana, że rzuciłam na nią urok i że czeka ją rychła śmierć. W niektórych internatach dziewczyny, widząc mnie z daleka, zatrząskiwały drzwiami do swoich pokoi. Pewnego dnia, jedna z moich koleżanek obudziła się wcześniej rano i zobaczyła mnie za swoim oknem. Już miała mnie zaprosić do środka, gdy uświadomiła sobie, że jej pokój znajduje się na drugim piętrze. Ja w tym czasie spałam w swoim pokoju. We śnie widziałam ją jak leży w łóżku, jak budzi się nagle i z przerażeniem patrzy w okno. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że przewodniczący koledżu usłyszał o całym zamieszaniu, którego byłam powodem. Któregoś ranka minęłam go w bufecie.

- Ach... dzień dobry, Johanno.

- Dzień dobry panu.

- Ach... słyszałem, że pociągają cię moce okultyzmu, moja droga — zapytał przeciągając słowa.

- Jesteś pewna, że postępujesz rozsądnie? Jego pytanie podziało na mnie jak kubeł lodowatej wody.

- Nie zajmuję się takimi rzeczami, naprawdę - zaoponowałam, posyłając mu najbardziej niewinny uśmiech, na jaki mogłam się zdobyć.

- Z tego, co słyszałem, wynika wręcz przeciwnie. Lepiej uważaj. Do widzenia.

Dowiedziałam się później od kogoś ze starszego rocznika, że, na kilka lat przed moim przyjazdem do koledżu, wyrzucono z niego kilka dziewczyn za organizowanie szabatów czarownic nad jeziorem. Dziewczyny te twierdziły, że spowodowały niezwykle silne gradobicie, które nawiedziło szkołę niedługo po ich wyrzuceniu. Obecne zaniepokojenie przewodniczącego było zatem zrozumiałe.

* * *

Po dwóch latach spędzonych w koledżu Wesleyan dojrzałam, albo tak mi się tylko wydawało, do zmian. Miałam dość grania z aktorami z pobliskiej jednostki lotnictwa, którzy przed premierą brali środki na uspokojenie, a potem - zmieniali cały tekst sztuki według własnego uznania. Chciałam pójść na dodatkowe kursy reżyserskie i lekcje makijażu. Przede wszystkim jednak brakowało mi poczucia wolności. Moje życie w koledżu stało się równie nieznośne jak to, które wiodłam w Meksyku, gdzie każdy mój ruch był obserwowany i notowany, aby ustrzec mnie przed zepsuciem sobie reputacji. Złożyłam zatem podanie o przeniesienie na Uniwersytet Północnej Karoliny w Chapel Hill i zostałam przyjęta. Wiedziałam, że będzie mi brakowało dr Bryce i naszych wieczornych dyskusji o teatrze, przy muzyce Rachmaninowa, Vaughana Williama i Czajkowskiego, ale musiałam zmienić środowisko. Zmiana ta na pewno przyniosła mi upragnioną wolność, ale co do moich postępów w teatrze, to był to najgorszy krok, jaki mogłam zrobić.

CHAPEL HILL

Weszłam do osobliwego, zacisznego teatru i spojrzałam na scenę ponad widownią. Jak bardzo różnił się ten teatr i cała szkoła od tych, które zostawiłam za sobą w Wesleyan. Podeszłam do sceny, oparłam ręce o wystający parapet i przyglądałam się deskom podłogi.

-To jest miejsce, które będę nawiedzać po śmierci - powiedziałam cicho do siebie, to żaden melodramat, po prostu stwierdzenie faktu. Nie będzie ci to przeszkadzało, prawda? Kiedy to mówiłam, zdałam sobie sprawę z czyjejs obecności w teatrze, tak jakby moje słowa obudziły kogoś z głębokiego snu. Ale to uczucie, zupełnie nieoczekiwane, było ciepłe i przyjazne, odmienne od zimnej nienawiści istoty z Wesleyan College. Łzy popłynęły mi po policzkach. Nareszcie byłam w domu.

A jednak przeprowadzka do Chapel Hill nie była łatwa. Klasy koedukacyjne były dla mnie nowością. Szczególnie na zajęciach z aktorstwa stałam się pokazowym przykładem tego, jak najrozmaitsze, nieoczekiwane ujawniające się kompleksy mogą zrujnować całe przedstawienie. Nasz nauczyciel sądził najwyraźniej, że granie roli nimfomanki oraz wykonywanie wyzywających i obscenicznych gestów pod adresem pozostałych studentów jakimś cudem przełamie bariery moich "humorów". Mylił się jednak. Było dla mnie oczywiste, że profesor Benecroft uważa moją obecność na zajęciach z aktorstwa za żalną pomyłkę. Wszelka wiara w rozwinięcie moich możliwości, jaką wyczuwałam u doktor Bryce, znikła. Jeśli nawet miałam talent, to nie mógł się on przebić się przez rosnące poczucie porażki. Ale właściwie jakie to miało znaczenie? Już od kilku miesięcy zdawałam sobie sprawę, że najprawdopodobniej nigdy nie zostanę zawodową aktorką. Chciałam przenieść się na reżyserię, ale okazało się to niemożliwe ze względu na ówczesny program studiów. Wszystkie kursy, na które chciałam się zapisać, gdy podejmowałam decyzję o opuszczeniu Wesleyan, okazały się dla mnie niedostępne. Tak więc aktorstwo było już tylko pretekstem.

Nie musiałam dłużej ukrywać swoich dziwactw (bo uznałam, że są to dziwactwa), i wiedziałam, że niewielu ludziom przyjdzie do głowy przejmować się nimi, bo byłam przecież z teatru. Kto wie do jakiej dziwnej roli mogę się akurat przygotowywać! "Pod wodą nikt nie wie, kiedy ryby płaczą". Tak czy inaczej znalazłam małą grupkę przyjaciół, których towarzystwo sprawiało mi przyjemność. Teatr połączył szczególnie mocno kilkoro z nas; staliśmy się czymś w rodzaju tajemnego bractwa. Po skończonej próbie zbieraliśmy się czasem w pokoju Jacka* i Adama* na ostatnim piętrze budynku Graham Memorial, w którym mieścił się teatr, rozmawialiśmy i paliliśmy trawę albo haszysz. Do tej pory nie wiedziałam nawet czym jest trawa. W tym środowisku wydawała się całkiem niewinna. Tworzyliśmy interesującą grupę. Jack studiował na wydziale aktorskim. Pomimo determinacji, by kiedyś zagrać Ryszarda III, był to miły i łagodny chłopak. Miał ładny głos i lubiłam patrzeć na jego poważną niedostępną twarz pochyloną nad gitarą. Adam, który dzielił z nim pokój, był na wydziale technicznym. Miał on najpiękniejsze rude włosy, jakie kiedykolwiek widziałam. Był też Kevan - wysoki, z niebieskimi oczami i krzywym, według mnie, bardzo pociągającym półusmiechem. Któregoś dnia rano, niedługo po moim przybyciu do Chapel Hill, Kevan powiedział mi, że kilka osób próbowało dowiedzieć się czegoś o mnie za pomocą tabliczki ouija.

- Tak mało mówisz o sobie, powiedział uśmiechając się z zakłopotaniem, i jesteś otoczona taką tajemnicą, że byli zaciekawieni. Od czasów pobytu w Wesleyan College, nauczyłam się trzymać język za zębami.

- I czego się dowiedzieli? - zapytałam zdziwiona, bo nie przyszło mi nawet do głowy, że studenci mogą wiedzieć, co to jest ouija. Kevan zaczerwienił się lekko i wykrztusił:

- No, dowiedzieli się, że jesteś wcieleniem jakiejś kapłanki z innej planety... i, hmm... że masz dziwne zdolności, które dopiero zaczynasz odkrywać, że umiesz pisać w dziwnym języku i że potrafisz dostrzec aurę przedmiotów i ciała astralne. Właściwie to wszyscy się ciebie trochę boją.

Nic mu nie odpowiedziałam. To, co powiedział brzmiało niedorzecznie i śmiesznie, ale wiadomości odczytane na tabliczce były niewiarygodnie bliskie tego, co sama odczuwałam przez tyle lat.

- No powiedz - nalegał, na wpół ze śmiechem. Czy to prawda?

- Jeśli chcą o mnie tak myśleć, to nic na to nie poradzę, ale gdybym była na twoim miejscu, trzymałabym się z dala od tabliczek ouija, ponieważ mogą być niebezpieczne. Pomyślałam sobie o mojej własnej tabliczce, schowanej głęboko na dnie kufra. Gdy zśliśmy dalej, zmierzyłam Kevana oceniając go w zupełnie nowym świetle. Było oczywiste, że jego wiedza z metafizyki jest ograniczona, ale przynajmniej odważył się przyjąć ze swoimi pytaniami wprost do mnie. Może w końcu znalazłam przyjaciela, który mnie zrozumie. Do tej grupy należał także Beck*. Ze swoimi dużymi, brązowymi oczami, długimi włosami i wysokim czołem przypominał mi widziany kiedyś portret Shakespeare'a. Darzył mnie sympatią, ale ja trzymałam go na dystans przez ponad rok.

- Któregoś dnia zobaczysz, że jestem ci potrzebny - powiedział - Mogę poczekać.

Był jeszcze Damon*, od kilku lat chyba najbardziej utalentowany aktor kończący szkołę Playmakers. Zamyślony, o ciemniej intensywniej urodzie przypominał mi mnie samą. Gdy zobaczyłam go po raz pierwszy to pomyślałam sobie, że gdybym była mężczyzną, to na pewno byłabym taka jak on. Damon chodził ze śliczną, ciemnowłosą dziewczyną i byłam tym bardzo zawiedziona. Wiedziałam, że nie mam szans, aby poznać go bliżej.

Chociaż naprawdę lubiłam tę swoją paczkę, nigdy nie czułam się z nimi całkiem swobodna i szukając prawdziwego towarzysza zwróciłam się ku nieznanemu mieszkańcowi teatru. Czułam jego obecność, chociaż nigdy się jeszcze nie ujawnił. Nadałam mu imię "Profesor Koch", na cześć założyciela teatru Playmakers. Aż pewnej nocy nadeszło wezwanie.

Obudziły mnie stojące obok łóżka ciemne postacie, które szepcząc, mruczając i kiwając na mnie, kazały mi iść do teatru. Wstałam i ubrałam się po cichu, by nie obudzić mojej współlokatorki Pauli*. Pobiełam przez arboretum a potem przez teren szkolny do teatru. W ciągu kilku pierwszych tygodni pobytu w Chapel Hill udało mi się zdobyć klucz do głównych drzwi. Wślizgnęłam się do ciemnego hallu, zamknęłam za sobą drzwi, a potem przebiegłam kilka kroków do włącznika światła. Delikatne światło wypełniło teatr. Usiadłam na schodkach sceny i czekałam. Wiedziałam, że zostałam wezwana, ale wciąż jeszcze nie byłam pewna jakim celu. Mijały minuty, aż wreszcie usłyszałam, że skrzydła wewnętrznych drzwi wahadłowych uderzają o zewnętrzne drzwi, zamknięte na klucz. Dźwięk ustał tak samo nagle, jak się pojawił i zapadła cisza. Wtedy w wejściu pojawiła się mglista postać mężczyzny o gęstych, siwych włosach, ubranego w ciemne spodnie w paski i białą koszulę z małym, dziwnie wyglądającym krawatem. Zatrzymał się i obserwował mnie przez chwilę, po czym podpłynął bliżej. Zatrzymał się w połowie przejścia między rzędami foteli, usiadł na jednym z miejsc i znów popatrzył na mnie. Nie odezwałam się. Nie musiałam nic mówić. Wyczułam, że zna on wszystkie moje myśli, że rozumie moje trwożne oczekiwanie. Nagle teatr wypełniła piękna muzyka, nagłaćca pieśń niepohamowanej tęsknoty i samotności. Pieśń w tonacji molowej, która niczym stara hebrajska pieśń pustyni unosiła się i opadała opowiadając o ukojeniu przynoszonym przez śmierć. Potem zdałam sobie sprawę, że mój głos stał się instrumentem tej melodii, że płynęła ona z moich ust i że stała się moją pieśnią. Kiedy melodia dobiegła końca wstałam, otworzyłam oczy i popatrzyłam znowu na profesora Kocha. Uśmiechnął się do mnie, a potem powoli zniknął mi z oczu. Dar melodii został mi przekazany.

* * *

Kilka dni później pojawiły się małe ludziki. Miały one około 45 - 60 centymetrów wzrostu, były przejrzyste jak profesor Koch i ubrane na zielono-brązowo. Miały brzydkie, puciołowate, ogorzałe twarze, a ich oczy iskrzyły się, gdy całą gromadką wyglądały spoza sterty drewna w warsztacie teatralnym. Często czterech lub pięciu ludzików towarzyszyło mi w moich przechadzkach po omszałym cmentarzu, który znajdował się na tyłach mojego internatu. Nigdy się nie odzywały, tylko baraszkowały i skakały, aby mnie rozśmieszyć. Jednak czasem brakowało mi tej samej pewności, jaką miałam w czasie widzeń w teatrze i zastanawiałam się czy rzeczywiście je widzę i czy istoty te rzeczywiście istnieją?

DAMON

Przeraził mnie ostry dzwonek telefonu. Pośpiesznie odwróciłam głowę w stronę, z której dobiegał dźwięk. Kilka zapalonych świec stojących w różnych kątach pokoju rzuciło na ściany dziwne, falujące cienie. Słodki zapach mirry i kadzidła tłącego się na rozpalonym węgielku wypełniał mi głowę. Znowu dzwonek. Odwróciłam się od toaletki, przy której stałam i podniosłam słuchawkę.

- Johanna, to ty?

- Tak.

- Mówi Damon. Muszę z tobą pomówić. Czy mógłbym wpaść teraz?

- Oczywiście - mój głos nie zdradzał zdziwienia, chociaż byłam zaskoczona.

- Będę za dziesięć minut. Odłożyłam słuchawkę i zwróciłam się do starożytnej, glinianej figurki stojącej na toalecie: Terezjaszu, słyszałeś? Damon ma przyjść. Zastanawiam się, czego może chcieć. Rozmawiał ze mną tylko kilka razy, ale czułam że mi się przygląda tymi swoimi ciemnymi oczami. Dziwne, że zadzwonił. Wpatrywałam się w ślepe szparki oczu małego bożka ognia z czasów prekolumbijskich. Siedział po turecku pochylając do przodu swoją łysą, zniekształconą głowę, z brodą opartą na rękach. Jego usta wyginały się ku górze w sztucznym, porozumiewawczym uśmiechu. Wyglądał na pełnego odwiecznej mądrości ten "starzec o zmiętych wymionach... który siedział u tebańskich bram, któremu zmarli ślali powitanie"

Figurkę Terezjasza, starożytnego proroka, kupiliśmy w Ceurnavaca od starego znachora, gdy miałam piętnaście lat. Będąc w Wesleyan College, gdy pewnego wieczoru wpatrywałam się w niego przy drżącym blasku świec, nauczył mnie tajemnego języka. Był to język, którym nikt nie mówił; pismo przypominające w połowie litery arabskie, w połowie chińskie. Za jego pomocą mogłam utrwalić na papierze każde uczucie, każdą rozbrzmiewającą w duszy pasję, której nie potrafiłam, a może nie miałam odwagi przełożyć na zrozumiałe słowa. Tęsknoty, nadzieje i miłości, które wyrażałam w ten sposób, otaczałam liśćmi dzikiego wina, które narysowałam po raz pierwszy dla Madrigal. Były to grube, bujne pędy z których, zapisane obok kruche uczucia, mogły czerpać ożywiającą siłę, aż do momentu ich spełnienia. Nagle rozległo się ciche stukanie, a potem drzwi się otworzyły na oścież. Na korytarzu stał wysoki, szczupły mężczyzna o przenikliwych, dziwnych, skośnych oczach. W kącikach ust miał jakby lekki półuśmiech, a przez ramię przerzucony miał płaszcz, którego używał w nowym przedstawieniu jako Hrabia Drakula.

- Wejdz. Damon wahał się przez chwilę ale wszedł do słabo oświetlonego pokoju, wypełniając go swoją tajemniczą obecnością.

- Chodź, muszę cię komuś przedstawić - zaprowadziłam go do toaletki mówiąc: Terezjaszu, to jest Damon. Uniosłam Terezjasza, aby mogli się przywitać twarzą w twarz.

- A to jest Mefistofeles, wskazałam na drewnianą figurkę uśmiechniętego diabła obok zapalonych świec, po czym dodałam z tłumionym śmiechem: Musi iść ten kogo diabeł gna.

- Czy gna cię diabeł?

Nasze spojrzenia spotkały się, nic nie odpowiedziałam. Przez kilka sekund z napięciem wpatrywał się w moją twarz, a potem wyjął z kieszeni dwa zawiniątka owinięte folią i położył je na toalecie obok Terezjasza.

- To dla ciebie, to meskalina - odparł na moje milczące pytanie - weźmiesz ze mną? Blask świec nadawał jego skośnookiej twarzy obcego, egzotycznego wyglądu.

- Proszę cię, to bardzo ważne - powiedział cicho.

Wzięłam filiżankę, nalałam do niej wody z kranu i postawiłam obok pakunczków na toalecie. Ostrożnie rozwinął tabletki i podał mi jedną. Przetykając, poczułam w gardle lekko gorzki smak. Podałam mu filiżankę i przyglądałam się, jak wkłada do ust drugą tabletkę i połyka ją.

- Załóż płaszcz. Pójdziemy na długi spacer, a na dworze jest zimno.

Wyciągnęłam swój długi, czarny płaszcz i włożyłam go przez głowę, podczas gdy Damon zarzucił swój. Wyszliśmy na jasną rześką noc, jaka często zdarza się w Północnej Karolinie. Przeszliśmy przez teren szkoły. Już po kilku minutach cały świat zmienił się w krainę z baśni, w której małe brylanciki połyskiwały, mieniły się i wybuchały wielokolorowym ogniem gdziekolwiek spojrzę. Otaczało mnie piękno zapierające dech w piersiach. Czulałam się tak, jakby w każdej chwili mój duch mógł wyzwolić się z ciała i rzucić się z otwartymi ramionami w ten błyszczący świat, aby nigdy już nie powrócić. Doszliśmy do budynku Graham Memorial, ale Jacka i Adama nie było w domu. Wyszliśmy z powrotem w połyskliwą ciemność. Nagle uniosłam się, nareszcie wyzwolona z ciała, które przykuwało mnie do ziemi. Spoglądając w dół widziałam się idącą obok Damona i zastanawiałam się jaka siła sprawia, że moje ciało posuwa się u jego boku. Płynęliśmy tak przez kilka minut a może godzin, nie jestem pewna, ale nagle otworzyłam oczy i stwierdziłam, że jesteśmy na cmentarzu. Damon szedł przodem. Nie był już teraz utalentowanym aktorem odtwarzającym rolę hrabiego Drakuli. On był Drakulą. Idąc, rozglądałam się na boki, a kamienie wokół mnie zamieniały się w ludzkie twarze, od których ciało odpadało całymi płaciami, aż zostawały same czaszki o pustych oczodołach i otwartych od krzyku ustach. Wysiłkiem woli próbowałam znowu zobaczyć kamienie, które znałam. Damon zatrzymał się obok rozsypującego się nagrobka. Odwrócił się i spojrzał na mnie. Jego oczy były zimne i nieustępliwe, a półuśmiech na pobludłej twarzy upiorny. Powoli schylił się aż do ziemi, położył na nagrobku i skrzyżował ręce na piersi. Stałam obok niego, a potem także położyłam się jak umarła. Dookoła słyszałam głosy które dobiegały mnie już wcześniej, gdy spacerowałam po cmentarzu. Ale teraz rozlegały się one bliżej, wyraźniej, i zawodząc oplakiwały śmierć kogoś ukochanego. Te głosy mieszały się z jękami tych, których dawno już przykryła ziemia, i którzy skarżyli się na swoje więzienie. Głos pode mną płakał i zawodził, napierając na okalające go ściany trumny. Czy to możliwe, żeby nawet śmierć nie przynosiła spokoju? Zawsze myślałam, że po śmierci osiągnę spokój.

- Och, Boże, Boże, pomóż mi. Jestem sama i tak bardzo się boję!

Głosy wokół mnie cichły i zdawały się dobiegać z oddali, jakby ostatni podmuch cichnącego huraganu przepędził je w stronę morza. Otworzyłam oczy i rozejrzałam się. Damon wciąż jeszcze leżał na płycie nagrobka. Potem nagle otworzył oczy, usiadł powoli, wstał, i bez słowa odwrócił się, aby odejść z tego miejsca śmierci. Odszukaliśmy powrotną drogę do budynku Grahama. Brakowało jeszcze godziny do świtu, a działanie narkotyku słabło.

- Usiądźmy tu na chwilę. Damon osunął się na schody prowadzące na piętro. Ciężki płaszcz zsunął mu się z ramion. Wyczerpana, pozbawiona energii i jakichkolwiek uczuć, usiadłam obok niego na schodach.

Potem, po chwili milczenia powiedziałam:

- Damom po co to wszystko?

- To proste, chcę cię poznać, a taki wspólny odlot to jeden z najszybszych sposobów, jakie znam. Nie traci się czasu na bzdury.

- O czym ty mówisz? - zapytałam.

- O tobie. Zbudowałaś dookoła siebie fortecę. Przez te cztery miesiące, odkąd jesteś tutaj nie wygląda na to, żeby ktokolwiek cię poznał.

- Wiem. Chciałam, żeby tak było.

Ale dlaczego, na Boga? Opowiadają o tobie najprzeróżniejsze rzeczy, wiesz o tym? Myślą, że zwariowałaś. Niektórzy uważają, że jesteś jakąś kapłanką z obcej planety i masz dziwne zdolności. Uśmiechnęłam się.

- Wiem, Kevan mi mówił.

- I te bzdury o języku, którego nauczył cię Terezjasz i o tych twoich ludzikach, w co ty się właściwie bawisz?

- Bawię się? - zapytałam zdziwiona, że użył takiego słowa. Czasem nie jestem pewna czy to jest zabawa?

Wiem, że część ludzi myśli, że jestem obłąkana, albo przynajmniej na granicy obłądu. Mogłam to wyczytać z ich twarzy, kiedy na mnie patrzą. Wiesz, czasem łapię się na tym, że śmieję się z ich ślepoty, naiwności i zaczynam snuć plany jakby zrobić użytek z tej opinii. A potem nagle przerywam, przerażona własną przebiegłością. Mój głos był zmęczony, dochodził jakby z daleką.

- Może mają rację, może jestem obłąkana, bo czuję się tak, jakbym nie była z tego świata, jakbym była stworzona do życia w innym wymiarze, w iskrzącym się, jasnym świecie, gdzie mogłabym latać i wzbijać się w powietrze z moimi towarzyszami i służyć przy ołtarzu mojego Boga. Nie czuleś nigdy, że ty i twoje ciało nie stanowicie jednej całości, że zostałeś w nim zamknięty przez pomyłkę? Damon wpatrywał się we mnie w napięciu, ale nic nie odpowiedział.

- Ja się tak właśnie czuję, w moim ciele czuję się jak w pułapce. Jest coś więcej, niż tylko to życie. Otaczają nas duchy, niewidzialne istoty które ja widzę i słyszę. Czuję, kiedy są blisko i kiedy mnie wołają, ale czasem bardzo się ich boję, bo przychodzi z nimi straszne zło. One przychodziły do mnie od dziecka i inni też widzieli je razem ze mną i słyszeli je. Ale Terezasz i Ludziki... Nie wiem. Może byłam taka samotna, że sobie ich tylko wymyśliłam. Czasem bardzo się boję. Och, Boże, gdybym tylko mogła odnaleźć w sobie trochę spokoju. Damon nie odzywał się przez wiele minut. Twarz miał spokojną, ale jego oczy były odbiciem uwięzionej duszy, rozpaczliwie szukającej uzdrowienia i kojących wód spokoju. Duszy która beznadziejnie szuka rzeczy, bez której nie można żyć. Znałam to spojrzenie, gdyż widziałam je też we własnych oczach.

ROZGNIEWANE CIENIE

W kwietniu postanowiłam zaadoptować węża. Tę ważką decyzję podjęłam jeszcze podczas leczenia mocno potłuczonych żeber, po upadku ze sceny w teatrze Forda w Waszyngtonie, 27 marca 1971. Kilka miesięcy wcześniej zgłosiliśmy się na Festiwal Amerykańskich Teatrów Studenckich z niezwykle realizacją starej niemieckiej sztuki zatytułowanej "Woyzeck". Nasze przedstawienie uznano za jedno z 10 najlepszych wśród 240 szkół w całym kraju, dzięki czemu dostąpiliśmy zaszczytu występowania w teatrze Forda. Podczas premiery w umówionym momencie, na koniec czwartej odsłony, światła ściemniały się i nagle zgasły zupełnie. W ciemności źle się obróciłam i idąc w złym kierunku spadłam ze sceny. Jakimś cudem wylądowałam na jedynej płaskiej powierzchni w kanale orkiestry. Gdybym posunęła się o kilka centymetrów w prawo lub w lewo to mogłabym się zabić, ponieważ hacząc o światła rampy, spadłabym na krawędź otwartego kanału. Na szczęście siła uderzenia zaparła mi tylko dech w piersiach. Ból w prawym boku zupełnie mnie sparaliżował, leżałam zastanawiając się tylko czy jestem widoczna z pierwszych rzędów. Miałam nadzieję, że nie, bo w pierwszych rzędach zasiadali krytycy. Podczas kolejnej zmiany dekoracji, gdy złapałam już oddech, wciągnęłam się z powrotem na scenę i dokończyłam przedstawienie. Kilka lat później wpadł mi w ręce artykuł mówiący, że na scenie teatru Forda wielu aktorów uległo dziwnym wypadkom. Zdarzały się one szczególnie często na linii wyznaczającej drogę nieudanej ucieczki Bootha po zamachu na Lincolna. Miejsce mojego wypadku znajdowało się, według zamieszczonego rysunku, dokładnie na tej linii.

Mama przyleciała wtedy z Meksyku, aby się mną opiekować. Nie wiem jak dałabym sobie radę bez niej. Na całym świecie nie było nikogo, kto potrafiłby mnie pocieszyć tak jak moja matka. Po kilku tygodniach byłam znowu w stanie sama o siebie zadbać i mama wróciła do domu. Wtedy właśnie zdecydowałam się zaadoptować węża (nie muszę chyba dodawać, że nie miał on być zastępstwem za moją mamę). Na dodatek przygotowaliśmy właśnie scenę śmierci Kleopatry, co bez żywej żmii traciło sens. Profesor Benecroft zawsze mówił, że żywe rekwizyty są niezwykle przydatne. Dziwnym trafem, w sklepie ze zwierzętami pod nazwą "Królestwo Zwierząt Barley'a" nie było właśnie żadnej żmii, ale mieli za to bardzo zabawnego małego boa z Ameryki Południowej. Mierzył mniej niż pół metra i miał przepiękny wzorek na grzbiecie, nazwałam go więc Quetzalcoatl i zaniosiłam do domu owiniętego wokół szyi.

W drodze do domu spotkałam Adama. Był zachwycony moim nowym zwierzęciem i natychmiast udał się do warsztatu. Po prawie dwóch godzinach piłowania i wbijania gwoździ sprezentował mu drewnianą klatkę. Miała skórzany uchwyt i bok zrobiony z siatki, aby mieszkaniec mógł wyglądać na zewnątrz. Całości dopełniał mały basenik z wodą i gałąź do wspinania. Różnie reagowano na widok mojego pupila. Znajomi albo od razu go akceptowali i głaskali, albo też, co zdarzało się częściej, witali go urywanymi okrzykami obrzydzenia. Tak też było w przypadku jednej z nauczycielek, którą zaczęłam któregoś popołudnia, aby porozmawiać. Dni były wciąż chłodne, więc, jak zwykle, pozwoliłam wężowi owinać się wokół mojej szyi, aby mógł się ogrzać.

Podczas pewnej rozmowy nauczycielka spostrzegłszy mój naszyjnik. - Och, cóż to za niezwykła ozdoba! Wyciągnęła rękę, by dotknąć nieznanego materiału. Quetzalcoatl podniósł głowę i wysunął w jej stronę języczek. Krzyk, który potem nastąpił, dotarł nawet do przechodniów po drugiej stronie szkolnego terenu. Moja prezentacja Kleopatry nie poprawiła się wcale dzięki zakupieniu małego boa, w szkole zapoczątkowała ona jednak trwającą kilka miesięcy modę. Dla mnie o wiele większe znaczenie miał fakt, że Quetzalcoatl był żywym stworzeniem, które mogłam kochać i hołubić. Wiem, że wielu Czytelników nie uwierzy, gdy powiem, że węże boa mają bardzo miłe usposobienie, przynajmniej boa z Ameryki Południowej, bo Boa z Ameryki Środkowej mają zęby i kłapią. Po kilku tygodniach wąż nauczył się rozpoznawać mój zapach przy pomocy swojego ruchliwego języczka i przemierzał blat stołu aby owinąć się wokół mojej ręki - dla nikogo poza mną nie był tak łaskawy. (Oczywiście, mogłam być również jedyną osobą, którą miałby ochotę udusić.) Wąż nie był w żadnym przypadku najbardziej upragnionym przeze mnie zwierzęciem domowym. O wiele bardziej wolałabym mieć puszystego kociaka; ale nigdy nie udało mi się ukryć go w internacie. Podejrzywałam słusznie, że dziewczęta mniej będą się spieszyły z powiadomieniem opiekunki internatu o obecności oswojonego węża w sypialni bojąc się, że może on jakimś cudem pojawić się któreś nocy pod ich poduszką. Wydawało mi się także, że wąż zapewni mi odrobinę spokoju. Zupełnie nie wiem jak rozniosła się wieść, że ukąszenie tego boa, w odróżnieniu od wszystkich innych, jest jadowite i że jad, chociaż łagodny, dla niektórych może okazać się śmiertelny. Wkrótce omijano mnie z daleka w czasie moich wieczornych spacerów.

* * *

Lato 1970 roku zastało mnie na desperackich próbach znalezienia jakiegoś kursu teatralnego, który mogłabym ukończyć. Było to niezbędne, aby spełnić wymagania stawiane przez Uniwersytet Północnej Karoliny, ale nie chciałam dłużej zostawać w Stanach. Udałyśmy się zatem obie z mamą na Uniwersytet Obu Ameryk w Cholima w Puebla, mieście rozsypujących się piramid i 365 kościołów, położonych u stóp dwóch groźnych, pokrytych śniegiem wulkanów. Przygnębiającą historię tego lata (tak jak moje wcześniejsze niepowodzenia baletowe) najlepiej pominąć milczeniem. Po moich ostatnich przenosinach na nowy uniwersytet nie było wcale zaskoczeniem, że kursy teatralne oferowane w Cholima zostały nagle odwołane z przyczyn niezależnych od organizatorów nauczyciel złożył wymówienie. Skutek był taki, że na koniec semestru dzięki pomocy moich rodziców i wspaniałej pani Clarine Furrow, nazwanej wkrótce "Mamą", zagrałam w zrealizowanej i wyreżyserowanej przez siebie sztuce "Panna Julia" w zamian za zaliczenie kursu. Jeśli się weźmie pod uwagę, że większość obsady albo rezygnowała z prób na rzecz zwiedzania okolicy albo dostała się do więzienia za różne banalne przewinienia, przedstawienie nie było tak całkiem nieudane. Może z wyjątkiem sceny, w której tata, zupełnie sam, usiłował przedstawić wesoło tańczących wieśniaków.

Wreszcie lato się skończyło, a ja jakoś nie wskoczyłam do wulkanu. Pierwszego wieczoru po powrocie do Chapel Hill, pospiesznie wyszłam na dwór, aby zebrać bukiet kwiatów i liści dla profesora Kocha. Było już po północy, kiedy dotarłam do teatru i otworzyłam drzwi swoim kluczem. Jak zwykle, wślizgnęłam się szybko do środka, zaryglowałam drzwi i po omacku przedostałam się przez ciemny hall do kontaktu przy wejściu na widownię. Rozległo się ciche pstryknięcie i blade światło zalało scenę.

- Wróciłam - zawołałam cicho - Profesorze Koch? Wróciłam... Proszę, przyniosłam panu kwiaty. Położyłam bukiet na scenie. Cisza. - Profesorze?... Słyszysz mnie pan? Wróciłam. Atmosfera wokół zdawała się gęstnieć i wirować, jakby zaraz miała rozszalać się wokół mnie burza.

- Profesorze... profesorze... czy pan tu jest? Stałam na scenie patrząc na widownię, a głos drżał mi z napięcia. Skrzydła wewnętrznych, wahadłowych drzwi teatru zaczęły uderzać w duże drzwi zewnętrzne, które przed chwilą zamknęłam. Nie był to delikatny dźwięk, jaki zwykle zapowiadał przybycie profesora, ale wściekły, zajadły łomot, grożący rozwaleniem drzwi w drzazgi. Potem walenie ustało tak samo nagle jak się zaczęło zaległa martwa cisza, a potem uświadomiłam sobie obezwładniające zło wypełniające teatr wokół mnie. Jakiś głos - niski, głęboki, drżący z wściekłości odezwał się w mojej głowie.

- Gdzie byłaś? Opuściłaś mnie. Nie przynosiłaś mi niczego zielonego na moją scenę. Gdzie byłaś?

- Profesorze Koch... Przepraszam, musiałam wyjechać na lato. Nie pamięta pan, że przyszłam się pożegnać przed wyjazdem? Dlaczego tak się pan złości?

- Opuściłaś mnie, nie chcę cię teraz widzieć. Był to dumny głos rozszoszczonego kochanka, oburzonego moim zaniedbaniem i potrzebującego czasu, aby wyleczyć zadane przeze mnie rany.

- Przepraszam, panie profesorze, przepraszam - oczy zaszyły mi łzami - Czy mogę wrócić później? Odpowiedziała mi tylko niewzruszona cisza. Wyszłam z teatru zagubiona i przestraszona.

Przez prawie dwa tygodnie przychodziłam do teatru tylko za dnia. Codziennie zanosilaam tam zielony podarunek i umieszczaalam go pod scena. Po jakimś czasie wyczułam, że profesor już się na mnie nie gniewa. Ale znikła ta zupełna akceptacja, jaką darzył mnie przedtem. Czasem, kiedy wstawałam w środku nocy albo przed świtem, aby pójść do teatru, natykałam się na niewidzialną przeszkodę, ale tak mocną, jakby ktoś rozciągnął gumową sieć w poprzek wejścia. Profesor wciąż się gniewał. Przejdzie mu. Wreszcie, po kilku miesiącach nastąpiło ostateczne zerwanie. Zdarzyło się to w czasie, gdy wystawialiśmy komedię pod tytułem "Złota Rączka". Kevan był w tym przedstawieniu kierownikiem sceny. Ja byłam zajęta próbami do jakiejś nieznanej sztuki eksperymentalnej w Graham Memorial. Po próbie zwykle szłam do teatru Playmakers aby obejrzeć ostatni akt i pomóc Kevanowi pozamykać. Siadaliśmy wtedy obok sceny i rozmawialiśmy, a potem Kevan odprowadzał mnie do domu. Po kolejnym przedstawieniu, kiedy w teatrze nie było już nikogo, Kevan opadł na fotel w pierwszym rzędzie i wyciągnął swoje długie nogi aż na brzeg sceny.

- O Boże, jaki jestem zmęczony — westchnął. Nie mogę się doczekać, kiedy te przedstawienia wreszcie się skończą.

- Co jest, Kevan, czy przedstawienie nie było udane? - zapytałam wtulając się w fotel po jego prawej stronie.

- Było gorzej niż zwykle. Chyba po prostu jestem zmęczony.

- Nie dziwię ci się — westchnęłam - Ja też nie lubię tego rodzaju komedii. Ale przynajmniej bierzesz udział w poważnym przedstawieniu, dodałam z żalem.

- Tak, pewnie masz rację, ale nie uwierzyłabyś jakie głupie rzeczy zdarzają się za sceną.

Chciał właśnie wyjaśnić o co mu chodziło, kiedy coś za nim, po lewej stronie widowni, przykuło mój wzrok. Patrzyłam wciąż, a Kevan mówił dalej. Jego głos zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Postać młodego żołnierza w ciemnym mundurze stawała się coraz wyraźniejsza. Nie mógł mieć więcej niż siedemnaście lub osiemnaście lat. Leżał skulony na podłodze pod ścianą, a całym jego ciałem wstrząsał ledwie słyszalny szloch. Odwrócił głowę i popatrzył mi prosto w oczy, łzy spływały mu po policzkach. Trzymał się za prawe biodro i nagle aż jęknęłam z bólu. Kevan urwał i spojrzął na mnie.

- Co ci jest?

Jego zaniepokojony głos był wciąż bardzo daleko.

- Kevan, patrz - powiedziałam powoli.

Powiódł oczami w ślad za moim wzrokiem do miejsca w przejściu, na które się gapiłam.

- O czym ty mówisz, na co mam się patrzeć?

- Nie widzisz go, Kevan? Tam jest młody żołnierz. Płacze. Czuję jego ból w biodrze. Nie widzisz go?

- No, widzisz Jo, zdaje się że już czas na nas. Chodź.

- Ale on płacze. Chce mi coś powiedzieć.

- Trzeba już iść, Johanno - głos Kevana był zdecydowany - Ja wychodzę, idziesz ze mną?

Nagle przestraszyłam się. Pamiętałam o gniewie profesora i nie chciałam zostać sama w teatrze tej nocy. Podniosłam się do wyjścia. Spojrzałam znowu na młodego żołnierza. Tak samo szybko jak się pojawił zaczął teraz zniknąć, na twarzy pojawiła się gorycz, niechęć i ból. Chciał mi coś powiedzieć, a ja nie chciałam zostać. Odpowiedni moment minął. Było już za późno.

- Tak... tak, chodźmy.

Następnego wieczoru spotkałam się z Kevanem za sceną.

- Tylko chwilę, Jo — powiedział - Zejdź tylko na dół i pozamykam. Chcesz zejść ze mną?

- Nie, idź sam, zaczekam tu na ciebie. Miałam nadzieję, że młody żołnierz pojawi się znowu. Kevan zszedł na dół, a ja przechadzałam się po scenie. Stała tam nieduża kozetka i wyciągnęłam się na niej, aby chwilę odpocząć. Czulaam się taka zmęczona. "Powinnam była zostać wczoraj i porozmawiać z nim" powiedziałam do siebie.

- Ciagle jeszcze tu jesteś?

Od widowni powiało nagłym chłodem. Rozglądałam się po pustych fotelach, aż mój wzrok padł na kabinę operatora świateł powyżej. Wypełniała ją wysoka, czarna jak węgiel postać. Kozetka zawirowała nagle wraz ze mną, kiedy usłyszałam kroki Kevana wbiegającego na scenę. Postać zbladła i rozwiała się.

- Kevan! Wydawało mi się, że widziałam kogoś w kabinie oświetleniowej —zmusiłam się, aby mój głos brzmiał spokojnie. Popatrzył na mnie dziwnie, ale poszedł na górę sprawdzić. Pomachał do mnie i zawołał z kabiny: Nikogo tu nie ma, i wrócił po chwili.

- Dobrze się czujesz? Ostatnio zachowujesz się bardzo dziwnie. Jesteś chora?

- Nie, czuję się świetnie. Chodźmy gdzieś na kawę - odpowiedziałam. Ale było mi zimno i bałam się. Postać wyglądała tak wrogo i groźnie. Jednak następnego wieczoru, zdecydowana, że nie dam się zastraszyć, wróciłam znów do teatru. Jak zwykle weszłam od frontu, aby poczekać na Kevana. Teatr był złowieszczo spokojny.

- Nie pozwolę się przechytrzyć - powiedziałam cicho, wchodząc na scenę - Ten teatr należy teraz do mnie tak samo jak i do pana, profesorze. Nie wiem czy to pan próbuje mnie przestraszyć, czy ktoś jeszcze się tu wprowadził, ale to nie ma znaczenia. To jest także moje miejsce! Otoczyła mnie gęsta, intensywna nienawiść, prawie wysysająca powietrze z moich płuc. Potem, nademną usłyszałam szelest. Czarna, zakapturzona postać o odrażającej, zniekształconej twarzy, lśniącej trupa bielą leżała na moście oświetleniowym nad moją głową. Olbrzymie, podłużne oczy płonęły jaskrawą, fosforyczną zielenią jak oczy dzikiego, rozwścieczonego zwierzęcia. Czarne ręce, wyciągnięte do mnie, zwisały w dół. Wycofywałam się powoli i pod ścianę próbując złapać oddech, moje usta otworzyły się do krzyku, którego nie mogłam wydobyć.
- Co się stało? Kevan stanął przede mną. Ucisk zelżał i powietrze wypełniło mi płuca.
- O Boże, Kevan, ktoś jest na moście. Widziałam go.
- Nikogo tam nie ma, Jo - jego głos zdradzał irytację. Dokładnie w tym momencie usłyszeliśmy dwa stąpnięcia na metalowym moście nad nami.
- Masz rację! Tam ktoś jest na górze. Wspiął się pędem po drabince na słabo oświetlony mostek nad sceną. Słyszałam dźwięczący odgłos jego kroków, kiedy przeszukiwał wszystkie zakamarki, po czym wrócił z pobladłą twarzą.
- Chodźmy stąd. Złapał mnie za rękę i wyciągnął na świeże, nocne powietrze.

Beck uśmiechnął się szeroko na nasz widok.

- Cóż za punktualność! - zawołał przechodząc przez ulicę. - Miałem nadzieję, że was tutaj znajdę.
- Beck, słuchaj, zwariowane rzeczy się tu dzieją. Jo jest zdenerwowana. Zabierz ją gdzieś na kawę, dobrze? Ja muszę jeszcze zamknąć teatr.
- Oczywiście - powiedział Beck, biorąc mnie za ramię. - Dobrze się czujesz? zapytał delikatnie.
- Tak... już dobrze Beck, dziękuję.
- Odprowadź ją do domu, Kevan - powiedział cicho.
- No dobra, w porządku. I tak muszę się trochę pouczyć. Dobranoc, Jo!
- Dobranoc..

Beck wziął mnie za rękę i przeprowadził przez ulicę. Jakiś samochód zatrzymał się, aby nas przepuścić. Podniosłam wzrok, kiedy go mijaliśmy i zlodowaciałem. Twarz w samochodzie . Zaczynała się zmieniać w twarz, którą przed chwilą widziałam w teatrze. Wiedziałam, że to niemożliwe; ale moje nerwy były napięte do granic ,wytrzymałości, kiedy samochód przejechał obok. Zaczęłam wrzeszczeć. Beck przytulił mnie, a ja szlochałam długo; przerażona, bezradna i załamana. Profesor nienawidził mnie. Nie było już dla mnie miejsca. Kochany, delikatny Beck. Zdawało mi się, że był obdarzony jakąś nadludzką wprost cierpliwością. Kiedy byłam najbardziej samotna i bezbronna, był przy mnie i pomagał mi nie stracić przytomności umysłu. Miał rację: bardzo go teraz potrzebowałam. Nawet Paula, moja współlokatorka, wyprowadziła się z pokoju zostawiając mi list na trzy strony maszynopisu, mówiący o tym, jaka jestem nieprawdopodobnie ponura, bezwzględna, sztuczna i zdziwaczała. ("Zabierałabym cię ze sobą częściej, gdyby nie to, że zawsze muszę się potem tłumaczyć"). Jestem pewna, że miała rację. Nigdy już nie poszłam do teatru poza zajęciami. Nigdy też nie zaniósłam profesorowi nic żywego i zielonego.

Pewnego wieczoru w kilka tygodni po ostatnim wydarzeniu w teatrze zebraliśmy się w pokoju Jacka i Adama aby porozmawiać i posłuchać muzyki. Beck i ja byliśmy pod działaniem jakiegoś łagodnego narkotyku nie wywołującego halucynacji. Był to drugi z naszych odlotów, których w sumie mieliśmy tylko cztery. Odprężona i spokojna, wsparta o ramię Becka czekałam na początek muzyki. Tego wieczoru obiecano nam coś niezwykłego; nowy musical rockowy o życiu Chrystusa pod tytułem "Jesus Christ Superstar". Bynajmniej nie przepadałam za muzyką rockową, ale te piosenki zachwyciły mnie, nawet pomimo tego, że wizerunek płaczącego Jezusa o wysokim głosie w żadnym wypadku nie wydawał się trafiony. Tym niemniej, kiedy narkotyk zaczął działać, wydawało mi się nagle, że to wszystko dzieje się teraz, że uczestniczę w rozgrywającym się właśnie dramacie Jego życia. Że teraz Go zdradzają. Że teraz z Niego szydą i, o Boże, biczują razami, które przy każdym trzaśnięciu rzemienia, zdają się wrzynać w moje ciało. Że teraz przybijają Jego ręce i nogi do krzyża. Pierwszy raz w życiu uświadomiłam sobie z obezwładniającą wyrazistością fakt, że Chrystus żył naprawdę, że naprawdę doświadczył śmierci na krzyżu.

W pierwszym tygodniu mojego pobytu w Wesleyan College, dziewczyna imieniem Nancy dała mi do przeczytania książeczkę zatytułowaną "Cztery Prawa Duchowego Życia", po przeczytaniu której poprosiłam Jezusa, aby stał się częścią mego życia. Przez następnych kilka miesięcy życie układało mi się pomyślniej niż zwykle. Nie rozstawałam się z Biblią i często czytałam Księgę Psalmów, aby doznać wyciszenia, gdy czułam się otoczona przez zło. Zorientowałam się, że czytanie Nowego Testamentu poprzedza szczególnie przerażające i gwałtowne ataki ze strony otaczających mnie istot, zaczęłam go więc unikać.

Umiłowanie Boga powstrzymało mnie przed rozwijaniem moich nadprzyrodzonych zdolności, których istnienia byłam pewna. Jakiś głos w głębi duszy przestrzegł mnie: "Nie, nie rób tego, to zraniłoby Boga". Kiedy ostatnie takt muzyki ucichły, otworzyłam oczy. Byłam sama. Wszyscy wyszli. Becka znalazłam w hallu na dole. Nie mógł znieść bólu, jaki sprawiało mu przysłuchiwanie się cierpieniom Chrystusa. Zdecydowaliśmy, że musimy dowiedzieć się czegoś więcej o tym Człowieku. W niedzielę zaczęliśmy chodzić do kościoła. W kilka miesięcy potem obydwójce doświadczyliśmy spotkania z Bóstwem. Byliśmy na przyjęciu dla naszego zespołu teatralnego, które nieoczekiwanie przeciągnęło się do późnej nocy. Muzyka była przyciszona, rozmowy głębokie, i nikomu nie chciało się iść do domu. Meskalina, trawa i haszysz były dostępne w dowolnej ilości. Przed świtem Beck i ja poprosiliśmy jednego z przyjaciół, aby podwiózł nas do miasta, bo chcieliśmy zdążyć na pierwsze nabożeństwo. Nasza prośba wywołała pomruki niezadowolenia i komentarze w rodzaju: "Nie mogę w to uwierzyć!", ale w końcu ktoś nas podwiózł i przyjechaliśmy na czas. Usiedliśmy w słabo oświetlonej kaplicy, zupełnie pustej, jeśli nie liczyć pięciu czy sześciu kobiet i czekaliśmy na przynoszące ulgę i pocieszenie słowa anglikańskiej modlitwy. Serce zaczęło mi bez powodu walić, a oczy wypełniły się łzami. Poczułam się nagle tak, jakby surowe i straszne oko Boga rozdarło chmury i wpatrywało się we mnie z miłością a zarazem groźnie. "Dlaczego krzywdzisz się w ten sposób? Czy nie wiesz jaką szkodę ponosi twoja dusza i ciało przez te narkotyki?" Myśl ta zdawała się wypływać z prostego, mosiężnego krzyża na ołtarzu. "Czy nie wiesz, że ja cię kocham?" Ukryłam twarz w dłoniach i cicho zapłakałam.

Później, kiedy szliśmy szarą, cichą ulicą, Beck wziął mnie za rękę i powiedział: Bóg nie chce, żebyśmy znowu brali narkotyki, prawda? Popatrzyłam na niego zdziwiona.

- Ty też to poczułeś?

Skinął głową.

- To będzie trudne.

Miał rację. To było trudne. Ale pomimo, że nadal chodziliśmy na spotkania naszej gromady, nigdy więcej nie tknęłam narkotyków. Moje życie, przynajmniej powierzchownie, uległo radykalnej zmianie. Jeden z naszych ćpających kolegów dał nam ukradzioną Biblię Jerozolimską. Nigdy nie dowiedzieliśmy się skąd ją wziął. Beck i ja spędzaliśmy długie godziny czytając ją sobie nawzajem na głos. A raczej Beck spędzał długie godziny czytając ją na głos samemu sobie. Kiedy byliśmy razem, nakłaniałam go, aby czytał fragmenty "Trylogii" Tolkiena zamiast biblii. Z jakiegoś powodu nie mogłam znieść na dłuższą metę dźwięku słów Nowego Testamentu. Euforia, którą czułam w czasie słuchania muzyki z musicalu "Jesus Christ Superstar" zmieniła się w czarną depresję bez wyjścia. Nie chodziłam już do teatru, ale wciąż jeszcze odwiedzałam cmentarz i małą kapliczkę. Prawie nie było nocy, żeby nie budziły mnie ciemne postacie szepczące słowa w niezrozumiałym języku. Na twarzy czułam ich zimne, cuchnące oddechy, a żelazne palce zaciskały się na moich ramionach i piersiach. Podczas wieczornych spacerów drzewa zdawały się przybierać makabryczne, groteskowe kształty i wpatrywały się we mnie wyczekująco tysiącem złych oczu... Za każdym razem, gdy przechodziłam przez ulicę, serce waliło mi ze strach, że demony zmuszą jakiegoś kierowcę, aby mnie przejechał. Moją głowę wypełniały myśli o śmierci i silna nienawiść. Zapisywałam swój dziennik cytatami z "Medei", "Złego nasienia" i tworzonych w umęczeniu wierszy Edgara Allana Poe. Kilka razy zaczynałam wspinać się na pobliskie wzgórze, aby pójść do jednego z tutejszych psychiatrów, i za każdym razem zatrzymywałam się w pół drogi, pewna, że ich pomoc na niewiele się nie przyda. Źródłem moich problemów nie był mój umysł, znajdowało się ono zupełnie gdzie indziej, ale nie było nikogo, od kogo mogłabym oczekiwać wyzwolenia. Nikogo, być może, oprócz Boga, ale On wydawał mi się bardzo odległy. Moje serce tęskniło za Nim, wołało do Niego, ale coś stało mi na drodze. Płacząc rzucałam się na kolana, wołając: "Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił? Daleko od mego Wybawcy słowa mego jęku. Boże mój, wołam przez dzień, a nie odpowiadasz, (wołam) i nocą, a nie zaznaję pokoju." (Psalm 22, 2-3). Potem, nocą, złe istoty zjawiały się znowu, i nawet gorączkowo szeptany psalm dwudziesty trzeci nie mógł ich odpędzić. O Boże, dlaczego nie mogę, tak jak psalmista, nie lękać się zła chodząc nie kończącą się ciemną doliną w cieniu śmierci. Dlaczego Twój kij i Twoja laska nie są dla mnie pocieszeniem? Biegałam wtedy do mojego dobrego Becka, który przytulał mnie, dopóki nie przestałam szlochać. Kiedy w zimie 1971 poprosił mnie o rękę, powiedziałam tak.

KONTROLA UMYSŁU (SILVA MIND CONTROL)

Polana płonęła jasno na ogromnym kominku, który mama dawno temu nazwała "głupstwem Alberta". Wcześniej tego wieczoru, stojąc wśród bujnych krzewów hibiskusa w naszym ogrodzie, obserwowałam zbierające się nad górami ciemnoszare chmury. Lekki podmuch wiatru był chłodny i orzeźwiający. Teraz w dolinie Cuernavaca padał drobny deszcz. Letnie deszcze rozpoczęły się już na dobre. Zwinęłam się na sofie i z rozrządzeniem przyglądałam się złocistym płomykom ognia.

W tle rozbrzmiewał cicho koncert Brahmsa, a mój mały syjamski kociak, Salomon, mruczał z zadowolenia na moich kolanach. Mama siedziała w swoim ulubionym niebieskim pluszowym fotelu, nazwanym przez tatę "Trumiennym kącikiem": Czytała kryminał Agaty Christie i paliła nieodłącznego papierosa. Od czasu do czasu czułam na sobie jej, poważny, skupiony i zatroskany wzrok. Już od dawna zdawała sobie sprawę, że potrzebna jest mi fachowa pomoc; wiedziałam, że bierze pod uwagę również pomoc psychiatryczną. Nie mogłam powiedzieć, że mam jej to za złe. Ponownie stanęły mi przed oczami męczarnie ostatnich dni. Widziałam siebie zapłakaną, z bezsilności walącą ręką w ścianę. Ostatnie dni w Chapel Hill były prawdziwą katastrofą. Mama i tata przyjechali specjalnie na uroczystości zakończenia studiów; bardzo tego wówczas żałowałam. Ojciec natychmiast poczuł do Becka nieubłaganą niechęć. Swoje uczucia skrywał nieudolnie pod pozorami druzgocącego sarkazmu. Każdy młody człowiek przedstawiony mu jako przyszły zięć bez wątpienia byłby potraktowany podobnie. Byłam ulubienicą Tatusia, jego pierworodną córeczką. Żaden kandydat nie byłby dla mnie dość dobrą partią, a już na pewno nie ten cichy, delikatny, młody człowiek, z zawodu technik oświetlenia teatralnego, podróżujący z tymczasową trupą teatralną i paradujący z długimi włosami i brodą, które, jakkolwiek zadbane, od razu wykluczały go jako hippisa. Rodzice nie potrafili zrozumieć, że Beck prawdopodobnie uratował mnie przed chorobą psychiczną, a może nawet ocalił mi życie. Zależało mu na mnie na tyle, że pomógł mi przetrwać najtrudniejsze momenty mojego życia. Nawet Damon nie potrafił, a może ze zrozumiałych powodów nie chciał przedzierać się przez labirynt, w którym się znalazłam. Beck nie wymagał ode mnie wyjaśnień, których nie mogłam udzielić, ani zmian, których nie miałam siły dokonać. Kochałam go za to. Ale już w kilka tygodni po moim powrocie do Meksyku wiedziałam, że małżeństwa z tego nie będzie i zerwałam zaręczyny. Prawdopodobnie mój ojciec winił Becka także, całkiem niesłusznie, za mój, jakkolwiek niegroźny, związek z narkotykami.

"Kai nie miał prawa im o tym mówić!" mówiłam do siebie. Kai był profesorem teatrologii w Chapel Hill. Znał mamę z czasów, gdy robiła u niego dyplom.

- Jeżeli chodzi o mnie, to uważam, że tylko trzy osoby na tym roku mają talent - powiedział kiedyś Damon, Malcolm i ty.

Ceniłam sobie jego opinię tym bardziej, że od czasu rozstania z doktor Bryce mało kto dodawał mi otuchy i wiedziałam, że efekty mojej pracy w teatrze, z bardzo nielicznymi wyjątkami, są po prostu nie do oglądania. Kai dowiedział się jakoś, że bywałam czasem na teatralnych "przyjęciach z trawką" i uważał za swój obowiązek powiedzieć o tym mamie, gdy zobaczył ją w czerwcu na zakończeniu roku. Rozumiałam motywy jego postępowania, ale czułam się zdradzona. W każdym razie Kai nie mógł wiedzieć, że i tak w kwietniu skończyłam z narkotykami. Gdyby tylko mama i tata zechcieli w to uwierzyć. Byłam w tak skrajnym napięciu nerwowym, tak załamana i przygnębiona, że oboje byli pewni, iż jestem pod działaniem takich czy innych środków. Nigdy nie potrafiliby tego zrozumieć. Och, Boże, gdybym przynajmniej ja potrafiła to zrozumieć. Cały czas czułam zacieśniający się wokół mnie ciemny krąg. Czy kiedykolwiek wyrwę się z niego? Kociak na moich kolanach poruszył się. Delikatnie pogłaskałam go po łebku.

- Hej, Johanna! Posłuchaj tego. - Ojciec wołał mnie z sąsiedniego pokoju, w którym czytał gazetę. Cytuje: "Metoda Kontroli Umysłu. W ciągu 48 godzin możesz nauczyć się panować nad swoim umysłem i osiągać to, czego pragniesz. Możesz pokonać depresję, złagodzić bezsenność, wyeliminować negatywne myśli, uniknąć irracjonalnych lęków (głęboki teatralny głos ojca szczególnie podkreślił ten ostatni punkt), zmniejszyć nerwowość, rozwinąć postrzeganie pozazmysłowe, a nawet uzyskać spokój ducha!" To wygląda jak coś dla ciebie, kochanie.

- To raczej wygląda dziwnie - powiedziałam wchodząc do pokoju - Pewnie to jakaś banda szaleńców.

- To całkiem prawdopodobne, ale przynajmniej miałabyś coś do roboty.

Miał rację. W tamtym czasie w Cuernavaca nie było nic do roboty dla młodej Amerykanki z dobrego domu.

- Spotkanie organizacyjne jest dziś wieczorem. Dlaczego nie pojechać z mamą i nie zobaczyć, co to takiego?

- We wtorek wieczorem, w taki deszcz? - wyraziłam swoje wątpliwości bez przekonania, niepewna, czy tata nie żartuje.

- Możesz udawać, że jest poniedziałek rano i wziąć parasol - odciął się tata. Pojechaliśmy. Obietnice wymienione w ogłoszeniu zostały potwierdzone i rozwinięte na spotkaniu prowadzonym przez pewnego siebie mężczyznę po trzydziestce, o imieniu Tom.

- Nauczycie się tu wielu cudownych rzeczy posługując się do woli falami alfa wysyłanymi przez mózg. Jest to poziom świadomości wykorzystywany przez geniuszy, wielkich artystów i mistrzów oraz przez wielkie media. Znam na przykład pewną starą kobietę w Mexico City, która dokonuje cudownych uzdrowień i operacji dzięki osiągnięciu poziomu siódmego, to znaczy, dzięki opanowaniu częstotliwości delta, na której osiąga się Świadomość Kosmiczną i Oświecenie. Większość z nas prawdopodobnie nigdy nie uzyska tak zdumiewającej kontroli nad własną świadomością jak ta kobieta o imieniu Pachita, ale i tak będziecie zaskoczeni własnymi możliwościami.

Tom ogarnął wzrokiem około piętnastu osób zebranych na sali i uśmiechnął się szeroko. Potem, pomagając sobie wykresami, objaśnił krótko podstawowe częstotliwości fal wysyłanych przez ludzki mózg, które można odczytać przy pomocy encefalografu (EEG - urządzenie elektroniczne używane w medycynie do mierzenia fal mózgowych)

- Najwyższa częstotliwość jest nazywana falami beta i wiąże się z normalnym stanem świadomości i postrzeganiem na poziomie pięciu podstawowych zmysłów. Kiedy czytasz książkę, albo krzyczysz na psa, który po raz czwarty zabrudził ci dzisiaj dywan, to działasz na poziomie beta.

- Publiczność zachichotała, a Tom podtrzymał wykres, który nieomal wywrócił wskazówką.

- A teraz stan alfa. Jest to niższa częstotliwość. Głęboki relaks i medytacja zachodzą właśnie na tym poziomie, tak samo jak regeneracja ciała.

- Częstotliwości, theta i delta są jeszcze niższe i rejestruje się je zwykle u osób nieprzytomnych lub pogrążonych w głębokim śnie.

- Celem tej metody Kontroli Umysłu jest nauczenie ludzi, jak mają posługiwać się falami o częstotliwości alfa, aby stali się wyższymi przedstawicielami rodzaju ludzkiego. Zdolność wywoływania zjawisk niemożliwych do osiągnięcia na zwykłym poziomie częstotliwości, będzie dla was dowodem na to, że rzeczywiście osiągniecie panowanie na poziomie alfa. Obiecuję wam, że każda z osób na tym kursie będzie miała na to niezbite dowody na ostatnich zajęciach.

- Pozwólcie, że wyjaśnię jeszcze jedną rzecz: nie będziemy tutaj praktykować hipnozy. Nikt z was, w żadnym momencie szkolenia, nie będzie musiał powierzać komuś innemu kontroli nad własną świadomością. Nauczycie się raczej jak samemu wykorzystywać głębokie stany świadomości do jakichkolwiek celów, pod warunkiem, że będą one dobroczynne dla was samych i dla rodzaju ludzkiego.

Z tego, co mogłam zrozumieć wynikało, że nie było nic, czego nie można by uczynić dzięki zapanowaniu nad własną świadomością, od rozwinięcia genialnych zdolności i opanowania złych nawyków po leczenie chorób i dosłowne przenoszenie gór. Wszystko, czego potrzeba człowiekowi do przejścia tej umysłowej i duchowej ewolucji, to czterdziestoośmiogodzinny trening.

Tom schylił się i wyciągnął spod stołu nowy zestaw wykresów.

- Czy jak dotąd wszyscy nadążają za mną? Świetnie. Przejdźmy zatem dalej.

- Trening Kontroli Umysłu podzielony jest na cztery podstawowe części: pierwszą z nich jest kontrolowany relaks. W ciągu dwunastu godzin nauczycie się odprężenia na zawołanie, a uzyskany w ten sposób stan świadomości pozwoli uczynić waszą pracę bardziej twórczą i wydajną. Nauczycie się zasypiać i budzić się o dowolnie wybranej porze; a także kontrolować i programować sny tak, aby pomagały wam one w rozwiązywaniu problemów bez zwykłego w takich przypadkach stresu i napięcia. Nauczycie się także eliminować ból głowy i migrenę. Ile osób tutaj cierpi na migrenę? W odpowiedzi podniosło się kilka rąk.

- Nie będziecie już musieli cierpieć... chyba że sami tego chcecie.

- Druga część treningu nosi nazwę ogólnego samodoskonalenia. Pozwala ona zastosować w konkretnych przypadkach zasady "pogłębionych stanów świadomości", których nauczycie się na pierwszych zajęciach. Nauczycie się technik pozwalających wyeliminować nawyki takie jak palenie i objadanie się, a także poprawiających pamięć i ułatwiających przypomnienie. Nauczycie się kontrolować ból i krwawienie. Zapoznacie się także z metodą posługiwania się we własnej świadomości tzw. ekranem (jak ekran kinowy), co ułatwia operowanie wyobrażeniami i pozwala na dalsze rozwijanie świadomości.

Brzmiało to z pewnością zachęcająco. W następną sobotę rano, 26 czerwca leżałyśmy z mamą obok siebie, na podłodze obszernego, chociaż urządzonego w wiejskim stylu, salonu i słuchaliśmy zdecydowanego głosu czytającego tekst mający nas "zaprogramować". Nagrane na taśmę tykanie metronomu rozbrzmiewało monotonicznie w tle przynosząc uspokojenie. Odetchnęłam głęboko i odprężyłam się. Poddawałam się tym sesjom z radością, desperacko chwytając się wszystkiego, co mówił Tom, jakby miały to być słowa mojego zbawienia, ponieważ wróciłam z Chapel Hill pełna rozpacz i zamętu. Nie widziałam żadnej nadziei, z nikąd żadnego światła, żadnej możliwości wyrwania się otaczającym mnie siłom. Uważałam, że mój egzemplarz Biblii Króla Jakuba, pozytywne myślenie i moc modlitwy niewiele mogły mi pomóc. Ale tutaj, na kursie Kontroli Umysłu, naprawdę znalazłam swoje zbawienie. Okazało się, że kontrolowanie nieznanymi mi sił i zapanowanie nad nimi jest możliwe, i dziękowałam za to Bogu. W czasie każdej sesji pozwalałam się ogarnąć wypowiedzianym przez Toma słowom: "Każdego dnia jestem we wszystkim coraz doskonalsza, coraz zdrowsza. ...Mam pełną władzę nad moimi zmysłami i zdolnościami na tym poziomie świadomości i na każdym innym poziomie, także na poziomie zewnętrznej świadomości, a skoro tak... zawsze panuję nad sobą". Były to dla mnie słowa nadziei i wyzwolenia. Trzeciego dnia zaczęliśmy naukę wizualizacji i kreowania obrazu. Miało to udoskonalić naszą intuicję.

Uczyliśmy się także subiektywnych metod porozumiewania się - wszystkie te niejasne zwroty opisywały Postrzeganie pozazmysłowe (*ESP - Extra Sensory Perception*). Tom nie tłumaczył jednak tego skrótu jako Postrzeganie pozazmysłowe, ale jako Skuteczna Wizualizacja Zmysłów (*Effective Sensory Projection*). Naszą świadomością dokonywaliśmy wizualizacji wnętrza różnych metali, badając ich odmienne struktury albo właściwości mosiądzu, ołowiu czy żelaza. Odbywaliśmy wędrówkę do wnętrza liścia, a potem delikatnie, bardzo delikatnie do wnętrza małego zwierzątka. Ponieważ po nieuważnym badaniu siłami świadomości, małe ptaszki znajdowano niekiedy martwe.

- Na tym etapie, wszystko to może wydawać wam się fantazją, ale w innym wymiarze dokonują się teraz rzeczy zupełnie realne. Zaufajcie mi. Przekonacie się o tym ostatniego dnia - powiedział Tom, gdy kilku uczestników zakwestionowało celowość tej części programu. A teraz dalej, ciągnął Tom, zanim skończymy na dzisiaj musicie jeszcze zbudować sobie laboratorium.

Laboratorium był to pokój stworzony w świadomości każdego z nas, według własnego upodobania. Miało to być nasze ukryte niebo, miejsce rozwiązywania naszych problemów. Jego wygląd całkowicie zależał od nas. Niektórzy wymyślali pokoje w stylu francuskim, inni zaś woleli styl amerykańskich pionierów. Moim pokojem była grotta, w której ściany były z kryształów ametystu i szmaragdu, świecące ruchliwym, złotym światłem. Powietrze przesycił tam nocny zapach róż i jaśminu. Przed kominkiem, na którym zawsze płonął ogień, stał ogromny królewski fotel obity niebieskim aksamitem. Polecono nam umieścić w pokoju dwie szafki; jedną na problemy dotyczące mężczyzn, drugą na problemy dotyczące kobiet. Moje szafki zrobione były z tego samego materiału, co ściany i stały w zasięgu ręki obok fotela. Obok nich umieściłam zgrabnie wyrzeźbioną podstawę z drogich gatunków drewna, na której stała alabastrowa misa wypełniona złocistym balsamem. Miał mi on posłużyć do leczenia wszelkich ran i chorób, z którymi spotkam się w nadchodzącym roku. Inni gromadzili wielkie ilości narzędzi, przyrządów, chemikaliów, leków i sprzętu, który wydawał się im potrzebny. Ja postawiłam na prostotę. Na prawo od fotela, w najdalszym kącie, każdy z nas instalował komory służące do przenoszenia się na różne poziomy świadomości. Zamykały je rozsuwane drzwi, które otwierały się od góry i znikwały w podłodze. Po ukończeniu laboratorium byliśmy gotowi na przyjęcie naszych doradców. Powiedziano nam, że na doradców możemy wybrać kogokolwiek chcemy, od Buddy po Babcie Moses, ale mamy się nie dziwić, temu co ujrzymy, ponieważ często pojawiały się osoby inne od oczekiwanych. Pewien rabin biorący udział w poprzednim kursie poprosił o Mojżesza i Rebekę, a otrzymał kobietę uprawiającą taniec brzucha z jakimś faraonem.

Nie miałam najmniejszej wątpliwości kogo wybrać na moich doradców. Nie było większego źródła mądrości, do którego mogłabym się zwrócić niż Chrystus. Zastanawiałam się, czy nie jest to przypadkiem zbyt zarozumiała prośba, ale potem przypomniałam sobie, że Jezus powiedział w Piśmie: "Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli kto posłyszysz mój głos i drzwi otworzy, wejdź do niego" (Ap 3:20). Na tej podstawie uznałam, że nie będzie miał mi za złe mojej prośby. Gdy powiedziano nam, że potrzebny jest także doradca płci żeńskiej, zdecydowałam się na (aktorkę) Sarę Bernhardt. Doszedłszy już wcześniej do wniosku, że nie jestem jednak kolejnym wcieleniem Sary, pomyślałam, że miło będzie mieć ją przy sobie na stałe. Może obdarzy mnie jakimiś bezcennymi radami na temat gry aktorskiej, na wypadek gdybym zdecydowała się wrócić do teatru.

Tom powoli odliczał, a my schodziliśmy na poziom alfa by znaleźć się w naszych w pełni już wyposażonych laboratoriach. Każdy z nas usiadł w swoim fotelu i za pomocą guzika umieszczonego na poręczy fotela otwierał drzwi specjalnych komór, aby - po kawałeczku - odsłaniać swoich doradców. Gdy moje drzwi powoli się opuszczały, pokój wypełniło światło które promieniowało z postaci stojącej za drzwiami. Powoli centymetr za centymetrem, postać ukazywała się moim oczom. Błyszczące kasztanowe włosy z przedziałkiem po środku, wysokie czoło, ciemna karnacja i głębokie, łagodne, brązowe oczy. Tak! To był Jezus! Drzwi opadły już teraz same ukazując resztę postaci, ubranej w długą, białą, lnianą szatę. Biła od niego święta jasność; uśmiechał się lekko. Wstałam, a potem padłam mu do stóp. Teraz głos Toma przykazał nam odsłonić naszą doradczynię. Podniosłam wzrok. Ponownie drzwi opadały powoli, tym razem ukazując wiekową Sarę, z jej rudymi lokami, drewnianą nogą i całą postacią. Nie mogłam uwierzyć, że oboje raczyli zstąpić do mojego laboratorium.

* * *

W nocy, leżąc w łóżku, myślałam o tych wszystkich cudownych wydarzeniach tego dnia. A może tylko mi się zdawało, może Jezus i Sara nie byli tak naprawdę moimi doradcami. Zejdę do mojego laboratorium i wywołam ich znowu. Tak, zdawałam sobie sprawę, że Tom ostrzegał nas przed tym, ale musiałam przecież przekonać się, czy mam właściwych doradców. Było to dla mnie zbyt ważne, by czekać. Powoli wyciągnęłam się i ułożyłam wygodnie na poduszkach zaczynając odliczanie i schodząc do poziomu alfa. W laboratorium usiadłam w fotelu i ogarnęłam spojrzeniem kryształowe ściany, błyszczące niczym witraże od Tiffany'ego. Jakie to piękne. Odwróciłam fotel przodem do drzwi i modliłam się słowami: Panie proszę, ukaż mi moich prawdziwych doradców. Drzwi zaczęły się opuszczać i wydobywała się spoza nich ta sama świetlista postać, ale coś było nie w porządku. Jej włosy były zmierzwione i dzikie, czoło pokryte sierścią, oczy skośne i pałające okrutną nienawiścią, takie jak te, które widziałam w teatrze Playmakers. Świeża krew pokrywała pysk bestii i spływała z jej długich, białych kłów, plamiąc przód szaty. Reszta postaci pozostała niezmienną - ubrana w długi, biały płaszcz i promieniujący światłem. Istota patrzyła na mnie warcząc i odsłaniając kły. Moje ciało, leżące na łóżku, ogarnęło obezwładniające zimno.

- O Boże, uwolnij mnie, uwolnij mnie! - wrzeszczałam w myślach, bo nie byłam w stanie wrócić do rzeczywistości. Mijały minuty (godziny?) dławiącego przerażenia. Potem nagle, tylko dzięki wysiłkowi woli, coś pękło i poczułam, że jakaś siła wyrzuca mnie z laboratorium. Zerwałam się na równe nogi. Moje ciało drżało w szoku. Myślałam, że takie wizyty mam już za sobą... ale nie posłuchałam poleceń. Sama się w to wpakowałam. Boże, wybacz mi! Pomóż mi! Zapaliłam lampkę nad łóżkiem. Może mój pośpiech nie zostanie mi poczytany za złe. Z pewnością rano wszystko będzie w porządku.

* * *

Nadszedł czwarty i ostatni dzień naszego treningu Kontroli Umysłu, nazwany dniem "zastosowania postrzegania pozazmysłowego", nazywany "dniem ostatecznego dowodu". Dziś przekonam się, czy rzeczywiście działam na poziomie alfa i czy potrafię naprawdę odczytać informacje przekazywane mi drogą pozazmysłową.

Tom wręczył nam kartki, objaśniając podstawy anatomii człowieka.

- Oto dzień, na który czekaliśmy - uśmiechnął się do nas - Zacniemy od ustalenia punktów odniesienia, na poziomie alfa, wewnątrz organizmu ludzkiego, tak abyście byli w stanie wykryć i skorygować wszelkie wyczuwalne odchylenia wewnątrz organizmu. Znaczy to, że pod koniec dnia nauczycie się "odczytywania chorób", tak jak to robił sławny Edgar Cayce, z tą różnicą, że Cayce na niższych poziomach tracił świadomość. Wy będziecie dokonywać podobnych czynów w pogłębionej świadomości i nie straciecie kontroli nad sobą, jak to miało miejsce w jego przypadku. A teraz ułóżcie się na podłodze i zaczynamy.

W czasie pierwszej sesji, jak zwykle odliczając, zesliśmy na niższy poziom. Powiedziano nam, że mamy wejść do laboratoriów i przywitać naszych doradców. Podczas schodzenia bałam się, ale starałam się rozluźnić przy monotonnym dźwięku metronomu. Z pewnością wszystko pójdzie dobrze. W laboratorium czekały na mnie dwie postacie odwrócone twarzą do ściany. Gdy weszłam, powoli odwróciły się w moją stronę. Jęknęłam. Zarówno Sara, jak i Jezus mieli teraz twarze wilkołaków. Stali przyglądając mi się i warcząc cicho. Nagle zrozumiałam, że nie odejdą i że będę musiała stawić im czoła. Po dłuższej chwili zebrałam całą odwagę i zbliżyłam się do nich. Kiedy szłam w ich kierunku zaczęli się zmieniać. Twarz Jezusa rozblęsnęła na moment – zrobiła się miłą i rozświetlona - a potem znów w mgnieniu oka pojawiła się twarz wilkołaka. To samo działo się z Sarą; twarze zmieniały się, i zmieniały znowu. Zmusiłam się, by podejść do postaci Jezusa i przemówiłam: Panie, dlaczego Ty i Sara zachowujecie się tak dziwnie? To mnie przeraża. Twarz Jezusa znowu zrobiła się uśmiechnięta i łagodna.

- Nie bój się, chcemy cię tylko nauczyć, że nie wszystko, co z pozoru wydaje się złe, jest złe w istocie. Kiedy naprawdę pojmiesz tę naukę, twarze wilkołaków znikną na zawsze i zawsze będziesz nas oglądać takimi, jakimi jesteśmy w rzeczywistości – powiedział. Słowa te zabrzmiały w mojej głowie tak wyraźnie, jakby ktoś wymówił je na głos, ale nie mogłam pojąć co miały znaczyć. Nagle zrozumiałam: że jakkolwiek przerażające wydawały mi się te istoty, to nie były one złe. Postanowiłam, że nauczę się im ufać i akceptować bez względu na to, jak sprzeczny z tym postanowieniem byłby ich wygląd. Wyglądało na to, że wszystko zostało zaplanowane, aby wzmocnić mnie i umożliwić mi duchowy wzrost. Złe twarze pojawiły się znowu, odsłaniając zęby w ohydny uśmiech, oczekując mojej odpowiedzi na to, co mi objawiły.

- Przyjmuję to, co mi powiedziałaś. Postaram się szybko opanować tę lekcję, Panie. Podeszłam do niego, a on schylił się, aby przyjąć pocałunek, jaki złożyłam na owłosionym, umazanym krwią czole.

- Dziękuję ci, maleńka - dobiegł mnie łagodny głos. Tom odliczył nasz powrót już kilka minut temu, ale nie słyszałam go.

Kiedy wreszcie otworzyłam oczy, zdałam sobie sprawę z dziwnych spojrzeń rzucanych mi przez pozostałych uczestników kursu stojących dookoła. Upłynęło jeszcze kilka tygodni, zanim potrafiłam opanować mój strach na tyle, aby zagwarantować ostateczne zniknięcie strasznych twarzy. W miesiąc później przechodziłam ten sam kurs po raz trzeci. Podczas zajęć w Mexico City, towarzyszyła mi moja siostra Kim. Ona także poprosiła, aby jej doradcą był Jezus, ponieważ od kilku lat była gorliwą chrześcijanką. Kim nie chciała brać udziału w kursie, ale w końcu uległa naszym namowom. Opowiadała mi potem, że kiedy nadszedł "czas przyjęcia doradców, to ukazała się jej twarz szatana; po czym rozległ się głośny huk, i donośny głos zawołał: "Nie będziesz miał bogów cudzych obok mnie!", i szatańska wizja znikła. Kim była przekonana, że widziała szatana, i że Kontrola Umysłu ma związek z okultyzmem i jest duchowo niebezpieczna. Ja jednak, biorąc pod uwagę to, co usłyszałam od moich doradców, uznałam, że po prostu nie była ona dostatecznie doinformowana, aby zrozumieć co naprawdę zaszło. Dlaczego tak się przeraziła? Przecież ja też miałam swoje przerażające wizje i stawiałam im czoła. Wydawało się to jedynym rozsądnym zachowaniem, ponieważ nie można wzrastać duchowo uciekając przed wszystkim, czego się boimy. Trzeba spojrzeć strachowi prosto w twarz. Myślałam, że jest zbyt ograniczona i że przez to nigdy nie rozwinie się duchowo. Tak więc zlekceważyłam wszystkie gorączkowe ostrzeżenia mojej siostry.

* * *

Tak jak obiecywał Tom, ostatni dzień zajęć okazał się ogromnym sukcesem. Rzeczywiście otrzymaliśmy wszelkie dowody na to, że działamy na poziomie alfa. Każdy z nas został poproszony o przyniesienie kilku kart o wymiarach trzy na pięć cali, każdej z wypisanym imieniem, nazwiskiem, wiekiem, płcią i miejscem pobytu jakiejś znanej nam osoby - najlepiej kogoś poważnie chorego lub niepełnosprawnego. Należało sporządzić jak najdokładniejszy opis stanu zdrowia tej osoby i umieścić go na karcie, którą oddawało się Tomowi, nie pokazując jej nikomu innemu. Tom rozdał nam po dwie lub trzy karty na chybił trafił, następnie podzieliliśmy się na trzyosobowe grupy najlepiej nie w gronie bliskich przyjaciół i udaliśmy się na poszukiwanie odosobnionego miejsca pracy. Jedna z osób miała być medium, druga miała podjąć rolę przewodnika. Do tego celu otrzymaliśmy specjalną kartę orientacyjną. Trzecia osoba miała być sekretarzem zapisującym każde wypowiedziane przez medium słowo. Jedna osoba miała odczytać kilka przypadków, a potem mieliśmy zamienić się rolami. Osoba będąca medium otrzymywała polecenie zejścia do swojego laboratorium, przywitania doradców i odmówienia swojej modlitwy powitalnej (mogło to być w zasadzie wszystko od "Cześć, fajnie że jesteście" aż po Modlitwę Pańską). Potem przewodnik pomagał medium w odliczaniu przy zejściu na jeszcze głębszy poziom, gdzie, jak nam powiedziano, osiąga się większą precyzję i dokładność odczytu.

- Kiedy powiem "trzy", ciało osoby X (tu padło imię, wiek, adres i płeć) pojawi się na twoim ekranie. Wyczuj je, dotknij go, zobacz je, wyobraź je sobie, stwórz je, wiedz, że ono tam jest - przyjmij za pewnik, że ono tam jest. Zbadaj to ciało swoim umysłem od miejsca, gdzie znajduje się głowa, do miejsca, gdzie znajdują się stopy - z góry na dół, z góry na dół, co sekundę. Niech twój umysł badając to ciało, wybierze trzy obszary wzbudzające największe zainteresowanie. Po ustaleniu tych obszarów, osoba działająca jako medium określała ich położenie. Miała ona mówić wszystko, co tylko przyszło jej na myśl. Te najbardziej interesujące obszary były następnie dokładnie badane, a umysł medium miał być otwarty na jakiegokolwiek symptomy uszkodzenia lub złego funkcjonowania. Nie przestawaj w trakcie badania mówić, mów wszystko, co masz do powiedzenia. Jeżeli czujesz się tak, jakbyś to wszystko zmyślała, to jest normalne uczucie. Opowiadaj mi o wszystkich swoich wrażeniach, bez względu na to, czy wydają ci się błędne, czy nie.

Jeśli podawane informacje były zgodne z prawdą, to osoba będąca medium otrzymywała polecenie zweryfikowania swoich wrażeń, aby ułatwić dokładne rozpoznawanie tych miejsc podczas kolejnych seansów. Duchowi doradcy medium zwykle podawali mu potrzebne informacje na temat choroby. W wyjątkowych przypadkach operowali nawet nie znanymi mu pojęciami. Karty często nie zawierały wyczerpujących informacji i jakiś szczegół dostrzeżony podczas badania budził często zdziwienie osoby, która dostarczyła informacje, a której nie było w pokoju w trakcie odczytywania. Stwierdzała ona potem, że zupełnie zapomniała o tej konkretnej przypadłości. Często osoba, która dostarczyła kartę, dowiadywała się dopiero później o jakiejś nieznanej wcześniej dolegliwości lub pozostałości choroby (takiej jak blizny lub zrosty po złamaniu), którą wykryto przy badaniu, a na którą rzeczywiście cierpiała opisywana osoba. Część osób podejrzewała zapewne, że osiągnane przez nas rezultaty są jedynie wynikiem odgadnięcia i szczęśliwego trafienia. Aby sprawdzić tę hipotezę, osoby te zostały poproszone o odczytanie jakiegoś przypadku bez schodzenia na poziom alfa, jednak ich porażka była zupełna.

Wobec tak olbrzymiego zakresu prawdopodobnych chorób, dolegliwości i czynników wpływających na ludzkie ciało, zgadywanie nie wchodziło w grę. Rzeczywiście otrzymywaliśmy te informacje drogą pozazmysłową. Teoria wyjaśniająca to zjawisko brzmiała następująco: skoro informację można otrzymać, to znaczy, że można ją też przekazać, bez względu na to czy osoba odbierająca ją jest tego świadoma czy nie. Jeśli tak, to choroby można cofać i leczyć; czasem oznaczało to operowanie nowotworu, rozłupywanie kamieni nerkowych przy pomocy metalowego młotka, albo nacieranie bolących stawów leczniczym balsamem, wszystko to dzięki siłom psychicznym: Można było w ten sposób rozwiązywać wszystkie problemy, przewidzieć katastrofy i zapobiegać nieszczęściom. Aby ustrzec społeczeństwo przed inwazją samozwańczych lekarzy, Tom podkreślał, że "nie wolno nam nigdy stawiać diagnozy. Ponieważ tylko ludzie z medycznym wykształceniem mają oficjalne zezwolenie na diagnozowanie i leczenie. My prowadzimy tylko badania psychiczne i wykrywamy zmiany i wady organizmu w pogłębionej świadomości."

Na zakończenie każdego badania, przewodnik wygłaszał następującą formułę:

- Za każdym razem, gdy wejdiesz w ten wymiar ze szczerym pragnieniem niesienia pomocy ludzkości, będziesz działał dla własnego dobra. Twoje zdolności będą się rozwijały i za każdym razem będziesz w stanie osiągnąć większą dokładność. Niech tak będzie.

Naszym celem było czynienie dobra, pomaganie całej ludzkości. Myślę, że wśród nas nie było tego dnia nikogo, kto nie byłby napełniony podziwem na samą myśl o siłach i możliwościach, które się przed nami otwierały. Nauczono nas podstaw, dalej była to tylko kwestia ćwiczeń. I rzeczywiście świadomie oddałam się tym ćwiczeniom, pozostając w ciągu dnia jak najdłużej na poziomie alfa, a w nocy programując swój sen tak, abym mogła zapamiętywać sny i tłumaczyć ich znaczenie. Sama próbowałam badać różne przypadki chorobowe, czasem pomagała mi w tym koleżanka, Joan*, która zauważyła, że osiągam coraz lepsze rezultaty. Tak jak i inni absolwenci Kontroli Umysłu, dostrzegałam nie tylko fizyczne, ale także duchowe i psychiczne problemy badanych osób, uzyskując informacje zarówno o ich przeszłości, jak i przyszłości. Zaczęłam się także ćwiczyć w psychometrii, to znaczy w odczytywaniu informacji dzięki odbieraniu wibracji jakiegos przedmiotu.

Wieczorem 15 lipca 1971, kilkoro z nas spotkało się na obiedzie u Jensenów*. Jak wielu mieszkańców Meksyku, Jensenowie byli zapalonymi kolekcjonerami rzemiosła ludowego i po obiedzie postanowili pokazać nam swoją kolekcję. Jeden z pokoi w ich domu wypełniony był różnorodnością pięknych masek, figurek i najróżniejszych przedmiotów, zebranych na przestrzeni lat z całego świata, choć przeważały wyroby z Meksyku. Pan Jensen zatrzymał się przy stoliku, na którym ułożona była część jego afrykańskiej kolekcji. Podniósł jakąś bransoletkę dziwnej roboty, wykonaną ze splatających się ze sobą metali, wyglądających na mosiądz i srebro. Jensen nie powiedział nic wręczając bransoletkę Tomowi, zapytał tylko czy może on uzyskać jakieś wiadomości na jej temat. Usiedliśmy na werandzie, podczas gdy Tom zszedł na niższy poziom świadomości. Podczas gdy Tom koncentrował się na przedmiocie, ze zdumieniem zobaczyłam mglistą postać Araba ubranego w długie, białe szaty, stojącą tuż za jego prawym ramieniem. Oczy Araba utkwione były w bransoletkę; wpatrywał się w nią zachłannie. Ledwie powstrzymałam się od krzyku, zrozumiałam jednak, że Tomowi nic nie grozi. Siedziałam cicho i przyglądałam się dalej, jak Arab wycofał się do ogrodu i zatrzymał pod drzewem. Pod ścianą, na prawo od Toma, pojawiło się dwoje afrykańskich tubylców. Byli wysocy i przystojni, a ich ciała błyszcząły, jak naoliwione. Kobieta nie miała na sobie prawie nic poza ozdobną przepaską na biodrach, złotymi łańcuszkami na szyi i kolczykami w uszach. Bransoletka, którą Tom trzymał w ręce, znajdowała się na jej lewym nadgarstku. Stali tak patrząc prosto przed siebie. Minęło kilka minut. Tom wrócił na zwykły poziom świadomości i potrząsnął głową. Nic nie odczytał. Wtedy powiedziałam o postaciach, które widziałam i poprosiłam o bransoletkę. Kiedy odliczyłam i zesłam na niższy poziom, poczułam nagle, że zostałam przeniesiona do obcego kraju. Stałam na brzegu urwiska, ziemia wokół mnie była sucha, kamienista i porośnięta krzewami. Daleko w dole płynęła rzeka, wezbrana i rwąca po padających w górnym jej biegu deszczach. Po drugiej stronie wąwozu zobaczyłam tego samego Araba, który stał za Tomem. Był z nim drugi człowiek. Klócili się zawzięcie o kilka małych skrzynek wypełnionych biżuterią. Potem zobaczyłam jak Arab zepchnął tego drugiego z urwiska. Słyszałam jego krzyk w czasie upadku. Arab pospiesznie schował z powrotem do skrzynki jakieś rzeczy, które z niej wypadły w czasie szarpaniny. Przez nieuwagę zostawił kilka ozdób, leżących pod osłoną niewielkiego krzaka. To było wszystko, co zdołałam zobaczyć. Widzenie trwało tylko chwilę i skończyło się bardzo szybko, otworzyłam oczy i odłożyłam bransoletkę. Nie mogłam trzymać jej dłużej w ręku. Kiedy opowiedziałam pozostałym, co widziałam, pan Jensen wyglądał na bardzo poruszonego. Nie można było sprawdzić wiarygodności mojej wizji, ale człowiek, od którego pan Jensen dostał tę bransoletkę, znalazł ją w miejscu bardzo podobnym do tego, które opisałam.

Pomiędzy 13 a 16 lipca, po raz drugi poddałam się treningowi Kontroli Umysłu i wtedy zaczęły się moje cudowne widzenia. Pewnego ranka, zaraz po zejściu do laboratorium, poczułam się bardzo lekko, niemal w stanie nieważkości. Mój doradca Jezus, czekał na mnie w grocie. Widziałam jak podpływam ku niemu, przyciągana jego siłą. Intensywny złoty blask bijący od niego był prawie oślepiający, wypełniał cały pokój i przenikał kryształowe ściany, które także wysyłały ze swego wnętrza złote promieniowanie. Jezus uśmiechał się do mnie. Już prawie od tygodnia nie widziałam twarzy wilkołaków i powoli pozbywałam się dawnych lęków. Prawą rękę Jezusa wypełniał płynny ogień, płomienie tańczyły i połyskiwały w zagłębieniu jego dłoni. Kiedy stanęłam przed nim, wylał na moją głowę płomień ognia, który ogarniał mnie i opływał, aż otulił całe moje ciało, Otoczyły mnie ciche głosy śpiewające jakąś cudowną melodię. Potem zobaczyłam przepiękną kobietę z rozpuszczonymi włosami, w lśniących, granatowych szatach usianych maleńkimi gwiazdkami. Z początku widziałam ją niewyraźnie, zza kryształowej ściany. Ona zbliżyła się, do mnie, ujęła mnie za ramiona i delikatnie pocałowała w czoło. Środkowy palec prawej ręki położyła mi pomiędzy brwiami, naciskając miejsce nieco na prawo od środka czoła, mówiąc: Witaj, moje dziecko. Potem odwróciła się i odeszła przez ścianę, tak jak się pojawiła. Nigdy nie doświadczyłam takiej radości, takiego światła i spokoju, tak niewysłowionego uniesienia. Nareszcie znalazłam się na właściwej drodze. 22 lipca, podczas mojego trzeciego z kolei udziału w kursie, (mój doradca) Sara, która odkąd mi towarzyszyła, przez dwadzieścia pięć dni, nigdy nie odezwała się ani słowem, nagle oświadczyła, że nadeszła pora jej odejścia. Poświęciła mi tyle czasu, ile mogła, ale teraz potrzebowano jej gdzie indziej. Nadszedł dla mnie czas wyboru nowego doradcy. Powiedziawszy to odwróciła się i wyszła z pokoju. Po upływie kilku chwil pojawiła się przede mną inna kobieta niskiego wzrostu. Była to Indianka z któregoś z meksykańskich plemion. Nie przyszła do mnie tak, jak dotychczasowi doradcy. Jej wzrok trzymał mnie w miejscu, jakby to ona mnie wzywała. Wszystko zdawało się koncentrować wokół jej oczu. Były to przenikliwe oczy o głębokim odcieniu bursztynu; oczy kogoś, kto posiadał odwieczną mądrość i kogo nic nie jest w stanie zaskoczyć. Jej twarz była jak wyrzeźbiona; pełna zmarszczek, a jednak piękna. Długie siwe włosy, splecione w warkocz tworzyły na jej plecach pętlę. Miała na sobie prostą sukienkę z niebieskiej bawełny, sięgającą do kostek, szeroki fartuch służącej i proste sandały. Pomimo jej arystokratycznych rysów, miała wygląd sługi. Kiedy się pojawiła, to właśnie słowo przyszło mi na myśl: "Sługa". Początkowo myślałam, że może jest to Pachita, ale gdy opisałam ją Tomowi, pokręcił przecząco głową. Ktokolwiek mi się ukazał, nie była to Pachita. Tom zaproponował, żebym zapytała ją kim jest i tak też zrobiłam.

- Czy możesz powiedzieć mi kim jesteś? Wzięłam cię za Pachitę. Wybacz mi. Po twarzy kobiety przemknął cień uśmiechu.

- Nie dałaś mi szansy, abym ci powiedziała, kim jestem - powiedziała. Masz mnie nazywać Mamacita (Mateczka). Przychodzę, aby ci przypomnieć o roli sługi, która cię czeka. Nauczę cię pokory i wprowadzę w tajniki prawdziwej mądrości.

- Jestem zaszczycona twoim przybyciem, Mamacito. Jestem gotowa nauczyć się wszystkiego, co zechcesz mi przekazać - odpowiedziałam, przejęta jej obecnością. Wiedziałam, że jej przybycie oznacza, iż nadszedł dla mnie czas spotkania z Pachitą.

PIĘKNA STRONA ZŁA

Sześć kolejnych dni po moim pierwszym spotkaniu z Pachitą spędziłam na duchowych przygotowaniach. Instynktownie czułam, że znalazłam się o krok od odkrycia swojego powołania i że w moim poszukiwaniu Boga zbliżam się do celu. Wiedziałam, że lata strachu mam już za sobą. Moi przewodnicy duchowi, Jezus i Mamacita, byli ze mną i uczyli mnie panowania nad niższymi duchami. W ciągu długich godzin spędzanych na medytacji obmywały mnie fale światła i spokoju rozprasające ciemności.

Siódmego dnia rankiem, 27 lipca 1971 w piątek, wróciłam, aby ponownie zobaczyć się z Pachitą. Ojciec Humberto i Peggie* wyrazili chęć towarzyszenia mi. Ojciec Humberto, katolicki ksiądz i aktor filmowy, złamał nogę w wypadku samochodowym i zatrzymał się w domu zajmowanym przez Kontrolę Umysłu na czas rekonwalescencji. O ile wiem, nigdy przedtem nie widział się z Pachitą. Ojciec miał nadzieję, że Hermanito Cuauhtemoc, (Braciszek), jak pieśczośliwie nazywano ducha działającego za pośrednictwem Pachity, wyleczy mu nogę tak, aby mógł bezzwłocznie powrócić do swojej pracy z trędowatymi, niedaleko od miejscowości Tepoztlan. Peggie, która również mieszkała w budynku Kontroli Umysłu, była operowana przez Pachitę jakieś pięć tygodni wcześniej. Hermanito zaczął zaklejać w jej czaszce dziury spowodowane odwapnieniem i usunął jej nie nadający się do operacji guz mózgu. Widziałam wyraźną czerwoną bliznę z tyłu głowy, gdy Peggie odchyliła włosy, aby mi ją pokazać. Tata zdecydował się także przyłączyć do nas. Jego nastawienie do Pachity po wszystkim, co o niej słyszał, było całkowicie sceptyczne, ale ponieważ przybrał wyraz twarzy mówiący: "podejdę do tej sprawy bez uprzedzeń", więc miałam nadzieję, że w końcu ją zaakceptuje.

Do domu Pachity przyjechaliśmy około 11.30 rano. Podwórce było już zapchane ludźmi oczekującymi na wizytę u Hermanito, gdyż wielu z nich przyjechało przed świtem. Kilka kobiet przygotowywało tłum na przybycie Hermanito: najpierw miały być przyjęte zamężne kobiety i dzieci, następnie mężczyźni, a na samym końcu niezamężne kobiety. Wejściówki sprzedawano po dziesięć pesos (wtedy ok 80 centów USA). Małe dzieci i najbiedniejsi pacjenci nie płacili nic. Dowiedziałam się, że opłaty zostały wprowadzone niedawno przez pomocników Pachity, aby zapewnić jej utrzymanie, bo zły stan zdrowia nie pozwalał jej na sprzedawanie odpustowych świecidełek i losów loteryjnych na ulicy. Sama Pachita nigdy nie pobierała opłat za uzdrowienia. Każda z osób czekających w kolejce musiała mieć ze sobą świeże, surowe jajko dla Hermanito, który używał ich podczas limpia - duchowego oczyszczenia, któremu poddawany był każdy podczas porannych wizyt. Zapomniałam o jajkach i pośpieszyłam wraz z kilkoma innymi osobami na targ po drugiej stronie ulicy. Wręczyłam tacie, Peggie i Padre Humberto po jajku i zajęłam swoje miejsce w kolejce. Kiedy wreszcie nadeszła moja kolej, weszłam do małej, ciemnej poczekalni, której nadal strzegła skrzydlata Ursula, i zatrzymałam się przed plastikową zasłoną, wraz z jedną z asystentek, zajmującą się wpuszczaniem pacjentów do pomieszczenia z ołtarzem. Czułam emanujące z tego pokoju bardzo silne wibracje i zaczęłam uchylać zasłonę, aby zobaczyć co się tam dzieje, ale kobieta szybko mnie powstrzymała.

- Nie! Musi być zasłonięta dopóki pacjent nie wyjdzie z pokoju! - odezwała się szeptem. Ta zasłona ma cię ochronić przed "złym wiatrem", który ktoś mógł wnieść ze sobą.

- Rozumiem - mruknęłam przepraszająco.

- Czy to twoja pierwsza wizyta u Hermanito? - jej głos złagodniał. Skinęłam głową.

- To pamiętaj, żeby nigdy nie zwracać się do niego imieniem Pachita. Zobacysz oczywiście jej ciało, ale jej w nim nie będzie.

Znowu skinęłam głową. Tom wyjaśnił mi to wcześniej. Kiedy duch był obecny, do Pachity zwracano się zawsze jako do mężczyzny i nazywano ją imieniem Hermanito. Kilka minut później kobieta odsłoniła przede mną zasłonę i przeszedłam przez próg. Pachita stała niedaleko ołtarza. Miała na sobie bawełnianą sukienkę z krótkimi rękawami, a na niej narzuconą brudną płachtę z żółtego atlasu, związaną w węzeł na ramieniu. Ozdabiały ją świecidełka przyklejone do materiału i tworzące geometryczne wzory. Był to strój, który Pachita wkładała ilekroć Hermanito Cuautehmoc udzielał jej porad lub przeprowadzał operacje. Oczywiście miała mocno zamknięte: to była jedna z oznak, że Pachita, a raczej jej duch, był nieobecny. Ale pomimo tego zdawało się, że widzi wyraźnie. Przy innej okazji miałam okazję zobaczyć, jak sprawnie nawleka igłę, której z całą pewnością nie mogła widzieć. W pokoju znajdowało się jeszcze trzech asystentów. Na prawo od Pachity stała stara Meksykanka trzymająca butelkę ze słodko pachnącym balsamem. Młody inżynier, Indianin z plemienia Yaqui o imieniu Chalio, którego później poznałam, pełnił rolę sekretarza, zapisując zalecane kuracje i leki. Trzecia osoba stała przy drzwiach wyjściowych i wypraszała pacjentów po skończonej wizycie. Stałam przed Hermanito, wciąż jeszcze trzymając w ręku jajko. Położył mi on obie ręce na ramionach i głosem o wiele niższym i bardziej ochryplym niż głos Pachity rozkazał:

- A trabajar, m'hijata (do pracy, córeczko). Moje ciało przebiegł dziwny dreszcz pod dotknięciem jego rąk.

- Od czego mam zacząć. Hermanito? - zapytałam, gdy wziął ode mnie jajko i zaczął nim szybko pocierać moją głowę i ramiona. Potem rzucił je w stronę stojącego obok kubła. Rozbiło się na podłodze. Hermanito skinął w stronę Memo, najstarszego syna Pachity, który siedział na kozetce.

- Syn mojego ciała wyda ci polecenie (Hermanito zawsze mówił o Pachicie w trzeciej osobie nazywając ją "mi carne" czyli "moje ciało"). Hermanito wyciągnął rękę do stojącej obok kobiety, a ona wylała mu na dłoń nieco słodko pachnącego balsamu, którym wszyscy pacjenci byli namaszczeni podczas wizyty. Hermanito roztarł balsam w dłoniach, a potem wziął moją głowę w mocny uścisk mruczając coś, czego nie mogłam zrozumieć. Następnie przesunął rękami po moim ciele, jakby otrzepując mi ubranie z kurzu, z przodu i z tyłu. Potem ręce znowu zacisnęły się na moich ramionach, a niewidzące oczy wpiły się w moje własne.

- A trabajar!

Memo wyszedł razem ze mną na zewnątrz.

- Memo, co Hermanito miał na myśli? - zapytałam go. Rzucił mi dziwne spojrzenie.

- Hermanito powiedział ci, że będziesz pracowała jako medium, w pełnym transie, i że pewnego dnia będziesz uzdrawiać tak, jak moja matka. Musisz natychmiast zacząć przygotowania. Wróc w poniedziałek. Hermanito sam ci powie, co masz robić. Ojciec Humberto także został poproszony o ponowne przybycie w poniedziałek. Hermanito obiecał dać mu lekarstwo na trąd. Co do taty, to jego uczucia były raczej chłodne. Hermanito posiadał podobno zdolność prześwietlania pacjenta wzrokiem, dzięki czemu mógł postawić diagnozę choroby, na którą ten akurat cierpiał, nic o nim przedtem nie wiedząc. Dziwne było zatem, że zapytał mojego ojca z czym przychodzi. Tata nie był wcale zdrowy w owym czasie, ale aby sprawdzić Hermanito, odparł: Z niczym. Czuję się świetnie.

- W takim razie - odparł Hermanito z przesadną uprzejmością - ten dom jest na twoje usługi kiedykolwiek będziesz w potrzebie.

Kilka tygodni później ojciec Humberto i ja czekaliśmy w pokoju Pachity przez kilka godzin. Powiedziano nam, abyśmy przyjechali w południe. Teraz zbliżała się szóstka, a Pachity wciąż jeszcze nie było. Mały telewizor, подарowany jej z wdzięczności przez jakiegoś amerykańskiego pacjenta, przez całe popołudnie grał na cały regulator same banalne mydlane opery, bo córka Pachity chciała je słyszeć w swojej sypialni. Spędziłam cały czas na uzupełnieniu ostatnich wydarzeń w moim dzienniku i karmieniu Ursuli kawałkami mięsa. Zaczynało się ściemniać, niebo pokrywały szare burzowe chmury. "Będę wracać do domu w czasie deszczu", pomyślałam z niezadowoleniem wracając do pokoju. Przełęcz, którą trzeba było pokonać w drodze z Mexico City do Cuernavaca była bardzo zdradliwa, szczególnie, gdy padało. Piętnaście po szóstej przyjechał Memo z Pachitą. Gdy przechodzili obok, Memo spojrzął na mnie wilkiem, uklonił się, ale nic nie powiedział. Pachita poszła do kuchni na kolację.

W poczekalni, jak zwykle zebrała się grupka oczekujących na wizytę u Herinanito. Jedną z nich była duża dziewczyna z bandażem owiniętym wokół szyi. Jej matka powiedziała mi, że padła ona ofiarą przekleństwa. Jej choroba trwała mniej więcej od roku i żaden z lekarzy nie potrafił postawić diagnozy, aż ktoś ze znajomych polecił im Pachnę. Tydzień wcześniej Hermanito dokonał operacji, podczas której zmaterializowała się i została usunięta z jej gardła ogromna tarantula. Miała być przechowywana przez określony czas w pudełku, ale jakoś udało się jej uciec. Matka martwiła się, że dziewczyna być może będzie musiała poddać się jeszcze jednemu usuwaniu przekleństwa. Dowiedziała się potem, że nie było to potrzebne. Po kolacji Pachita weszła do pomieszczenia z ołtarzem. Powiedziano nam, że Hermanito udzieli dzisiaj jedynie konsultacji i że nie będzie operował. Jakaś kobieta, czekająca cierpliwie od kilku godzin, wydała okrzyk przerażenia.

- Och, proszę, Hermanito powiedział w zeszłym tygodniu, że będzie mnie dzisiaj operował. Za cztery dni mam wyznaczony termin operacji w szpitalu, będą mi operować kataraktę, proszę, niech Hermanito operuje mnie dzisiaj!

- To zależy od Hermanito - powiedziała Pachita wzsuszając ramionami Zapytamy go w czasie konsultacji i zobaczymy co powie. Pachita przeszła ociężale przez podwórze do pokoju przyjęć wraz z trzema współpracownikami. Jeden po drugim, pacjenci zaczęli wchodzić do środka. Chciałam już wejść sama, kiedy Pachita pojawiła się w drzwiach. Poklepała Ritę* po ramieniu.

- Przygotuj się, Hermanito będzie cię dzisiaj jednak operował.

Po kilku minutach Amado, człowiek który był z Pachitą od ponad jedenastu lat poprosił Ritę, aby weszła do pokoju z ołtarzem i oznajmił, że przy operacji, poza nią, mogą być obecne tylko trzy osoby. Mąż Rity, Alex*, natychmiast stanął przy niej, wszedł także ojciec Humberto i jeszcze jeden mężczyzna, który już kilkakrotnie uczestniczył w operacjach. Przechodząc Pachita spojrzała na mnie i rzekła: Ty też, chodź z nami córeczko.

Zaczęło padać. Błaznany dach pokoju z ołtarzem pomnażał odgłos padających kropli. Woda zaczęła sączyć się przez szparę pod drzwiami na nierówną, cementową podłogę. Otoczenie zdawało się być pozbawione koloru, jakby odbijała się w nim szarość burzowych chmur. Na ołtarzu postawiono zapaloną świeczkę i zgaszono jedyną żarówkę w pokoju. Pachita założyła atlasowy płaszcz Hermanito i usiadła przed ołtarzem na drewnianym krześle o prostym oparciu. Kazała nam stanąć wokół niej i modlić się. Koścista kobieta stanęła obok Pachity z nieodłączną butelką cudownego, kojącego balsamu. Nalała trochę w dłonie Pachity i zaczęła monotonicznie mruczeć jakąś prawie niedosłyszalną modlitwę, podczas gdy Pachita nacierała balsamem swoje ręce, włosy i przód ciała. Pachita zamknęła oczy, położyła ręce sztywno na rozstawionych kolanach i zaczęła głęboko oddychać. Zdawało się, że atmosfera w pokoju zagaściła się.

Czyjaś niewidzialna, lecz przemożna obecność opanowała Pachnę. Jej ciało drgnęło gwałtownie, prawa wyprostowana ręka uniosła się nagle w górę, w geście pozdrowienia i niski głos, znacznie mocniejszy niż głos Pachity oznajmił:

- Estoy con ustedes, hermanos queridos (Jestem z wami, umiłowani bracia.)

Duch Pachity opuścił jej cielesną powłokę, aby ustąpić miejsca Hermanito. Hermanito wstał i polecił Ricie, aby usiadła na krześle. Rita, najwyraźniej zdenerwowana, usłuchała go.

- Módlcie się, moi maleńcy - zwrócił się do nas Hermanito - Tylko z Bożą pomocą będziemy w stanie uzdrowić oko tej kobiety.

Chalio stanął za Ritą, na lewo od Hermanito. Wcześniej pociął on rolkę waty, przyniesioną przez Alexa, na długie pasma. Mniejsze kłębki waty zostały włożone do miski i polane alkoholem; było to jedyne ustępstwo na rzecz środków antyseptycznych, na jakie zgodził Hermanito. Alex z początku stanął u boku żony, ale potem odwrócił się i usiadł na kozetce z głową w dłoniach. Pomagał już wcześniej w kilku operacjach, ale w czasie tego zabiegu wołał się modlić. Hermanito wezwał mnie do siebie.

- Chodź, córeczko, pomożesz mi. Poleciał mi trzymać duży kłęb waty pod brodą Rity.

- Rito - powiedział do niej. - Musisz teraz siedzieć zupełnie nieruchomo. Trzymaj oczy otwarte i patrz w sufit. Zrozumiałaś, maleńka?

- Czy to będzie bolało, Hermanito? - spytała drżącym głosem.

- Nie, maleńka, właśnie teraz otrzymałaś znieczulenie - powiedział Hermanito uspokajająco. Głaszcząc ją po głowie, wziął butelkę z alkoholem którą trzymałam, otworzył ją i wlał płyn prosto w otwarte oko Rity. Wstrzymałam oddech czekając na jej krzyk, ale siedziała nieporuszona. Następnie Hermanito kapnął na jej oko nieco balsamu.

- Dobrze, maleńka, a teraz podaj mi tę watę.

Kiedy podałam mu mniejsze pasma waty utworzył z nich kwadrat okalający oko i stanął za Ritą po jej lewej stronie. Ja przesunęłam się na wprost jej twarzy, tak że nasze kolana stykały się ze sobą. Potem Hermanito poprosił Amado o nożyczki i stary nóż z ołtarza. Amado przetaił oba przedmioty watą umaczaną w balsamie i podał mu nożyczki. Hermanito wziął je, podniósł gestem pozdrowienia w stronę ołtarza i zaczął odmawiać modlitwę w starożytnym języku Azteków, Nahuatl. Pierwsze słowa były całkiem wyraźne, a potem przeszły w szept. Podczas jego modlitwy zobaczyłam, że miejsce, gdzie stał, a szczególnie przestrzeń otaczająca głowę Rity, stała się znacznie jaśniejsza niż reszta pokoju; jakby świecił na nas reflektor. Widziałam wszystko bardzo wyraźnie. To samo zjawisko dane mi było oglądać podczas każdej jednej z kilkuset operacji, w których asystowałam w ciągu nadchodzących miesięcy.

- Módlcie się, maleńcy!

Hermanito wbił jedno ostrze nożyczek w oko Rity i zaczął je nacinać. Różowawy płyn popłynął cienką strużką na watę, która zaraz zsunęła się z jej twarzy i spadła na piersi. Złapałam ją i położyłam z powrotem: moja twarz znalazła się przy tym o kilka cali od jej oka.

- Czy odczuwasz jakiś ból, maleńka? - zapytał ją.

- Nie, Hermanito - odpowiedziała Rita. Kiedy to mówiła, odwróciła nieco głowę.

- Trzymaj oczy otwarte! Otwarte!

Hermanito wziął od Amado nóż, podniósł go w geście pozdrowienia, a potem zaczął zdrapywać ze środka oka cienką, matową błonkę, która się rozdarła. Usuniętą część położył na podanym przeze mnie kawałku waty, a potem delikatnie zdjął pozostałą jej część i podał ją mnie. Ponownie nalał do oka alkoholu, a potem przykrył je czystym płatkim waty.

- Skończyliśmy, drogi bracie powiedział do Chalio. - Możesz ją zabandażować.

Kiedy ku jego zadowoleniu oko zostało zabandażowane, Hermanito polecił dwóm mężczyznom zawinąć Ritę w prześcieradło i przenieść ją przez podwórze, aby mogła odpocząć w domu.

- Ma leżeć przez godzinę, z głową odchylną do tyłu. Potem dacie jej do picia czerwone zioła, które znajdziecie w kuchni.

Alexowi polecono dopilnować, aby przez trzy dni zachowywała się spokojnie, a po upływie tego czasu można będzie zdjąć bandaże. Cały zabieg trwał nie więcej niż piętnaście minut. Chalio podał Hermanito duży kłęb waty umoczonej w balsamie, do wytarcia rąk. W tydzień później dowiedziałam się, że operacja Rity w szpitalu nie odbyła się, bo lekarze byli zdumieni całkowitym zniknięciem katarakty.

Pokój był teraz ciemniejszy. Znowu sobie uświadomiłam, że pada deszcz, który teraz jeszcze głośniejsze uderzał w blaszany dach. W miejscu gdzie stałam, na podłodze zebrał się już ponad centymetr wody. Kiedy wyniesiono Ritę, Hermanito usiadł na krześle - nogi rozstawione, ręce na kolanach. Podeszedł do niego ojciec Humberto. Widziałam, że Hermanito poklepuje go życzliwie po rękę, uśmiechając się przy tym. Odsunęłam się już wcześniej w kąt pokoju i nie słyszałam o czym mówili. Ojciec Humberto powiedział mi później, że Hermanito polecił mu nadal wypełniać swoją misję wśród trędowatych i dał mu przepis na lekarstwo z soku mielonego mięsa sokoła, które miało leczyć trąd i niektóre odmiany raka.

Następnie ojciec odwrócił się i zawołał, abym się do nich przyłączyła. Hermanito wziął mnie za rękę.

- To jest dziewczyna, która pomoże ci przy twoich trędowatych. Jest gotowa do pracy jako medium. Za trzy tygodnie inny duch, którego ja posłałem i który już teraz z nią jest, zacznie działać za jej pośrednictwem. Przypomniała mi się wtedy Mamacita. Hermanito powiedział nam, że ojciec i ja mamy się spotykać przez trzy tygodnie w poniedziałek lub w czwartek, o drugiej po południu albo o ósmej wieczorem.

- Oboje macie się modlić. Ty, córeczko, przyglądaj mi się uważnie. Musisz usiąść na prostym krześle z rękami na kolanach, o tak, tak samo jak wcześniej usiadło moje ciało. Odpręż się i oddychaj głęboko. Zejdź na niższy poziom świadomości, jak cię tego nauczono. Potem wykonaj taki gest - jego ręce wykonały przy tym specjalny, okrężny ruch - potem połóż ręce z powrotem na kolanach i czekaj. Ojciec, kiedy zobaczysz, że jej ręce drżą i unoszą się z kolan, połóż na nich swoje dłonie i powiedz: "Daję ci światło Pana. Niech światło Pana zawsze będzie z tobą." Módl się cały czas, aby zło jej nie ogarnęło. Niech Pan będzie z wami, maleńcy.

W czwartek ojcie Humberto i ja spotkaliśmy się zgodnie z poleceniem Hermanito.

- Boże Wszechmogący - modliłam się, zanim rozpoczęliśmy - wiesz, że Cię kocham ponad wszystko i że pragnę Ci służyć. Pomóż mi teraz stać się narzędziem w Twoim ręku. Powierzam Ci siebie Panie. Prowadź nas w tym, co zamierzamy uczynić. Pomóż nam odróżnić kłamstwo i nasze wyobrażenia od tego, co pochodzi od Ciebie. Broń nas przed działaniem jakiegokolwiek złej istoty, która mogłaby przeszkodzić w wykonaniu zadania, jakie mi powierzyłeś. Niech się dzieje Twoja doskonała wola, Przenajświętszy Boże.

Poruszyłam w odpowiedni sposób rękami, a potem odetchnęłam głęboko i odprężyłam się. Natychmiast poczułam, że otacza mnie złocista poświata. Moje ręce stały się bardzo, bardzo lekkie, jakby odłączone od reszty ciała i zaczęły się unosić. Z bardzo daleka dobiegł mnie głos ojca: "daję ci światło Pana, niech światło Pana będzie zawsze z tobą." Otaczało mnie wielu ludzi stojących w kole - cieniste, nieznane mi postacie, tu i ówdzie oświetlone złotym blaskiem, który teraz rozszerzył się, obejmując je wszystkie. Duch Pachity, wyraźniejszy od innych, stał naprzeciw mnie: Cuauhtemoc wznosił się za nią jak wieża, ich postacie niemal zlewały się ze sobą. Mamacita, moja indiańska doradczyni, stała obok. Potem ujrzałam mego drugiego doradcę Jezusa, przejrzystą postać jaśniejącą blaskiem mocniejszym niż światło innych postaci. Mój duch podniósł się i zbliżył do Jezusa z wyciągniętymi rękami. W jego dłoni znowu ujrzałam oczyszczający płomień. Jezus wlał go w moje ręce: ogień płonął, a jednak był zimny. Wypełniła mnie radość i pokój. Najwyraźniej Pan wysłuchał mojej modlitwy i uświęcił moje ręce, aby mogły mu służyć.

Tydzień później, podczas drugiego seansu, ogarnęły mnie odmienne uczucia. Zobaczyłam dwoje olbrzymich złotych drzwi, które otwierały się, a potem zamykały, nim zdążyłam przez nie przejść. Te same postacie, które otaczały mnie tydzień temu, stały po drugiej stronie drzwi wokół otwartej księgi, leżącej jakby na niewidzialnym pulpicie. Wiedziałam, że księga ta zawiera tajemnice życia. Nagle drzwi otwarły się i nie zamknęły. Przeszłam przez nie i zatrzymałam się przed księgą: za nią stała ogromna postać, jakby anioł w luźnych szatach. Anioł podał mi księgę, ale ja wiedziałam, że nie nadszedł jeszcze czas, abym zaczęła ją czytać. Zrozumiałam, że muszę jeszcze doświadczyć wielu smutków i pokonać wiele przeszkód zanim będę godna czytać zawarte w niej słowa i rozumieć ich sens.

- O, Boże - mój duch modlił się we mnie - obdarz mnie odwagą, wiarą i wytrwałością, abym mogła pełnić Twoją wolę.

* * *

Po drugim spotkaniu z ojcem Humberto jeździłam do Mexico City tak często jak tylko mogłam, aby widywać się z Pachitą. W poniedziałek i w czwartek poproszono mnie o pozostanie za zasłoną, przed wejściem do pomieszczenia z ołtarzem. Jednak Tom przykazał mi, żebym w środę była koniecznie w budynku Kontroli Umysłu, a nie u Pachity, ponieważ Hermanito obiecał dokonać tam operacji 72 letniego mężczyzny, który przyleciał tam specjalnie z Los Angeles. Duża grupa ludzi z Kontroli Umysłu zebrała się, aby obejrzeć to wydarzenie, ale godziny mijały a Pachita wciąż się nie pojawiała. Przypuszczaliśmy, że może Hermanito operuje jednak tego wieczoru w domu i że Pachita przyjedzie później, ale nawet o północy wciąż jeszcze nie mieliśmy żadnych wiadomości. U Pachity nie było jeszcze telefonu, więc kilkoro z nas zgodziło się pojechać do jej domu, oddalonego o czterdzieści minut jazdy samochodem, aby zobaczyć, co się stało. Gdy przyjechaliśmy, w domu paliło się światło. Zastukaliśmy. Bramę otworzył nam Enrique, jeden z synów Pachity.

- Przepraszam, nie możecie teraz się z nią widzieć, bo wszyscy poszli już spać - powiedział.

- Nie, czekajcie, nie śpię! - zawołała Pachita - Przykro mi, że nie mogłam przyjechać. Ci przekłęci urzędnicy byli tu przez cały dzień. Zdaje się, że podejrzewają mnie o praktykowanie medycyny bez zezwolenia - uśmiechnęła się szeroko - Co oni mogą wiedzieć, głupcy. W każdym razie zebraliśmy wystarczającą sumę, żeby ich przepłacić. Teraz przez jakiś czas nie pojawią się tutaj.

- Chodź, maleńka - skinęła na mnie ręką - pomożesz mi zabrać moje rzeczy. Pojadę z wami.

Weszłyśmy do pokoju z ołtarzem. Podawała mi różne przedmioty, które ja wkładałam do dużej, pustej torby: płaszcz Hermanito, balsam, kilka szpitalnych nerek, nie napoczętą butelkę alkoholu i słoik; w którym znajdowały się dwa kręgi z ludzkiego kręgosłupa.

- Mój przyjaciel z kostnicy zdobył je dla mnie dziś rano - ten biedak został przejechany ostatniej nocy. Potem podała mi nóż Hermanito, który także włożyłam o torby. (Czasami używano do operacji ludzkich organów. Wtedy Były one bardziej niezbędne niż znieczulenie lub środki antyseptyczne).

Kiedy wróciliśmy do budynku Kontroli Umysłu, Pan Smith* i jego żona zostali obudzeni i uprzedzeni, że powinni się przygotować. Pachita wypila szybko filizankę kawy, a potem poszła zbadać pacjenta.

Uciskała i obmacywała jego plecy, pytając, gdzie boli. Potem wzięła małą, czystą szklaneczkę, którą przyniosłam z kuchni, na jej prośbę zapaliłam zapalniczkę i przytrzymałam ją przez chwilę u wylotu szklanki. Wewnątrz szklanki rozległa się cicha eksplozja, gdy Pachita przycisnęła szybko jej brzeg do jego pleców w okolicy krzyża. Skóra zaczęła wybrzuszać się i unosić przybierając przy tym kolor ciemnego fioleto. Pachita pokiwała głową.

- Połóżcie go teraz na podłodze.

Obok łóżka położono w tym celu dużą płachtę przezroczystego plastiku. Pan Smith położył się na niej twarzą w dół. Obok, na komodzie, postawiono dużą zapaloną świecę. Wiele osób z Kontroli Umysłu, które były tu już wcześniej tego wieczoru, zebrano się ponownie i tłoczyło się w pokoju, aby popatrzeć. Była to niezwykła sytuacja, najczęściej wpuszczano na operację tylko kilku świadków. W międzyczasie znaleziono wreszcie parę nożyczek i Pachita poleciła mi pociąć nową rolkę waty na paski. Część z nich umieszczono w małych szpitalnych kuwetach i polano alkoholem, inne nasączono balsamem, a pozostałe pozostawiono suche. Pachita założyła swój płaszcz, natarła włosy i ubranie balsamem, a potem usiadła na krześle w oczekiwaniu na Hermanito.

Po upływie kilku chwil jej ciało drgnęło, a ręka uniosła się w znajomym geście pozdrowienia.

- Jestem z wami, moi maleńcy.

Oczy Pachity pozostawały zamknięte. Hermanito skinął na mnie.

- Podejź, córko; ty będziesz mi dzisiaj asystować. Ukłękłam przy pacjencie, na lewo od Hermanito.

- Niech ktoś podejdzie i rozmawia z nim podczas operacji, niech tłumaczy mu moje słowa. Trzeba trzymać go za rękę i zmusić do mówienia, nie chcę, żeby stracił przytomność. Jedna z kobiet ukłękła przy głowie pana Smitha i zaczęła rozmawiać z nim po cichu. Hermanito polecił mi podwiązać pacjentowi górę od piżamy i zsunąć spodnie na tyle, aby odsłonić dół pleców. Podałam Hermanito watę nasączoną alkoholem, którą ten natarł szybko plecy starszego pana. Cztery kawałki suchej waty zostały ułożone w kwadrat tak, że część kręgosłupa, którą Hermanito miał operować, pozostała odsłonięta. Hermanito wziął do ręki nożyczki i spojrzał w górę, na skupione twarze zebranych.

- Wzniescie swe myśli do Boga, moi maleńcy módlcie się!

- Zapytaj go, czy odczuwa ból.

Nie, nie czuł nic. Hermanito wbił jedno ostrze nożyczek w plecy chorego. Pan Smith jęknął, gdy ostrze przebiło skórę. Zobaczyłam, że nożyczki znikają w głębi pleców. Słyszałam, jak przecinają ciało. Ręce, które trzymałam po obu stronach rany, zmoczył mi ciepły, gęsty płyn wsiąkający w watę. Pan Smith jęknął znowu.

- Zmusz go do rozmowy - czy to go boli? Zapytaj go!

Tak, trochę boli, ale jakoś to zniesie. Hermanito wyciągnął nożyczki z rany. Wziął w rękę swój nóż, podniósł go w geście pozdrowienia i wbił w plecy pana Smitha. Pod palcami poczułam świeży przypływ ciepłego płynu wydobywającego się z rany. Hermanito przez kilka minut ciął coś nożem, a potem sięgnął do wnętrza rany i wyjął z niej coś, co wyglądało na dziwnego kształtu kość pokrytą krwią i resztkami czerwonej tkanki.

- To jeden z kręgów, maleńka. Jest poważnie uszkodzony.

Następnie Hermanito wyjął przyniesioną w słoiku kość. Kiedy to robił, spojrzałam w ciemną, ziejącą w plecach pacjenta ranę i przez moment poczułam przerażenie.

- O Boże, jak to się zagoi? I czy kiedykolwiek zrośnie się w całość?

Ale wtedy Hermanito odwrócił się, spojrzał na mnie swoimi zamkniętymi oczami i natychmiast strach zamienił się w głęboki spokój. Bóg był z nami. Hermanito włożył kość w wyciętą ranę, potem odwrócił nóż i tępy końcem jak młotkiem wbił kość na miejsce. Rękojeść uderzając w żywe, wilgotne mięso wydawała głuchy, tępy dźwięk. Pan Smith jęczał, bo bardzo go bolało.

- Rozmawiaj z nim, maleńka! - rozkazał Hermanito, klęczącej przy chorym - On nie może stracić przytomności!

Głos Hermanito brzmiał ponagląco. Po wycięciu drugiej kości Hermanito powtórzył cały proces.

- Czy przyglądasz się uważnie, maleńka? - Hermanito zapytał mnie po cichu. Skinęłam potakująco głową.

- Biedak. Powiedział Hermanito. - Nic dziwnego, że miał bóle, bo ma guz na kręgu kręgosłupa.

Ponownie nóż zagłębił się w ranie. Nagle niewiarygodny smród wypełnił pokój. Instynktownie podniosłam rękę do twarzy, ale Hermanito złapał ją i przyłożył z powrotem do rany.

- Musisz napiąć tę tkaninę, córeczko. Trzeba usunąć ten guz. Jest rakowaty.

Odciął coś tuż nad moimi palcami i wyciągnął okrągły, żylasty kłęb tkanki, wielkości piłki golfowej. Następnie zawinął go w watę, aby się go później pozbyć. Następnie wziął ode mnie duży kawał waty i odgarnął nim z rany zakrwawioną watę, przesuwając równocześnie rękę nad raną i otwór natychmiast się zamknął. Owinęliśmy pana Smitha kawałkami prześcieradła, bo w całym tym nocnym zamieszaniu nikt nie pomyślał o przyniesieniu bandaży. Hermanito nadzorował naszą pracę przez kilka minut, a potem oświadczył, że odchodzi. Przenieśliśmy pana Smitha na łóżko. Ból, jaki odczuwał przed operacją ustał, a jego twarz nabrała świeżych kolorów. Uśmiechał się i rozmawiał. Powiedział, że czuł jak Hermanito operuje wewnątrz jego pleców, bolało go, ale teraz czuje się już dobrze.

Kilkoro z nas przeszło do głównego pokoju na kawę. Pachita przyglądała mi się w skupieniu. Nagle jej spojrzenie odmieniło się, jakby płomienie wyskakiwały z jej oczu i próbowały mnie dosięgnąć. Na moment powróciło do mnie wspomnienie oczu, które widziałam w teatrze Playmakers. Pachita pochyliła się w przód i odezwała się do mnie w nieznanym języku. Brzmiało to jak Nahuatl. Nagle, tak szybko jak się pojawił, duch odszedł. Pachita wzięła mnie za rękę i zapytała, gdzie jest moja matka. Mama przyjechała ze mną tego dnia do miasta, aby - niechętnie - przyjrzeć się operacji. Przedstawiłam ją Pachicie.

- Jesteś szczęśliwą matką. Twoja córka ma do spełnienia w swoim życiu ważną misję. Pewnego dnia będzie potrafiła uzdrawiać tak samo jak ja. Musisz zacząć przygotowywać się, tak żebyś umiała jej pomóc w razie potrzeby. Będiesz jej bardzo potrzebna. Mama była nie mniej ode mnie zdumiona słowami Pachity, ponieważ poza ojcem Humberto, nie wspominałam o tym co powiedział mi Hermanito, ani jej ani nikomu innemu. Teraz jednak zostało to podane do publicznej wiadomości.

Jeszcze tej samej nocy pojechałam z Pachną do jej domu. Kiedy byliśmy już na miejscu, dała mi butelkę czerwonego naparu z ziół i kazała mi dopilnować, aby pan Smith pił go po trochu przez dwa dni. Miał nie zdejmować bandaża przez trzy dni, leżeć w łóżku i nie jeść przez ten czas pod żadną postacią wieprzowiny. Kiedy wróciliśmy do budynku Kontroli Umysłu, dałam panu Smithowi szklankę naparu. Chory wydawał się być szczęśliwy i podniecony. Wstał i powoli przeszedł do łazienki i z powrotem. Zobaczyłam, że jego nowa, żółta piżama była na plecach poplamiona krwią, takie same plamy widniały na bandażu i na pościeli. Razem z jego żoną zmieniliśmy mu piżamę i pościel, po czym położyliśmy go do łóżka. Było po wpół do czwartej rano.

* * *

Leżąc w łóżku rozmyślałam o rzeczach, które zobaczyłam tej nocy. Czy to możliwe, żeby wszystko to było tylko sprytną sztuczką? Czy było to tylko oszustwo polegające na niezwykłej sprawności rąk? Czy zostałam zahipnotyzowana? Wymiana kręgów kręgosłupa z medycznego punktu widzenia była niemożliwa. Ale przecież tylko kilkanaście centymetrów dzieliło moją twarz od rany. Sama układałam na skórze pociętą wcześniej przez siebie gazę i nikt inny jej nie dotykał. Widziałam przecież bardzo wyraźnie otwarte dłonie Pachity z rozstawionymi palcami. Nic nie mogła ukryć w zagłębieniu dłoni. W żadnym wypadku nie mogła sięgnąć po coś pod swoją tunikę, bo jej sukienka i tak nie miała kieszeni. Czulałam przecież ciepłą krew, która pulsując spływała po moich rękach. Miałam ręce wewnątrz rany i byłam wysmarowana krwią aż po nadgarstki. Ale to, co zrobiła ona, było zupełnie niemożliwe! To prawda, dla zwykłego lekarza było to niemożliwe. Ale istota działająca przez Pachitę nie była przecież człowiekiem. Była to istota nadprzyrodzona, pochodząca spoza obszaru, w którym obowiązują znane nam prawa fizyki: a więc także efekt działania tej istoty był nadprzyrodzony i nie podlegał zwykłemu prawom. A zatem spirytyści mają rację, myślałam. Żyjemy pośród dusz tych, którzy odeszli. Niektóre dusze osiągnęły wyższy poziom od innych, niektóre, może nawet dusza Hermanito, są bliższe Bogu i mogą dzięki temu dokonywać wspaniałych cudów. Inne stały się do gruntu złe i okrutne, jak te przerażające istoty, które znałam od tak dawna. Wielu ludzi, których te złe duchy zdołały opętać popadło w nieuleczalny obłąd i zostało na zawsze zamkniętych w szpitalach. Pomyślałam sobie, że taki byłby pewnie i mój los, gdyby nie Kontrola Umysłu i Hermanito. Ale święte, pozbawione ciała dusze, które chciały łączyć się z ciałem człowieka spełniającego rolę medium, mogły naprawdę dokonywać cudów. Kim nie miała racji, działalność Pachity nie była demoniczna. Jak mogłaby być demoniczna, jeżeli ja przez lata całe doświadczałam oddziaływania istot związanych z szatanem. Teraz doświadczałam oddziaływania Boga, ponieważ uczucia związane z tymi obydwoma doświadczeniami były tak zupełnie odmienne i teraz potrafiłam je rozróżnić. Czy na ołtarzu Pachity nie było krucyfiksa i obrazu Jezusa? Zdarzało mi się widzieć księży i zakonnice, kropiących całą pokój Pachity święconą wodą i odmawiających różaniec. Cześć oddawano wtedy "Mojemu Ojcu i Panu"; wciąż polecano nam wznosić myśli ku Bogu i odmawiać Modlitwę Pańską. Poza tym, jaki pożytek mógłby mieć szatan z uzdrawiania i czynienia dobra, albo z wypędzenia demonów? (Jenak według słów Doktora Carlosa, miało to już miejsce, a i sama niedługo miałam być tego świadkiem). Sam doktor Carlos nie był przecież łatwowiernym głupcem. Był szanowanym chirurgiem, miał własną praktykę i duże przedsiębiorstwo farmakologiczne. Już od kilku miesięcy pracował jako jeden z głównych asystentów Pachity, tak jak ja pracowałam tej nocy. Pomagał w wykonywaniu tuzinów operacji i wciąż dziwił się temu, czego potrafił dokonać Hermanito. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że to, co robiła Pachita było nadprzyrodzone i miało swoje źródło w Bogu. Byłam zatem zdecydowana pracować z nią, aby jak najwięcej się nauczyć i jak najlepiej jej służyć. Wychwalałam Boga bezustannie za to, że przyprowadził mnie do niej.

* * *

Mama i ja wróciłyśmy do Cuernavaca następnego ranka. Wieczorem ojciec i ja mieliśmy wyznaczone ostatnie spotkanie. Przepelniało mnie uczucie podniecenia i oczekiwania. Widziałam zapierające dech rzeczy i moja misja została potwierdzona. Według przepowiedni Hermanito, w czasie tego seansu stanę się prawdziwym medium.

Wykonaliśmy wszystkie znane nam już czynności. Zeszłam na niższy poziom świadomości i czekałam. Nagle poczułam, że się zapadam, coraz niżej i niżej. Coś głęboko we mnie oderwało się: moje ciało zdawało się rozpluwać. Spojrzałam w dół i zobaczyłam moją pustą powłokę, siedzącą na krześle z rękami uniesionymi do góry. Zdawałam sobie sprawę, że znalazłam się w nowej przestrzeni, dalej niż byłam do tej pory. Początkowo byłam w głębokiej ciemności, ale teraz wszystko wypełniło się czystym, białym światłem. W całej pełni zrozumiałam wreszcie, że moja istota, moja dusza, nie musiała być zawsze przywiązana do tego cielesnego worka, który teraz znajdował się pode mną. Ciało zostało mi dane chwilowo, aby ułatwić wykonanie powierzonego mi zadania, aby moja karma mogła być wypełniona, a mój duch oczyszczony tak, by mógł złączyć się z Bogiem. Ale ja sama byłam wieczna, byłam nieodłączną częścią żywej siły. Takie myśli przychodziły mi do głowy już wcześniej, ale teraz, unosząc się wysoko, nareszcie tego doświadczałam. Przepelniało mnie ekstatyczne uniesienie: nie było już czasu, nie było smutku ani bólu, była tylko rozedrgana, niemal nie do zniesienia radość, światło i pokój przewyższające wszystko, czego do tej pory doświadczyłam. Spojrzałam w dół. Milcząca jarząca się postać stała obok mojego ciała czekając... ale nie weszła w nie. Potem z wielkiej oddali usłyszałam ziemski głos wołający coś do mnie. Z początku nie mogłam zrozumieć słów, ale wołanie nie ustawało.

- Johanno, Johanno wracaj, już pora wracać czas odpocząć.

Och, jakże trudno było mi posłuchać tego wezwania. Tu, gdzie przebywałam, było tak pięknie, nie chciałam przerywać tego stanu. Ale ściągnięto mnie z powrotem. Poczułam znów moje ciało; było jak z ołowiu, pozbawione energii. Ojciec Humberto dotknął lekko moich rąk, które opadły na kolana jak martwy ciężar. Siedziałam na wpół leżąc na krześle, nie mogąc się poruszyć.

- Dlaczego zawołałeś mnie tak szybko? Dopiero co zaczęliśmy, nie byłam gotowa do powrotu.

A jednak seans trwał już ponad godzinę. Po tym wydarzeniu często doświadczałam podobnych stanów w czasie medytacji - nagłe oderwanie od ciała, potem uczucie szybowania gdzieś daleko. Widziałam duchy krążące wokół mego ciała, wiele z nich było złych i chciało mnie skrzywdzić; ale były też inne istoty, piękne i dobre. Nazywałam je moimi aniołami stróżami i wiedziałam, że chroniły mnie przed złem. Czułam się bezpiecznie i nie bałam się. Moja wrażliwość i zakres świadomości wzrosły znacznie. Przekonałam się jednak, że nie jestem prawdziwym medium. Czułam się bardzo zawiedziona. Może nie osiągnęłam jeszcze odpowiedniego stopnia rozwoju? Chociaż Pachita traktowała mnie z czułością, wyczuwałam zdecydowaną choć nieznaczoną zmianę stosunku Hermanito do mojej osoby i bardzo nad tym bolałam. Co takiego w moim wnętrzu hamowało mój dalszy postęp? Odpowiedź na to pytanie miałam poznać dopiero w rok później, ale Hermanito dał mi pewną wskazówkę podczas usuwania przekleństwa, przy którym asystowałam. Modliłam się usilnie, podczas gdy Hermanito rozcinał brzuch pacjentki, gdy nagle podniósł wzrok i wskazał na mnie.

- Prędko, zabierzcie ją stąd. Zły ją atakuje - zwrócił się do jednej z kobiet. - Potrzymaj jej ciało goździkami, które znajdziesz na ołtarzu. Prędko!

Potem dodał:

- To tylko środek ostrożności; strzeże jej wyjątkowo silny duch. Przy tych słowach spojrzał na mnie i na chwilę sparaliżowała mnie nienawiść, jaką wyczytałam w jego twarzy. Grymas w mgnieniu oka zniknął, ale wrażenie pozostało.

ZNAKI I CUDA

Nie wystarczy powiedzieć, że tata przejmował się obrotem spraw w moim życiu, ale cieszył się z pozytywnych zmian, jakie wyczuwał w moim nastawieniu. Depresja, w której tkwiłam niemal od roku zniknęła. Znalazłam nowy sens i cel mojego życia. Po raz pierwszy w życiu czułam się potrzebna. Odnalazłam swoje miejsce. Ale mój tata nie rozumiał głębi tych uczuć. Potrafił dostrzec tylko to, że jego ukochana córka angażuje się bez reszty w pracę z jakąś bardzo dziwną starą kobietą, której działalność jest nie tylko niepojęta, jak wszyscy twierdzili, ale także niezgodna z prawem.

- Co będzie, jeśli nakryją ją, a ty tam będziesz? Możesz skończyć w więzieniu! A jeśli ktoś jej umrze pod nożem? A jeśli złapiesz jakąś okropną chorobę od tych ludzi, którymi się zajmujesz? A jeśli coś ci się stanie w drodze, albo w tej zakazanej dzielnicy? Co wtedy zrobisz? Zjawiasz się w domu nie wcześniej niż o pierwszej w nocy! Kochałam go za to, że się tak przejmował, ale wiedziałam, że znajduję się pod ochroną. Nic nie mogło mi się stać.

Czułam wokół siebie coś w rodzaju pola siłowego. Nauczyłam się spowijać swoje ciało kokonem energii, który trzymał intruzów z dala. Wiele razy w metrze albo w autobusie widziałam, że ktoś patrzy na mnie z ukosa i zaczyna się zbliżać. I niezmiennie intruz zatrzymywał się mniej więcej metr ode mnie, jakby trafiał na niewidzialną ścianę i wycofywał się zmieszany. Moje zapewnienia nie zdołały jednak przekonać taty, który postanowił mnie zawozić do Pachity tak często, jak tylko będzie mógł. Nie chciał co prawda wchodzić do środka po swoim pierwszym, nieudanym spotkaniu z Hermanito, i w czasie gdy ja pracowałam wolał iść do kina. Dopiero gdy Hermanito i dr Carlos zapisali mi jakieś dziwne leki, zdecydował się sprawdzić wszystko jeszcze raz samemu, zanim pozwoli mi przełknąć chociaż odrobinę mętnej cieczy.

Tata i doktor Carlos od razu przypadli sobie do gustu. Dobrze się zatem złożyło, że to właśnie doktora tata zaatakował swoimi pytaniami i wątpliwościami na temat Pachity i Hermanito.

- Jestem lekarzem, Don Alberto, a na dodatek chirurgiem i mam własną praktykę. Czy myśli pan, że ryzykowałbym wszystko, gdybym wiedział, że jest to oszustwo albo, że jest to w jakikolwiek sposób niebezpieczne? Czy myśli pan, że zostałbym tutaj i ryzykowałam oskarżenie o zabójstwo, albo nawet nawet o morderstwo? Ani razu przez te wszystkie lata, odkąd Pachita operuje, nikt z jej pacjentów nie umarł na stole, ani w wyniku komplikacji spowodowanych jej leczeniem. Nikt też z jej pomocników nie zaraził się żadną chorobą. Prawdą jest, że nie wszyscy jej pacjenci odzyskują zdrowie - niektórzy umierają pomimo wszelkich starań Hermanito. Bóg jednak jest najwyższym władcą i Hermanito może robić tylko to, na co Bóg pozwala. Doktor Carlos położył tacie rękę na ramieniu.

- Jestem tu już od wielu miesięcy, Don Alberto. Hermanito obdarzył mnie szczególnymi względami i jestem jednym z głównych asystentów w czasie operacji. Widziałem tu cudowne rzeczy. Cuda! On działa cuda daleko większe niż te, których jest w stanie dokonać wiedza medyczna. Moi koledzy powiedzieliby, że kłamię, albo że postradałam zmysły, gdybym im opowiedział co tutaj widziałem. Protestowaliby mówiąc, że to, czego dokonuje Hermanito jest fizycznie niemożliwe i miałiby rację, ale Bóg jest potężniejszy, Don Alberto, o wiele potężniejszy. Widziałem na własny oczy operacje przeprowadzane przez Hermanito - to dar od Boga. Proszę zostać dzisiaj z nami, Don Alberto, a sam pan zobaczy.

Na ten wieczór zaplanowano sześć operacji. Cztery z nich były niewielkie, polegały na wstrzyknięciu w dolną część kręgosłupa specjalnego płynu; była to wstępna kuracja stosowana przez Hermanito przy paraliżu. Cały zabieg zajmował tylko pięć albo sześć minut. Następnym oczekującym na operację był młody człowiek po dwudziestce, imieniem Herald*o*. Jego matka, Marina*, piękna, bardzo elegancka kobieta z bogatej rodziny asystowała przy operacji wraz z doktorem. To właśnie ona przyprowadziła do Pachity doktora Carlosa po tym, jak szczęśliwie został uleczony jej mąż. Herald miał kilka lat wcześniej wypadek, podczas którego poważnie uszkodził sobie nos. Chirurgom udało się go zrekonstruować, ale fragment kości utkwił u nasady uciskając czaszkę. Z powodu ułożenia odłamka, chirurdzy wahali się go usuwać pomimo, że poważnie przeszkadzał chłopcu w oddychaniu i czasem powodował silne bóle głowy.

Tata i ja stanęliśmy w nogach łóżka, aby patrzeć. Herald rozkładał prześcieradło, podczas gdy jego matka wytarła nożyczki kawałkiem waty umoczoną w balsamie i podała je Hermanito.

- Wnieście swe myśli ku Bogu, najmilsi bracia powiedział Hermanito wnosząc nożyczki w stronę ołtarza. Potem odwrócił się do Herald*o* i wbił ostry koniec nożyczek w jego czoło po prawej stronie tuż nad nosem. Wyciął otwór w skórze. Odgłos ciętego ciała był bardzo wyraźny. Następnie Hermanito wyjął swój nóż i zdecydowanym ruchem wbił go w ranę, po czym uderzając w rękoność otwartą dłonią przebił czaszkę. Słyszeliśmy jak pod uderzeniami trzaska kość. Herald*o* jęknął.

- Czy boli cię, mój synu? - spytał Hermanito. - Tak, trochę.

Marina wyciągnęła rękę, aby dotknąć głowy syna - nie martw się, zaraz kończymy. Hermanito sięgnął po kłębek waty i zobaczyliśmy wyraźnie nóż tkwiący w czole Herald*o*. Hermanito przy pomocy waty odciągnął krew, która nagromadziła się w ranie wokół noża, po czym powrócił do skrobienia wewnątrz rany, narzekając na położenie odłamków, które wydłubywał i usuwał jeden po drugim. Od czasu do czasu Hermanito zwracał się do doktora Carlosa, stojącego po jego lewej ręce i pełniącego rolę asystenta.

- Widzisz tutaj, umiłowany synu, jak są białe te odłamki? Doktor przytaknął.

- To niebywałe - powiedział nachylając się nad chłopcem - Samo przebicie się przez kość zajęłoby mi prawie godzinę. Ty zrobiłeś to w parę minut. To bardzo delikatne miejsce, blisko nerwu ocznego. Gdyby został uszkodzony, chłopak mógłby stracić wzrok. Doprawdy, Bóg jest dobry. Po około dwudziestu minutach operacja została zakończona.

- No, synu, jak się teraz czujesz? - Hermanito zapytał miękko.

- Świetnie. Mogę teraz normalnie oddychać prawą stroną, ale lewa nic się nie zmienia.

- Tak, wiem, mój synu. Za dziesięć dni, kiedy nabierzesz sił, zoperujemy ci i lewą stroną.

Zobaczyłam Heraldo tydzień później, kiedy przyszedł na badanie kontrolne. Powiedział, że trudności w oddychaniu po prawej stronie ustąpiły zupełnie. Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, czy Hermanito rzeczywiście rozciął mu głowę. Bolało go i czuł silny ucisk w głowie podczas operacji, słyszał też i czuł kruszenie i skrobanie kości. W kilka dni po operacji poszedł do swojego lekarza, który z niedowierzaniem przyglądał się prześwietleniom. Zator po prawej stronie nosa Heraldo zniknął naprawdę. Kiedy Heraldo został zabandażowany i przeniesiony na drugą stronę domu, gdzie miał odpoczywać przez godzinę, doktor Carlos rozpostarł czyste prześcieradło i zaczął zdejmować koszulę.

- Carlos, co pan robi? - zawołał mój ojciec. Czy i pan podda się operacji?

- Tak, oczywiście - odparł doktor - mam przepuklinę, którą trzeba zamknąć. Hermanito zajmie się nią teraz.

Hermanito uśmiechnął się i poklepał doktora po ramieniu.

- Don Alberto, proszę stanąć obok mnie i przyglądać się.

Tata obszedł Hermanito i stanął obok doktora, gdy ten wyciągnął się na kozetce. Jak zawsze, Hermanito przetarł miejsce operacji watą nasączoną alkoholem. Nóż i nożyczki, przemyte balsamem, były gotowe do użytku. Kiedy Hermanito rozciął mu skórę na brzuchu, doktor, którego głowa spoczywała na poduszce tak, by mógł wszystko obserwować, opisywał jego czynności fachowym językiem medycyny. Kiedy przepuklina została odsłonięta, Hermanito poprosił Marinę o igłę z nitką. Marina nie spodziewała się takiej prośby i minęło kilka minut zanim udało się jej znaleźć igłę i nici. Widziałam jak Hermanito z mocno zamkniętymi oczami nawleka igłę od razu trafiając w uszko, a potem zaszywa przepuklinę w sposób, który doktor porównał do swojej własnej techniki przy podobnych operacjach.

Tata był oszołomiony. Przyszedł tu spodziewając się wykryć fałszerstwo takiego lub innego rodzaju, a zamiast tego był bezpośrednim świadkiem dwóch zadziwiających operacji, których prawdziwość potwierdził dyplomowany chirurg. Doktor Carlos nie był jedynym chirurgiem przekonanym o prawdziwości zjawisk zachodzących w domu Pachity. Na początku marca 1972 roku, dr E. Stanton Maxey - członek Amerykańskiego Kolegium Chirurgów, zwrócił się do Pachity w nadziei uzdrowienia jednego ze swoich śmiertelnie chorych pacjentów. Po tym zdarzeniu, dr Maxey napisał artykuł zatytułowany: "Uwagi chirurga na temat chirurgii psychicznej", w którym omówił swoje spotkanie z Pachitą, a także z kilkoma uzdrowiaczami z Filipin. Poniższy opis oparty jest na fragmentach tego artykułu.

W listopadzie 1971 operując panią G.W. usunąłem w ośmiokilogramowy nowotwór, w całości rakowaty (gruczolakorak jajników). U chorego nastąpił przerzut nowotworu na organy sąsiednie, których nie można było usunąć. Zastosowano zwykłą chemoterapię, ale pozostały po operacji rak rozrastał się. Jeśli pacjentka miała przeżyć, to bezsprzecznie jedyna nadzieja leżała w cudownym uzdrowieniu.

W marcu towarzyszyłem pani G. W., jej mężowi i chirurgowi weterynarii podczas wizyty u kobiety o imieniu Pachita na przedmieściach Mexico City. Po kilku dniach udało nam się uzyskać jej "diagnozę". Odkryto to w bardzo dziwny sposób. Każdy z nas, zgodnie z otrzymanym poleceniem, przyniósł do domu Pachity świeże jajko, które miało być użyte do celów diagnostycznych. Jeden po drugim, pacjenci szybko wchodzili do pokoju przyjąć, aby zasięgnąć diagnozy. Kiedy nadeszła nasza kolej... Pachita wzięta jajko od pani G.W. i prędko przetoczyła je po głowie, plecach i brzuchu pacjentki, po czym oświadczyła (przez tłumacza), że jest to rak macicy i wrzuciła jajko do stojącego obok kubła. (Przypis: Podczas wcześniejszej operacji wykryto nowotwór atakujący macicę, ale go nie usunięto.) Niektóre z wcześniej rzuconych jajek leżały rozbite na betonowej podłodze. Następnie Pachita zanurzyła ręce w misce z wodą, spryskała nią panią G.W. i udzieliła jej błogosławieństwa. ...Termin operacji wyznaczono na następną noc. Tym razem było nieco mniej pacjentów, a Pachita miała kilku pomocników, z których jeden zbierał dobrowolne datki. Panią G. W. położono w ubraniu do łóżka i podano jej do wypicia herbatę. Nieco później trzech młodych, silnych mężczyzn przeniosło ją do pokoju przyjąć, razem z rolką waty i butelką alkoholu etylowego, w które zaopatrzyliśmy się już wcześniej. Poszedłem razem z nimi. Pachita siedziała przed świętymi figurkami w bardzo słabym świetle świec, podczas gdy panią G.W. położono na łóżku i odsłonięto jej brzuch. Stałem przy jej nogach, a właściwie trzymałem jej stopy badając puls w arteriach nożnych. Pachita polala alkoholem brzuch pacjentki, szybkimi ruchami roztarta go, a potem bardzo szybko wbijała nożyczki i nóż głęboko w brzuch pacjentki, zupełnie nie zwracając uwagi na struktury anatomiczne. Pacjentka nie odczuwała żadnego bólu. Słysząc było odgłosy cięcia tkanek. Wreszcie było po wszystkim i asystenci szybko założyli bandaż. Pachita siedziała najwyraźniej pogrążona w modlitwie i można było zauważyć jakby niebieskawą poświatę spowijającą ją i jej współpracowników. Pani G.W. otrzymała zebrane w okolicy zioła, z których po powrocie do domu miała przygotować sobie napar. Trzy dni później w moim gabinecie zmieniłem pacjentce opatrunek i zobaczyłem tylko kilka powierzchownych zadrapań, ale wyczuwałem promieniujące z tego miejsca ciepło, jakby w okolicy podbrzusza temperatura była podwyższona. Zakrwawiony opatrunek został przebadany na oddziale kryminologii. Stwierdzono, że była to krew ludzka grupy B. Tej samej grupy, co krew pacjentki.

We wstępie do swojego artykułu dr Maxey napisał:

Zobaczyć nie znaczy uwierzyć. Zobaczyć i sfotografować też jeszcze nie znaczy uwierzyć. A badania laboratoryjne potwierdzające prawdziwość tych zjawisk prowadzą tylko do jeszcze większego zamieszania dostarczając danych, których ścisły umysł nie może zaakceptować.

Dr. Maxey to niewątpliwie człowiek obdarzony umysłem nie tylko ścisłym, ale nawet wybitnym. Jest on nie tylko pracującym od ponad dwudziestu pięciu lat chirurgiem ogólnym, posiadającym uznanie Amerykańskiej Komisji Chirurgicznej i członkiem Amerykańskiego Kolegium Chirurgów, ale także pilotem i instruktorem lotnictwa. Dr Maxey jest również wynalazcą hydraulicznych stołów operacyjnych, maszyn do obróbki tkanek, wysokościomierzy i elektronicznych przyrządów pokładowych, używanych w lotnictwie. Twierdzi on, że *"wiedza naukowa i medyczna powinna być zazdrośnie strzeżona, ponieważ stanowi ona wielkie bogactwo", ale dodaje, "nauki te są śmiechu warte, jeśli zaczniemy zgłębiać nieodgadnione tajniki chirurgii psychicznej... Pozwolę sobie ostrzec Czytelników, aby nie oczekiwali szybkiego wyjaśnienia tajemniczych zagadek. Jeżeli o mnie chodzi, to doradzałbym wstrzymanie się z wyciąganiem wniosków do czasu, gdy poszerzona wiedza na temat zjawisk tego świata umożliwi bardziej uporządkowaną interpretację faktów. A skoro rzeczy niemożliwe... tu opisane rzeczywiście takimi są, nie pomyłę się z pewnością jeżeli powiem, że zadowolające ich zrozumienie nie nastąpi za mojego życia".*

Dr Maxey tak kończy swój artykuł:

Spodziewam się, że medycyna i nauka potraktują opisane przeze mnie wydarzenia z niedowierzaniem... Jednak pytanie, które należałoby tu zadać brzmi: "Czy pacjenci zostają uzdrowieni?" Pozostawiając fenomenologię na boku, musimy zapytać, czy istnieje nadzieja na wyleczenie pacjentów, których przypadki medycyna konwencjonalna opisała jako beznadziejne? Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Przeczuję jednak, że chirurdzy psychiczni mogą pomóc tym z nas, reprezentującym medycynę konwencjonalną, którzy starają się uzyskać pełniejszy obraz rzeczywistości.

15 marca 1972 otrzymałam list, w którym dr Maxey pisał: *"Nasza pacjentka, pani G.W, jest obecnie w doskonałej formie". Jednak późniejszy list z 10 września 1973 donosił: "Pani G.W. ma się źle pomimo, że przez pewien czas obserwowaliśmy poprawę. Jest teraz w Nowym Yorku na wysokoenergetycznej terapii magnetycznej (5000 gon)".*

Pacjentka zmarła w lecie 1974. Dlaczego pani G.W. nie została uzdrowiona? Stanley Krippner i Alberto Villodo, którzy w swojej książce *The Realms of Healing (Obszary uzdrowienia)* omawiają i analizują działalność Pachity, na stronie 262 stwierdzają, że pogląd na świat jaki reprezentuje pacjent może mieć na niego wpływ. Niezgodność pomiędzy rzeczywistością w jakiej działa uzdrowiciel i tą, w jakiej żyje pacjent może być jedną z przyczyn, *"dla których turyści wykazujący początkową poprawę bezpośrednio po interwencji Donii Pachity albo uzdrowicieli z Filipin czasem zapadają na zdrowiu po powrocie do domu; przyjęty na pewien czas system wierzeń wyznawanych przez uzdrowiciela rozpada się pod wpływem pytań ze strony krewnych i sąsiadów, a wraz z nim znika uzyskana poprawa."*

Mniej więcej takie wyjaśnienie sformułowałam i ja widząc, że wielu pacjentów poddających się leczeniu lub operacji, wykazuje na dłuższą metę niewielką poprawę albo nie zdrowieje w ogóle. Według mnie, osobom nie uzdrowionym brakło wiary. Gdy spytałam o to Hermanito, potwierdził moje przypuszczenia i dodał, że czasami uzdrowienie nie jest zgodne z Bożą wolą. Hermanito często obiecywał uzdrowienie albo znaczną poprawę zdrowia wiedząc, że jest to niemożliwe, ale chcąc w ten sposób dodać chorej osobie otuchy.

- Ach ci lekarze! - wykrzyknął kiedyś z obrzydzeniem - Myślą, że wszystko wiedzą! Myślą, że są Bogiem! Kim oni są, żeby wyrokować, czy przypadek jest beznadziejny czy nie! A może Bóg uczyni cud, jeśli chory nie utraci nadziei! Potem Hermanito zniżył głos i odwracając ode mnie wzrok dodał: Umieranie to straszna rzecz, ale życie bez nadziei jest jeszcze straszniejsze.

* * *

Dawid* był jeszcze jednym pacjentem, który dzięki Hermanito na krótko odzyskał nadzieję. Zналиśmy się z Dawidem już jako dzieci. Nasze rodziny przyjaźniły się ze sobą, szczególnie w okresie, gdy mama i tata mieszkali w Mexico City. Nasi rodzice spotykali się od czasu do czasu, ale ja nie widziałam Dawida od lat. Na drugim roku studiów Dawid zachorował na raka. Przez prawie dwa lata poddawany był chemoterapii i naświetlaniom kobaltowym, które stanowiły desperacką próbę zahamowania choroby, ale i tak prawie całe jego ciało poprzerastane było wielkimi guzami. Lekarze dawali mu tylko kilka miesięcy życia.

Kiedy moja mama dowiedziała się od jednego z przyjaciół o stanie Dawida, natychmiast zadzwoniła do jego matki aby skierować ich do Pachity. Z początku Cora* nie chciała zabrać syna na wizytę do kobiety, którą mama tak zachwalała, ale wyczerpała już wszystkie inne możliwości i nie pozostawało jej nic innego.

Weszłam do pokoju z Dawidem i stałam obok niego, gdy Hermanito prędko przetoczył jajko po jego ciele i obmacał kilka guzów. Jeden z nich znajdował się na szyi i był niemal wielkości mojej pięści. Hermanito namaścił Dawida balsamem i położył mu ręce na ramionach.

- Mój synu, lekarze powiedzieli ci, że masz raka. Lekarze pomylili się. Są to złogi tłuszczu, które urosły w twoim ciele do niespotykanych rozmiarów. Nie zagraża to twojemu życiu. Odwagi! Dawid patrzył z niedowierzaniem, gdy Hermanito zalecił mu kurację składającą się z ziołowych naparów i *mamporra* (gatunek węża, który Pachita suszyła, mielila na proszek i pakowała w duże żelatynowe kapsułki.) Hermanito nie wspomniał nic o operacji, co wydało się dziwne, ale byłam pewna, że wcześniej czy później Dawid będzie operowany i wyzdrowieje. Oboje byliśmy bardzo podnieceni! Wypadliśmy na zewnątrz, gdzie czekały mama i Cora i podzieliliśmy się z nimi cudowną nowiną. Jednak zapisana kuracja nie pomogła. Stan Dawida zaczął się pogarszać. Bóle stawały się tak nieznośne, że nawet zastrzyki z morfiny zdawały się nie przynosić żadnej ulgi. Jego nastrój, tak pogodny i pełen nadziei dzięki słowom Hermanito, stał się teraz ponury. Zaczął z zapamiętaniem mówić o samobójstwie, które położyłoby kres męczarniom. Rankiem 29 lutego 1971 byłam akurat u Pachity, gdy przyjechał Andrew*, ojciec Dawida.

- Dobrze, że tu jesteś! - zawołał, chwytając mnie za rękę. - David jest w samochodzie. Nie jest z nim dobrze. Ma okropne bóle. Mówi, że jeśli Hermanito nie zrobi mu zaraz operacji, to się zabije. Kiedy to mówił, w jego oczach pojawiły się łzy.

- Poczekaj tutaj. Zawołam Pachitę.

Pachita zajrzała do samochodu, aby porozmawiać z Dawidem, który leżał skurczony na tylnym siedzeniu. Kiedy obie przeszłyśmy na podwórko, aby porozmawiać miała bardzo poważną minę.

- Czy Hermanito będzie zaraz operował? Widzisz, w jakim on jest stanie.

- Nie wiem, - odparła Pachita - Rak bardzo się rozwinął i nie wydaje mi się, żeby chłopak przeżył operację.

- Rak! Ale przecież Hermanito powiedział, że to nie jest rak! Pachita potrząsnęła głową.

- To jest rak. Hermanito wiedział, że żadne lekarstwa nie pomogą chłopcu, jeśli nie będzie miał nadziei. Kto wie, może Bóg uczyni cud. Ale teraz jest już za późno. A jeśli umrze nam tutaj, co wtedy?

- Pachita, Hernanito musi go operować! Dawid nie może już znieść bólu. Zapytaj go, dobrze?

- Dobrze, zapytamy go powiedziała, potrząsając z powątpiewaniem głową. Chodź.

Weszłyśmy do pomieszczenia z ołtarzem. Kilka minut później Hermanito był już z nami.

- Będziemy operować tego chłopca - powiedział powoli, po kilku chwilach milczenia. - Bóg ma moc aby go ocalić, jeśli taka będzie Jego wola. Po czym Hermanito zwrócił się do mnie.

- Przez trzy dni musisz go przygotować w następujący sposób - mówił prędko. - Znajdź zgniłe błoto przy stojącej strudze. Podgrzej je, a potem natrzyj nim guz pod żebrami. Zabandażuj i trzymaj tak długo, jak będzie mógł to wytrzymać; co najmniej kilka godzin, a najlepiej całą noc. To może zespolić nowotwór tak, by dał się usunąć. Rano natrzyj mu pierś i plecy, a także guzy na szyi słodko pachnącym balsamem z dodatkiem ziół (podał mi nazwę jakiejś maści.) Przerwał na chwilę, a potem wziął mnie za rękę.

- Możliwe, maleńka, że przyczynisz się do jego uzdrowienia. Powtarzam ci, posiadasz dar. Pewnego dnia będziesz uzdrawiać tak, jak czyni to moje ciało. Weź tę butelkę balsamu. W nocy, kiedy rodzina będzie już spała wejdź do każdego pokoju i pokrop go balsamem wzywając imienia Bożego. Jeśli drzwi do pokoju rodziców będą zamknięte, pokrop je wodą. Potem weź szklankę czystej wody. Wyjdź na balkon, podnieś ją wysoko w prawej ręce i powiedz: *"Niech najdroższa krew naszego Pana Jezusa Chrystusa, która obecna jako znak w Egipcie przyniosła Izraelitom wolność, dzięki mocnemu ramieniu Boga uwolni nas i strzeże od wszelkiego zła. Amen"*. Potem zmów Modlitwę Pańską. Postaw szklankę na podłodze i zostaw ją tam na noc. Potem podnieś ręce wysoko nad głowę w geście błagania i powiedz: *"Ojcze, mój, Panie, w tej chwili proszę cię, abyś pobłogosławił te ręce, które mi dałeś. Są teraz puste, Panie, ale przez twoją wielką miłość, uzdolnij je i napełnij miłością, aby mogły usunąć z tego ciała wszelkie ślady choroby. Przez twą boską dobroć, składam ci dziękczynienie, Panie"*. *"Światło i światło, słońce i ziemia, księżycu i gwiazdy, rośliny i mchy, gady ziemi, morza i rzeki, kobiety i plemiona z wszystkich krańców ziemi w zgodzie i harmonii; proszę was dzisiaj o zdrowie dla tego pacjenta."*

Potem jeszcze raz zmów Modlitwę Pańską. Dawid musi wypić wodę, którą zostawiłaś na noc wśród żywiołów, jak tylko się obudzi. Czy zrozumiałaś wszystko, co ci powiedziałem, maleńka?

- Tak, Hermanito, zrozumiałam.

- A zatem idź z Bogiem. I proś Go o życie chłopca.

Zabraliśmy Dawida do domu i położyliśmy go do łóżka, a jego ojciec i ja pojechaliśmy na przedmieścia, gdzie znaleźliśmy duży, stojący staw, niegdyś należący do systemu azteckich kanałów. Napelniliśmy cuchnącym błotem duże wiadro. Poleciłam Dawidowi położyć się na ręczniku, podczas gdy sama podgrzewałam błoto. Małe białe larwy zebrały się na powierzchni szlamu. Wyjęłam przy pomocy łyżki wszystkie, jakie zdołałam dostrzec, a potem wysmarowałam Dawidowi brzuch błotem. Poddał się bez słowa tej obrzydliwej kuracji, wiedząc, że Hermanito obiecał go operować. Na wieczór drugiego marca planowano tylko pięć operacji. Dawid miał być operowany jako ostatni. W pokoju byli moi rodzice, ojciec Dawida i przyjaciel ich rodziny. Chalio i ja asystowaliśmy w operacji. Rozłożyliśmy prześcieradło przyniesione przez ojca Dawida i ułożyliśmy na nim chłopca. Chalio pomógł mu rozpiąć koszulę. Hermanito spojrzał na niego z góry.

- Nie martw się, synu, wszystko będzie tak, jak Bóg zechce.

Podaliśmy Hermanito prasowaną watę nasączoną alkoholem, którą ten przetarł szybko brzuch Dawida. Potem ułożył cztery pasy waty wokół miejsca, które miał operować, po prawej stronie poniżej żeber i wziął nożyczki, które mu podałam.

- Stańcie wokół niego w kole, drodzy bracia. Weźcie się za ręce i módlcie się; módlcie się z całych sił, aby Bóg zesłał uzdrowienie dla tego chłopca. Hermanito podniósł nożyczki i trzymał je w górze, modląc się przez długą chwilę, a potem wbił je w bok Dawida. Ciął przez chwilę, a potem zapytał:

- Czy boli cię to, maleńki?

Dawid nic nie odpowiedział. Atmosfera w pokoju stała się nagle napięta. Hermanito wyciągnął nożyczki z rany i patrzył na twarz Dawida. Chłopiec wyglądał jak martwy. Nie wyczuwałam najmniejszego ruchu klatki piersiowej. Hermanito wciągnął powietrze ze świstem, chwytając Chalio za rękę.

- Podwiń rękaw, musimy zrobić transfuzję. Prędko! Reszta niech się modli! - rozkazał. Hermanito złapał obnażoną rękę Chalio i przesunął wskazującym palcem po skórze która rozstąpiła się i zaczęła krwawić. W tej samej chwili zrobił to samo z ręką Dawida i trzymał obie ręce złączone razem przez około trzydzieści sekund. Słyszałam głos Hermanito, który mrucał coś co brzmiało jak modlitwa, ale w obcym języku, a jego zamknięte oczy wpatrywały się w twarz Dawida. Nagle Dawid odetchnął głęboko i otworzył oczy.

- Spokojnie, spokojnie - powiedział Hermanito bardzo cicho - Mojemu Bogu niech będą dzięki. Masz teraz w sobie krew plemienia Yaqui, mój synu. Możemy kontynuować. Wziął nóż i wyciął duży guz, który zawinęliśmy w czarny papier. Hermanito położył rękę na kilka sekund na ranie, po czym odsunął zakrwawioną watę i przykrył miejsce operacji czystym opatrunkiem.

- Skończyliśmy, drodzy bracia. Zabandażujcie go teraz i zabierzcie stąd, aby odpoczął.

Chalio, Adrew i tata pomogli wynieść Dawida z pokoju; pozostali wyszli, aby się nim zająć.

Zostałam w pokoju sama z Hermanito, który stał obok ołtarza. Nagle ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać. Były to łzy strachu i ulgi zarazem.

- Hermanito, Hermanito, co się stało? - zapytałam. Serce pękało mi na widok jego głębokiego smutku.

- Och, moja maleńka, staję się takim tchórzem. Dawid umarł wtedy, na stole. Siła stojąca za Hermanito przywróciła go do życia, ale śmiertelne wezwanie przeszło zbyt blisko Pachity.

Cienkie paski wysuszonego węża leżały w pokoju na stole. Pachita podnosiła je jeden po drugim, wkładała do kamiennej miseczki i mocnymi ruchami startego już mocno tłuczka rozbijała na drobny proszek.

- Mam nadzieję, że to wystarczy - westchnęła, przyglądając się nędznej zawartości miseczki.

- Tak czy inaczej, będzie musiało wystarczyć. Hiervero (zielarz) nie mógł mi znaleźć więcej Mamporro, bo te przeklęte węże stają się coraz rzadsze. Nie uwierzysz ile mi za to policzył!

- Czy nie ma nic, czym Hermanito mógłby je zastąpić? - zapytałam, ostrożnie napelniając żelatynowe kapsułki proszkiem.

- W niektórych przypadkach raka, nie - odparła, potrząsając głową - Tabletki z węża są najskuteczniejsze... ale tylko, jeśli poda się je odpowiednio wcześniej. Większość z tych, którzy przychodzą do Hermanito jest już zbyt posunięta w chorobie. Westchnęła znowu, wkładając kolejny pasek suszonego węża do miseczki. Zastanawiałam się, czy mówiąc to myślała o Dawidzie. Minęło kilka tygodni od jego operacji.

Wyglądało na to, że jego stan znacznie się poprawił, ale było jeszcze za wcześnie, aby być tego pewnym.

Przez kilka minut pracowałyśmy w milczeniu.

- Pachito... nie pogniewasz się jeśli zapytam cię o coś osobistego? — odezwała się niepewnie.

- Oczywiście, że nie córeczko — uśmiechnęła się, podnosząc na mnie wzrok.

- Jak to się zaczęło z Hermanito?

Pachita nie odpowiadała przez kilka chwil i nie przerywała ucierania.

- Moi rodzice porzucili mnie, gdy byłam malutkim dzieckiem - powiedziała cicho. - Zaadoptował mnie mały, czarny mężczyzna z półwyspu Yucatan, który zajmował się zwierzętami w cyrku. Uczyłam się tam akrobacji na trapezie, ale tak naprawdę to lubiłam zajmować się zwierzętami.

Miałam dar obcowania z nimi - wiedziałam, co czuły i wiedziałam jak je leczyć, gdy były chore.

- Na przykład któreś nocy jedna ze słonic miała strasznie ciężki poród. Nikt nie wiedział co zrobić. Wyglądało na to że nie przeżyje ani matka, ani młode. Stałam tam i przyglądałam się, kiedy coś mnie nagle olśniło. Wiedziałam jak jej pomóc. Wydałam dokładne polecenia, jak należy postąpić. Oba zwierzęta zostały uratowane. Weterynarz był całkiem zbity z tropu zaśmiała się. Jakaś dziewięcioletnia dziewczynka pouczała go, co ma robić. Pachita urwała i przez chwilę rozcierała sobie szyję.

- Masz, teraz ty potłucz, zmęczyłam się. Przyciągnęłam kamienną miseczkę na swoją stronę stołu i sięgnęłam po kolejny kawałek węża. Pachita westchnęła głęboko, potarła twarz i mówiła dalej.

- Jako prawdziwe medium zaczęłam pracować dopiero przed trzydziestką. Pewnego dnia, o trzeciej po południu poczułam się bardzo zmęczona i zasnęłam. Tak było przez kilka miesięcy; codziennie o trzeciej po południu zasypiałam, gdziekolwiek bym nie była. Po przebudzeniu zdawało mi się, że we śnie nawiedzały mnie duchy, aby uczyć mnie o ziołach, dawnych sposobach leczenia i tym podobnych rzeczach. Aż któregoś popołudnia jeden duch zawładnął moim ciałem i powiedział, że przyszedł, aby być moim przewodnikiem i że mamy go nazywać "Hermanito". Powiedział, że za życia był znany jako Cuauhtemoc. Misja, jaką miał do spełnienia na ziemi jako przywódca i uzdrowiciel została przedwcześnie przerwana, gdy zabili go Hiszpanie. On i ja będziemy uzdrawiać razem, powiedział, bo taka jest moja misja w tym życiu. Zaczął stawiać diagnozy chorob każdemu, kto akurat był w pobliżu i zapisywał im zioła i leki. Pewnego wieczoru obudziłam się z transu i zobaczyłam, że ręce mam pokryte świeżą krwią. Nie wyobrażasz sobie jak mnie to przeraziło! Powiedziano mi, że Hermanito popatrzył na pacjenta, oświadczył, że wymaga on operacji i rozciął go przy pomocy kuchennego noża. Pacjent nie czuł żadnego bólu i wyzdrowiał, ale ludzie byli przestraszeni. Powiedzieli, że oszalałam i zamknęli mnie na dwa lata w szpitalu dla wariatów.

Na jej twarzy odbiło się wspomnienie tamtego koszmaru, mówiła z goryczą.

- Wreszcie kiedy mnie wypuścili, wyszłam za mąż i miałam pięcioro dzieci. Dwoje z nich już nie żyje, bo zachorowały i umarły.

- Ale czy Hermanito nie mógł im pomóc? - wykrzyknęłam zdumiona.

- O, tak - odparła cicho. - Ale nie chciał. Powiedział, że Bożą wolą jest, aby one opuściły ziemię, i że ze względu na moją karmę powinnam przeżyć ich stratę. Byłam tak wściekła na Hermanito, że nie dopuszczałam go do siebie przez wiele tygodni, ale w końcu zmęczył mnie swoim uporem.

- Potem zostawił mnie mój mąż, ponieważ nie mógł już tego znieść - śmierć naszych dzieci i ci wszyscy ludzie w dzień i w nocy, nie było miejsca na nasze własne, prywatne życie. Widziałas przecież, jak tu jest. Przytaknęłam. Pachita bardzo rzadko miała moment czasu dla siebie. Pod drzwiami zawsze czekał ktoś potrzebujący pomocy i nigdy nie widziałam, żeby odprawiono kogoś z kwitkiem.

- A więc, córeczko, tak to było. Hermanito jest ze mną już czterdzieści sześć lat. Dokonywał przeze mnie cudownych uzdrowień, ale nie wiem jak długo jeszcze to potrwa. Jestem stara, jestem chora i jestem bardzo zmęczona. Mój poziom energii nie jest już taki jak dawniej. To utrudnia Hermanito przeprowadzanie udanych operacji. Nie mam pojęcia ile lat będę jeszcze użyteczna... dlatego nie wolno ci się zniechęcać, musisz się uczyć i pracować. Moi synowie nie chcą przejąć mojego płaszcza. Są zbyt zajęci własnymi sprawami, żeby poświęcić się tej pracy. Ty ją odziedziczysz, maleńka, bo masz dar i nie sprzeciwiasz się temu. Nauczę cię wszystkiego, co sama umiem.

- Ale w takim razie, dlaczego... - moje pytanie zostało przerwane pojawieniem się młodej kobiety z poważnie chorym dzieckiem na ręku. Nigdy już nie znalazłam odpowiedniej chwili, żeby spytać ją dlaczego, jeśli zostałam wybrana, nie stałam się jeszcze prawdziwym medium, tak jak to przepowiedział Hermanito. Odłożyłam tłuczek i przeszłam w ślad za nią do pomieszczenia z ołtarzem.

* * *

Dziecko wrzeszczało z bólu i przerażenia, kiedy Hermanito zrobił głębokie nacięcie na jego małej szyjce.

- Już zaraz kończymy, maleńki - pocieszał chłopca Hermanito.

- Postaraj się utrzymać go nieruchomo jeszcze przez chwilę. - Odezwał się do matki. - To nie potrwa długo. Podaj mi ten słoik obok ciebie... tak, właśnie ten.

Zdjęłam pokrywkę z niedużego słoika, a Hermanito wyciągnął z niego pięciocentymetrową rurkę.

- Przytrzymaj mu głowę, Chalio! - rozkazał wkładając rurkę do rany u podstawy czaszki. Chłopczyk zawył, gdy jego palce dotknęły rozciętego ciała. Potem Hermanito ostrożnie przykrył ranę kawałkiem czystej waty.

- Skończyliśmy, drodzy bracia. Ta rurka odprowadzi nadmiar płynu z mózgu i chłopiec wyzdrowieje.

Matka padła przed Hermanito na kolana i chwyciła go za rękę chcąc ją całować.

- Niech cię Bóg błogosławi, Hermanito, ty jesteś święty! Dziękuję ci, dziękuję! - łzy wdzięczności spływały jej po twarzy.

- Wstań, maleńka. Nie mnie dziękuj. Wszystkie podziękowania należą się mojemu Ojcu w niebie. Matka pośpieszyła do dziecka, które owinięto w prześcieradło i wyniesiono. Operacje były na ten dzień skończone.

- Chalio, najdroższy, podejdz tu, mam dla ciebie niespodziankę. Hermanito siedział na krześle przy ołtarzu.
- Powiedz mi, mój synu - powiedział poważnie, przyglądając się krytycznie rękóm Pachity, które wyciągnął przed siebie - ile to już razy mówiłem wam, żebyście zabronili mojemu ciału tego obrzydliwego malowania paznokci? Wszyscy w pokoju wybuchnęli śmiechem.
- Och, wiele, wiele razy, Hermanito - wykszusił Chalio.
- Ale ona się przy tym upiera, żeby mnie ignorować, czyż nie tak? I żaden z was nie ma odwagi powiedzieć jej czegokolwiek na ten temat! Daj tu swoje ręce! - rozkazał z surową miną. Sięgnął za siebie i wziął ze stołu buteleczkę lakieru do paznokci o kolorze głębokiego fioletu. Chalio chciał ukryć ręce za plecami, przewidując co się święci, ale Hermanito złapał go za rękę i sprawnie zaczął mu malować paznokcie.
- Aha! - zaśmiał się wesoło. - Dzieło sztuki, nieprawdaż? Teraz rozumiecie, drodzy bracia, co ja czuję, kiedy zjawiam się tutaj i znajduję moje ręce w tak oplakany m stanie. To samo dotyczy tych jej frywolnych kobiecych grzebieni do włosów — zawołał wyciągając je z włosów i wymachując nimi w naszym kierunku.
- Niech to będzie nauczka dla was wszystkich.

* * *

- Nie, kozetka jest zbyt chwiejna do tej operacji oświadczył Hermanito, kiedy następnego wieczoru rozkładałam prześcieradło pacjenta.
- Będzie nam potrzebny stół z drugiego pokoju. Doktor Carlos i Chalio przynieśli stół i ustawili go na środku pokoju. Przykryłam go prześcieradłem, a Perry położył się na nim przy mojej pomocy. Potem przeniosłam na brzeg kozetki za moimi plecami miski i sterty waty, a także dwa styropianowe pudełka wypełnione najróżniejszymi przedmiotami, od gumowych rurek po puszkę talku. Nóż i nożyczki zostały wytarte do czysta po ostatniej operacji i leżały gotowe obok pociętej waty. Perry* był oficerem w stanie spoczynku i od czasu przejścia na emeryturę mieszkał w Meksyku. Od lat cierpiał na nie nadający się do operacji nowotwór mózgu, który był powodem coraz częstszych ataków oślepiających bólów głowy i nudności. Na przestrzeni lat ból stał się nie do zniesienia i Perry był przekonany, że niedługo umrze.
- Powiedz mu, aby położył się na boku twarzą do ciebie, moja córko - polecił mi Hermanito.
- Trzymaj go za rękę i rozmawiaj z nim.
Hermanito stanął za plecami pacjenta z doktorem Carlosem u boku. Wyciągnął rękę, a ja wręczyłam mu kłębek waty nasączony alkoholem. Potarł nim wierzch głowy Perry'ego. Kiedy znowu wyciągnął rękę, ja sięgnęłam po nożyczki.
- Nie, maleńka, podaj mi najpierw nóż.
Jednym gwałtownym uderzeniem wbił go w czaszkę Perry'ego. Człowiek na stole głośno westchnął.
- Czy czujesz ból, Perry? - zapytałam go z niepokojem.
- Och, nie - odparł uśmiechając się blade. - Ale czuję, jak coś porusza się w mojej głowie, to takie dziwne - zaśmiał się nerwowo.
Hermanito operował wewnątrz jego głowy przez kilka minut, tnąc zawzięcie nożyczkami, które mu podałam. Potem pojawił się smród, taki sam, jaki czułam przy innych operacjach raka, wydobył się z ziejącego w głowie pacjenta otworu i Hermanito wyciągnął włóknisty, ociekający krwią kłęb tkanki i upuścił go na duży kawałek waty trzymany przez doktora Carlosa.
- Trochę źle widzę - powiedział Perry, gdy rana miała już być zamknięta. Hermanito spojrzał na mnie.
- Maleńka, spójrz mu w oczy czy nie dostał zeza?
Tak, miał zeza. I to jeszcze jakiego.
- Tak przecież nie możemy go zostawić, prawda? - Hermanito ponownie włożył rękę do wnętrza czaszki i oczy Perry'ego nagle wróciły do normalnej pozycji.
W kilka dni po operacji zadzwoniłam do niego, aby dowiedzieć się jak się czuje. Powiedział mi, że bóle głowy ustąpiły po raz pierwszy od wielu lat, tak samo jak nudności. Jadł i przybierał na wadze. Jego twarz nabrała zdrowych kolorów. Słowem, czuł się znakomicie. Nawet zęb, który bolał go podczas operacji, został wyleczony tamtego wieczoru. Prawie rok później, gdy mój tata spotkał go przypadkowo, twierdził, że wciąż czuje się świetnie. Dawne symptomy nie powróciły. Don Ignacio, z zawodu notariusz, był jeszcze jedną osobą, która dzięki Hermanito doznała zupełnego uzdrowienia. Przez trzy lata prześladowała go bolesna niestrawność, spowodowana niezłośliwym nowotworem, który umiejscowił się na dnie żołądka, przy ujściu do dwunastnicy. Guz urósł do takich rozmiarów, że kiedy Don Ignacio zdjął koszulę przed operacją zobaczyłam na jego boku wyraźną wypukłość. Tata pomógł mi podłożyć starszemu panu poduszkę pod głowę.
- Proszę się nie martwić o mnie, Don Alberto - powiedział Don Ignacio do taty, który był jego starym przyjacielem, ze spokojnym, pewnym siebie uśmiechem. - Wszystko będzie w porządku. Hermanito ma bezpośrednie połączenie z Boskim Źródłem. Nie może się nie udać.
- Ten brat dużo rozumie - zauważył Hermanito uśmiechając się z aprobatą. - To dobrze.

Operacja starszego pana została uwieńczona bezapelacyjnym sukcesem. Nabrzmiące miejsce na jego boku znikło .raz na zawsze wraz ze wszystkimi objawami. Bob nie był aż takim szczęściarzem. Był on ranny w walce podczas wojny w Korei i miał sparaliżowane obie nogi. Pomimo swego sceptycznego nastawienia zdecydował się na wizytę u Pachity, gdy wieść o jej uzdrawiających zdolnościach rozeszła się po Ameryce. Werdykt Hermanito w tej sprawie zdumiał nas: sytuacja nie była beznadziejna. Będzie to wymagało cierpliwości ze strony Boba i przynajmniej dwóch operacji, aby wymienić martwe włókna nerwowe w kręgosłupie, ale będzie chodził. Pierwsza operacja Boba odbyła się wieczorem na dzień przed tym, jak Hermanito powiedział Davidowi, że nie jest chory na raka. Była to bolesna operacja. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego niektórzy pacjenci nie czuli pod nożem Hermanito żadnego bólu, a inni cierpieli męki niemal nie do zniesienia. Jednak Bob zniósł wszystko i w ciągu następnych tygodni wiernie przestrzegał zapisanej terapii i pił napary, które według Hermanito były niezbędne dla odżywienia nowo wszczepionego nerwu. Od czasu do czasu opowiadał z entuzjazmem o wracającym czuciu w nogach i stopach, a ja, przekonana że wkrótce będzie chodził, zachęcałam go do wiary i wytrwałości. Druga operacja Boba była, o ile to możliwe, jeszcze boleśniejsza od pierwszej. Byłam pewna, że to dobry znak, zapowiedź powracającego czucia w jego plecach. Drugi raz odwieźliśmy go do domu do Cuernavaca ułożonego twarzą w dół na materacu w naszym samochodzie kombi, tym razem bez cennego naparuru, ponieważ Hiervero spóźnił się z dostarczeniem jakiegoś niezbędnego składnika. Mieszanka miała być gotowa następnego dnia, ale dziwnym trafem zaszła jakaś pomyłka i Bob nigdy jej nie otrzymał. Jego powrót do zdrowia został zahamowany i Bob pozostał na wózku. Podobnie rzecz się miała z pisarką i poetką Virginią Hammond*, która doznała pęknięcia dwóch kręgów, gdy pewnego wieczoru zmęczona tańcem poślizgnęła się na szmacianym dywaniku. Miała wówczas siedemnaście lat. Wiele lat żyła w ciągłym, dręczącym bólu. Przeszła szesnaście operacji kręgosłupa, w tym cztery ciężkie, zanim zdecydowała się zobaczyć z Hermanito. Virginia wspomina to tak:

Czytałam o tak zwanych "operacjach psychicznych" wykonywanych w różnych częściach świata przez uzdrowiaczy operujących eteryczne, to znaczy "niewidzialne ciało". Myślałam, że ta operacja będzie podobna, więc i ja, tak jak wielu innych, udałam się do Pachity żywiąc nadzieję uzdrowienia. Jednak kiedy dowiedziałam się, jakiej to dokładnie operacji chciała mnie ona poddać, miałam poważne wątpliwości i złe przeczucia. Podczas sesji diagnostycznych u Hermanito czułam się nieswojo. W tej istocie było coś niedobrego, a nawet złowrogiego. Jednak Tom z Kontroli Umysłu i kilku innych przyjaciół przekonało mnie powołując się na swoje doświadczenia i obserwacje, że Hermanito jest istotą życzliwą. Zapewniali mnie, że operacja potrwa tylko kilka minut, że rana zabliźni się natychmiast i że nie będę czuła bólu. Postanowiłam, że nie pozwolę się znieść swoim złym przeczuciom. Żałuję teraz z całego serca, że tego nie zrobiłam. Piekło nie może być gorsze od moich przeżyć tamtej nocy. Kiedy wieczorem stawiałam się na operację, Hermanito pokazał mi stoik z kilkoma kręgami wyjętymi ze zwłok. Według jego słów miały one zastąpić moje uszkodzone kręgi. Zapłaciłam za nie z góry 2000 pesos. Gdy leżałam już twarzą w dół na kozetce, Hermanito ponownie zapewnił mnie, że nie będę czuła żadnego bólu. Ale nagle poczułam nóż wbijający mi się w plecy, prosto w kręgosłup. Przeszył mnie palący, ohydny ból. Wrzeszczałam bez przerwy, ale ból nie ustępował. Co najmniej cztery razy czułam, że palce Hermanito wyciągają coś z moich pleców, a potem wpychają tam coś ostrego i twardego, wbijając to siłą. Ciągle krzyczałam wniebogłosy. Nagle zrozumiałam, że jestem w rękach złej istoty. Czułam płynącą z niej nienawiść. Jedyne wyjaśnienie, jakie mogę podać, jest moje oddanie się Chrystusowi: Hermanito musiał to wyczuć. Wreszcie było po wszystkim i zostałam wyniesiona z pokoju z ołtarzem przez kilku mężczyzn. Powiedziano mi, że rana zasklepi się natychmiast, ale nie chciała się zagoić. Otwór wycięty w moich plecach miał długość około dwudziestu pięciu centymetrów i głębokość kilkunastu centymetrów. Wdało się zakażenie i rana krwawiła kilka miesięcy. Moja córka oczyszczała ją jak umiała najlepiej: bałam się i wstydziłam pójść do swojego lekarza; wiedząc, że kpi sobie z takich rzeczy. Po miesiącach silnego bólu, choroby i modlitwy, rana wreszcie zamknęła się, ale nigdy nie zostałam uleczona. Wręcz przeciwnie, stan mojego kręgosłupa znacznie się pogorszył po operacji. Jedyne cudem było to, że w ogóle przeżyłam ten koszmar: wierzę, że zawdzięczam to pomocy Boga, który wysłuchał mojej modlitwy.

EXODUS

We wrześniu 1972 pracowałam z Pachitą od ponad czternastu miesięcy. Zmyłam z moich rąk krew ponad dwustu operacji. Widziałam wszystko, od usuwania nowotworu mózgu po wymianę kręgów i przeszczep płuca. Widziałam przedmioty materializujące się i wyjmowane z ludzkiego ciała podczas operacji usuwających dane przekleństwo, jeszcze bardziej zaprzeczające logice; żywe robaki wyjmowane garściami z żołądka jakiejś kobiety; biały grot strzały z serca innej; czarny, pokryty włosiem kamień wielkości dziecinnej pięści wydobyty z gardła śpiewaczki, która bez widocznej przyczyny straciła z dnia na dzień głos.

Inny duży kamień, pokryty długimi, czarnymi włosami, wyrastającymi jakby z porów na jego powierzchni, usunięto z nerek jakiegoś mężczyzny. Kilka metrów obrzydliwie zgniłych, zakrwawionych i pokrytych błotem szmat, pomogłam Hermanito wraz z doktorem Carlosem wyplątać z wnętrzości pewnej pacjentki. Nawet mama i tata uczestniczyli raz w takiej operacji. Rodzina przyprowadziła na operację chłopca, który nie miał więcej niż szesnaście lub siedemnaście lat. Był głuchy od urodzenia. Lekarze nie potrafili znaleźć przyczyny jego kalectwa. Hermanito wyjaśnił rodzinie, że na dziecko zostało rzucone bardzo mocne przekleństwo, gdy jeszcze znajdowało się w łonie matki, przez zazdrosną krewną, która nie mogła mieć dzieci. Tego wieczoru przekleństwo, zamykające gardło chłopca, zostanie usunięte. Pacjentowi polecono usiąść na krześle twarzą do ołtarza .

- Proszę podejść, Don Alberto. Będzie pan dzisiaj asystował w operacji razem z naszym droгим doktorem. Tata wyglądał na zaskoczonego, ale przysunął się do Hermanito. Mama niespokojnie krążyła za nim, przyciskając do piersi torebkę. Wiedziałam, że wolałaby tu nie być. Od początku wyczuwała obecność krążących wokół duchów i bała się ich. Protestowała także przeciwko śpiewaniu hymnów do Hermanito. Twierdziła, że kilka razy, kiedy wzywano imienia Boga, słyszała jak Hermanito mruczy do siebie "soy yo, soy yo" - co znaczy "to ja, to ja". Była także świadkiem operacji Davida; wiedziała, że umarł i tylko największym wysiłkiem został przywrócony do życia. Samo nawet miejsce przerażało ją. Ale od czasu do czasu Hermanito upierał się, żebym przyprowadziła ją ze sobą; przeczuwane konsekwencje odrzucenia takiego wezwania były dla niej jeszcze bardziej przerażające niż uczestniczenie w operacji. Hermanito rozciął gardło chłopca, następnie wziął tatę za rękę i włożył jego dłoń w otwartą ranę.

- Czy czuje pan tam zgrubienie, Don Alberto? tata skinął głową. - Dobrze, dobrze – kiedy poczuje pan, że się rusza, niech je pan wyciągnie. No, dalej! Odwagi!

Tata wyciągnął z gardła chłopca wijący się, zakrwawiony kłęb materii, który został zawinięty przez doktora w ciemny papier, obwiązany sznurkiem i umieszczony na ołtarzu. Hermanito ponownie włożył rękę do rany.

- Potrzebny mi maleńki kluczyk. Ktoś z obecnych ma go przy sobie! Nikt się nie poruszył.

- Umiłowane dzieci, nie możemy stać tak przez całą noc! Klucz jest w twojej torebce! - dodał, nie zwracając się do żadnej konkretnej osoby.

- Och! Ja go mam! - rozległ się podniecony okrzyk mamy. Wyciągnęła z torebki pęk kluczy; wśród nich był jeden maleńki, mosiężny kluczyk. Hermanito wziął kluczyk, włożył w otwartą ranę i przekręcił. Następnie, gdy chłopiec został zabandażowany, Hermanito rozkazał mu, aby mówił.

- No proszę, powtórz za mną "Pachita".

Po długiej chwili chłopiec z wahaniem, ochryplym głosem wymówił swoje pierwsze słowo: Pa - chi - ta.

Na dźwięk jego głosu rodzina chłopca wybuchnęła płaczem.

- Wspaniale! Teraz imię doktora — doktor Carlos... świetnie! A teraz powiedz Don Roberto Alberto - poprawił go tata. I teraz nawet on miał łzy w oczach, gdy chłopiec radośnie powtórzył jego imię. Przekleństwo zostało zdjęte.

* * *

Prawie zawsze podczas operacji usuwających przekleństwo proszono dwanaście osób o utworzenie półkola wokół kozetki i zanoszenie modlitw o Bożą opiekę. Usuwane z ciała pacjenta przedmioty były zawsze zawijane w ciemny papier, obwiązane sznurkiem i owijane rzemieniem nabijanym dzwoneczkami. Fatalna paczuszka była następnie umieszczana na ołtarzu, skąd nie mogła już nikomu zaszkodzić.

- Widzisz, maleńka - Hermanito wyjaśnił mi pewnego razu - osoba, która dostatecznie mocno źle życzy drugiej osobie może sprawić, że opanują ją złe istoty. Mogą one zranić ducha takiej osoby strzałami, kamieniami, albo przy pomocy żywych węży czy robaków – różnymi przedmiotami mogą wyrządzić swojej ofierze wielką krzywdę na duszy i ciele. Dzięki mocy Bożej materializują te przedmioty w ciele pacjenta i usuwam je. O północy moje ciało znosi te obrzydliwości w góry, gdzie zmuszamy ciemne moce, aby zdjęły ze swoich ofiar przekleństwo. Hermanito westchnął.

- Nie wiedzą, co czynią. Niech Bóg ich oświeci.

Doktor Carlos opowiadał mi później, co widział podczas nocnych spotkań na stoku góry, w których czasem brał udział; o duchowych walkach, podczas których ludzie modlący się w kręgu wokół ognia byli obrzucani padającym nie wiadomo skąd żwirem, brudem lub prochem strzelniczym, który zasypywał nagle całą grupę. Czasem wszyscy poza jedną lub dwiema osobami byli nim pokryci, zanim czarna paczuszka została zakopana lub wrzucona w ogień.

- Czasem było słyhać duchy wyjące z wściekłości. Lepiej, żebyś tam nie chodziła – powiedział mi doktor Carlos. Pomimo ciekawości i chęci pogłębienia mojej wiedzy, nie chciałam mieć z tymi istotami do czynienia więcej niż dotychczas. Uważałam, że mam jeszcze dość czasu, by nauczyć się jak wyprowadzać duchy ciemności na światło. A może raczej nie czułam się tego godna. Mimo że w ciągu ostatniego roku nauczyłam się wiele, nie byłam jeszcze prawdziwym medium, którym miałam zostać według przepowiedni.

Nie wzrastałam tak szybko jak powinnam, i jak oczekiwał tego ode mnie Hermanito. Nie powiedział on nic na temat mojej porażki, ale czułam, że jest zawiedziony i ogarniało mnie niejasne uczucie wstydu i zakłopotania. Niepokoiły mnie także inne sprawy. David już nie żył. Hermanito powiedział, że David będzie żył, a jednak zmarł on na raka w cztery miesiące po operacji. Dowiadywałam się także, że inne uzdrowienia dokonywane przez Hermanito były tylko czasowe. Może, jak Pachita sama mówiła, była już stara i chora; ale może nie bez znaczenia był tu także fakt, że zmieniła swój stosunek względem pieniędzy i pozwalala na to, by ludzie z jej otoczenia pobierali pokaźne sumy za jej usługi i za zapisywane leki. Nie mogłam także zrozumieć dlaczego Hermanito, pomimo żartów, odnosi się do Pachity tak bezwzględnie, nie pozwalając jej nosić ładnych, nowych ubrań i odmawiając jej leczenia, gdy była chora, a zdarzało się to coraz częściej. Nawet jej "karma" nie była chyba dostatecznym powodem. Rodzina Pachity rozpadała się. Spokój który dostrzegałam na początku, na przestrzeni miesięcy, ustąpił miejsca nieustannemu napięciu i konfliktom pomiędzy jej dziećmi. Moje życie wypełniała gorączkowa praca i nie widziałam wszystkiego już tak jasno jak podczas mojego pierwszego spotkania z Pachitą. Potrzebowałam oderwania się od tego wszystkiego na jakiś czas, chciałam побыć trochę w samotności, aby móc obcować z Bogiem i odnaleźć na nowo moją drogę.

* * *

Rano siódmego września przyszedłam powiedzieć do widzenia.

- Och, jak to dobrze cię widzieć. Brakowało mi ciebie przez te ostatnie tygodnie. Czy dobrze się czujesz? - Pachita poklepała mnie po ramieniu, kiedy weszłam przez bramę.

- Chodź, napijemy się kawy.

Weszliśmy do maleńkiej kuchni. Usiadłam przy znajomym stole. Pachita naląła mi do kubka parującej kawy z mlekiem z glinianego dzbanka i opadła na krzesło obok mnie.

- Dobrze, że przyszaś. Hermanito zostawił wiadomość, że jednak będzie dziś wieczorem operował.

- Nie mogę zostać. Pachito. Pachita odstawiła swój kubek i spojrzała na mnie.

- Wyjeżdżam na jakiś czas do Anglii. Przyszedłam prosić ciebie i Hermanito o błogosławieństwo.

- Jak długo cię nie będzie, córeczko?

- Tylko dwa miesiące, może trochę dłużej. Potem wrócę.

Pachita patrzyła na mnie przez długą chwilę nie odzywając się. Wzięłam ją za rękę.

- Czy będziesz pamiętać o mnie w swoich modlitwach?

- Tak, córko, oczywiście. I poproszę Hermanito, żeby się tobą opiekował - dodała cicho - Masz moje błogosławieństwo. Idź z Bogiem. Ucałowałam ją w policzek i wyszłam.

Miesiące, które nastąpiły potem, wypełnione są obrazami zielonych angielskich łąk w cieniu starych zamków i ciemnych wież; wspomnieniami zimnych katedr z szarego kamienia, gdzie rozlegały się echem kroki dawno zmarłych pielgrzymów; widokami białych, marmurowych grobowców w wysokiej, szmaragdowej trawie. W Katedrze Winchesterskiej ogarnęło mnie ponure uczucie zła, a na widok mnichów w kapturach owionął mnie zapach śmierci. W środku nocy mój samotny pokój wypełniały westchnienia i jedwabiste szelesty. W schronisku w Edynburgu zamarłam z przerażenia, gdy otwartszy drzwi do łazienki zobaczyłam trupa grubego mężczyzny leżącego w wannie, z odrzuconą do tyłu głową, poderżniętym gardłem i ranami na piersiach, ociekającego krwią. Wizja rozwiała się, zanim zdążyłam się wycofać. Wpadłam do mojego pokoju, zaryglowałam za sobą drzwi i rzuciłam się na kolana obok łóżka.

- Boże, wiem, że jesteś ze mną - wiem, że mnie strzeżesz, ale Panie Jezu Chryste, mam taki zamęt w głowie, dlaczego znowu się tak boję? Dlaczego znowu ukazują mi się te koszmary? O, Boże, strzeż mnie, prowadź mnie. Jestem w Twoich rękach, Ojcie. Proszę, obdarz mnie Twoim pokojem. Trzęsłam się cała, ale nie mogłam płakać. Zasnęłam ściskając w rękę małego, cynowego aniołka, którego wszędzie ze sobą nosiłam, a następnego dnia z samego rana przeniosłam się do innego schroniska.

Kiedy wreszcie znalazłam się we Florencji, we Włoszech, gdzie chciałam odwiedzić moją siostrę, która mieszka tu już kilka miesięcy od czasu, gdy ukończyła koledż. Szczerze mówiąc, miałam mieszane uczucia co do tych odwiedzin. Tęskniłam za nią, ale wspomnienia naszych zażartych sporów teologicznych były wciąż jeszcze boleśnie żywe w mojej pamięci. Jako gorliwa chrześcijanka, Kim była przekonana, że wszystkie moje ulubione zajęcia, to znaczy Joga, Kontrola Umysłu i operacje psychiczne, są dziełem szatana i powiedziała mi to otwarcie (wtedy już od roku uczyłam się Hatha Jogi i uczęszczałam na kurs Raja Jogi). Ja byłam równie mocno przekonana, że Kim jest ograniczoną ewangeliczną fanatyczką, która zadaje ciosy Biblią na prawo i lewo, i że nie rozpoznałaby Bożego cudu, nawet gdyby wpadła na niego na ulicy.

Koniec końców, spędziłam przecież większość życia terroryzowana przez złe istoty. Wiedziałam skąd one pochodzą. Ale teraz, dzięki medytacji, a także dzięki pomocy Pachity i moich doradców, widziałam cudowne rzeczy; nadprzyrodzone operacje, odzyskiwanie nadziei, wyrzucanie złych duchów. Z pewnością było kilka niezgodności, których nie potrafiłam wyjaśnić, ale bez względu na to, czyż szatan mógłby uzdrawiać? Oczywiście że nie, bo nie wyrzucaliby przecież demonów. Koniec końców, czy Pismo Święte nie mówi, że dom wewnętrznie skłócony nie może się ostać? Doświadczyłam złego; odczułam też obecność Świętości. Potrafiłam je rozróżnić. Działalność Pachity musiała pochodzić od Boga. Byłam z Kim we Florencji dopiero od kilku dni gdy, jak można się było spodziewać, główny wątek naszych rozmów został podjęty na nowo i pograżyłyśmy się w dyskusji. Jednak tym razem Kim przyjęła inną taktykę. Zadawała pytania; pytania, które teraz znajdowały oddźwięk w moich własnych ukrytych wątpliwościach.

- Mówisz, że potrafisz rozróżnić dobre duchy od złych, ale jak możesz być pewna, że twoje zmysły cię nie zwodzą? To prawda, że Pachita dokonuje zadziwiających operacji, ale jak możesz być zupełnie pewna, że źródłem jej mocy jest Bóg? Mówisz, że wierzysz w Jezusa, ale w którego Jezusa? Skąd wiesz, że Jezus, którego widzisz w swoim laboratorium jest Jezusem z Pisma Świętego? Skąd wiesz, że demony faktycznie są wypędzane, może tylko udają, że odchodzą?

Sama przed sobą musiałam się przyznać, że nie znałam odpowiedzi na te wszystkie pytania. Jedynym argumentem, jaki mogłam wysunąć, było moje doświadczenie, moje uczucia i spostrzeżenia. Studiowałam przecież dzieła takich mistrzów jak Edgard Cayce czy Allan Kardec i potrafiłam udzielać inteligentnych odpowiedzi na temat reinkarnacji, karmy, kosmicznej świadomości, poziomów astralnych i zjawisk parapsychicznych. Ale przyparta do muru musiałam przyznać, że nie ma żadnego obiektywnego, sposobu sprawdzania, skąd one pochodzą. Nie dawało mi to spokoju. Skąd mogłam wiedzieć czy cuda, których doświadczyłam rzeczywiście pochodzą od Boga? Nie miałam żadnych wzorców, do których mogłabym porównać moje doświadczenia. Moja filozofia stanowiła mieszaninę różnych składników. Wszystko, co mi odpowiadało w hinduizmie, spirytyzmie i chrześcijaństwie przyjmowałam, a całą resztę bez zastanowienia odrzucałam. Ta metoda nie wydawała mi się wówczas niespójna, ponieważ te filozofie mają niemal tyle samo wersji co wyznawców, a poza tym, w relatywistycznym wszechświecie uznaje się, że każda droga do Boga jest dobra dopóki jest się szczerym?. Stworzony przeze mnie system sprawdzał się w działaniu. Zdawało mi się, że przedstawia on najprostszą, najbardziej logiczną odpowiedź na wiele z moich pytań. Dzięki jodze moje życie stało się bardziej zdyscyplinowane i lepiej zorganizowane. Godziny ćwiczeń i medytacji pomagały mi otworzyć mój umysł i mojego ducha na wyraźniejsze uświadomienie sobie mojej jedności z Bożym Światłem - na poznanie siły Chrystusa. Ta świadomość wypełniała mnie uczuciem pewności i spokoju, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyłam. Nie musiałam już być bezradnym pionkiem w rękach niskich, złych sił. Mogłam zapanować nad moim przeznaczeniem, o ile pracowałam nad tym dość długo i wytrwale. Mogłam oczyścić moją karmę i przerwać nie kończący się cykl inkarnacji. Podczas medytacji pojawiały się w moim umyśle obrazy co najmniej piętnastu różnych wcieleń, rozwijając moją wiedzę o tych, które widziałam już przed laty i dodając nowe. Pozwalały mi one lepiej zrozumieć, co powinnam poświęcić i przecierpieć celem osiągnięcia doskonałej jedności z Bogiem. Moja praca z Pachitą była wspólnym środkiem do osiągnięcia tego celu. Duchy zajmujące wysokie miejsce w hierarchii, takie jak Hermanito Cuauhtemoc, mogły posługiwać się mną i prowadzić mnie do Boga. Przyjmowałam jako błogosławieństwo to, że akurat mnie wybrały, abym była świadkiem działania ich przerażającej mocy. Ale ponad tymi wszystkimi wierzeniami górowała moja wiara w Jezusa Chrystusa. On był moim guru, moim przewodnikiem, doradcą i Panem; był Świętym Bożym, stojącym wyżej niż jakkolwiek awatar (wcielenie bóstwa); był Jedynym, który raczył wejść do mojego laboratorium i ze mną przebywać, obdarzając mnie ekstatycznymi wizjami, których nie da się opisać. On był moją ostateczną drogą do Boga, poprzez swoją naukę i przykład... ale niekoniecznie musiał on być drogą dla każdego. Człowiek nie mógł obrać sobie lepszej drogi - ani większego Mistrza - ale każdy musi szukać sam i być może jakiś inny Pan będzie lepiej pasował do czyjegoś życia. Jakże mogłoby być inaczej we wszechświecie nacechowanym tak wielką różnorodnością?

A jednak... a jednak, jeśli Kim miała rację? Jeśli manipulowano moimi zmysłami? Jeśli wszystkie te cuda i ekstatyczne wizje zostały zaplanowane przez jakiś wielki, wrogi intelekt, aby zwabić mnie ku ostatecznej zagładzie? Jeśli, jednym słowem, myliłam się? Po raz pierwszy siedziałam nieporuszona i milcząca pod łagodnym, ale uporczywym atakiem pytań. Wreszcie Kim przerwała i wzięła mnie za rękę.

- Posłuchaj, dlaczego nie wyjedziesz na parę dni do L'Abri, w Szwajcarii? Os Guinnes pracuje tam w poradni, on wie o tych sprawach bardzo dużo. Może on potrafi lepiej ci to wszystko wyjaśnić. Spojrzałam na nią ostro. L'Abri! Było to ostatnie miejsce na świecie, w którym chciałam się znaleźć. Tej wiosny w Acapulco miałam okazję spotkać Edith Schaeffer; nie było to przyjemne ani pouczające spotkanie dla żadnej z nas i nie marzyłam wcale o powtórzeniu tego doświadczenia.

Doktor Schaeffer, który założył w L'Abri razem ze swoją żoną Edith ośrodek studiów chrześcijańskich i duszpasterstwa, wykładał akurat dla Young President's Organization w hotelu Princess w Acapulco. Kim błagała całą rodzinę, żebyśmy poszli go posłuchać. O rodzinie Schaefferów słyszeliśmy już wcześniej, bo Kim mieszkała z nimi przez jakiś czas, kiedy przez rok studiowała w Szwajcarii. Ostatecznie zwyciężyła nasza ciekawość i poszliśmy. Mając najwyraźniej nadzieję, że Schaefferowie mogą powiedzieć coś, co przywróci mamie, tacie i mnie "trzeźwe myślenie" na temat Pachity i Kontroli Umysłu, Kim postarała się, żebyśmy któregoś popołudnia po wykładzie zjedli obiad z Edith. Nasza rozmowa szybko zeszała z pogody na teologię i okultyzm. O ile pamiętam, pomimo że Edith wyrażała się rozsądnie i delikatnie, o mało nie powiedziałam jej wprost, że uważam ją za podobną do mojej siostry ograniczoną, duchowo niedorozwiniętą, niezbyt bystrą i zapatrzoną w przepisy fundamentalistkę, która po prostu nie jest w stanie zrozumieć ogromu przejawów Boga na świecie. Edith pobladła nieznacznie pod ciepłym słońcem Acapulco, ale taktownie nie poruszała już tego tematu. Tym nie mniej nazwa L'Abri kojarzyła mi się teraz z niepokojącym obrazem tłumów straszących mnie piekłem i usiłujących mnie na siłę nawrócić, zanim jeszcze przekroczą ich progi.

- Nie rób takiej przejętej miny - zaśmiała się Kim. - Nie mówię ci, żebyś się tam przeprowadziła na stałe; pojedź tylko na kilka dni i porozmawiaj z Osem. Samo słuchanie nie może ci zaszkodzić. Poza tym pociąg, którym wracasz do Anglii i tak przejeżdża niedaleko L'Abri. Odetchnęłam głęboko.
- Dobrze. Pojadę. Kto wie, może rzeczywiście jest tam coś dla mnie.

* * *

Ku mojej wielkiej uldze bełkoczące hordy, które spodziewałam się spotkać po przyjeździe do L'Abri, nigdy się nie pojawiły. Co prawda pierwszego wieczoru przy obiedzie jedna z dziewcząt najwyraźniej przeraziła się moją nieprzemyślaną uwagą na temat nauczania jogi i wykrzyknęła: "Czy nie wiesz, że to pochodzi od diabła?!" Wiedziałam jednak, że jest ona w L'Abri gościem, a nie pracownikiem, i nic nie odpowiedziałam. Na szczęście byłam dość rozsądna, by nie mówić nic na temat Pachity. Pierwszych kilka dni udało mi się spędzić pod osłoną anonimowości, zanim zdecydowałam się porozmawiać z Osem i Sheilą Bird (Kim poradziła mi, żebym spędziła jakiś czas z nią, nim porozmawiam z Osem). W niedzielę rano, po nabożeństwie, poprosiłam kogoś o wskazanie mi Birdie. Okazała się być drobną kobietą po czterdziestce. Przyglądałam się jej twarzy, gdy rozmawiała z jakąś młodą dziewczyną. Spojrzenie miała surowe; a jednak miłe. Kiedy podeszłam bliżej, Birdie popatrzyła w moim kierunku i przerwała w pół zdania.

- Ależ to musi być siostra Kim! - wykrzyknęła. Skinęłam twierdząco głową.
- Kim dzwoniła kilka dni temu. Osi ja czekamy na ciebie. A może wpadniesz do mojego domku z wizytą dziś po obiedzie? Domek Birdie stał przycupnięty na końcu wijącej się wzdłuż górskiego zbocza ścieżki, która miejscami biegła tuż nad przepaścią. Dno doliny wydawało się bardzo odległe. Birdie wprowadziła mnie do maleńkiego, przytulnego pokoiku i wreszcie, po wielu delikatnych pochlebstwach, skłoniła mnie do mówienia o istotach i zjawiskach wypełniających moje życie. Opowiadałam jej o życiu w koledżu, gdy przerwała mi mówiąc: Wiesz, gdybyś rzeczywiście wierzyła w Chrystusa i wiedziała jak wykorzystać broń, którą nam zostawił, nie musiałabyś doświadczać tego wszystkiego.
- Ale ja już tego nie doświadczam! - wykrzyknęłam. - Przez ostatni rok, odkąd jestem z Pachitą, i od kiedy ćwiczę Kontrolę Umysłu i jogę, nauczyłam się nad tym panować. Jeśli pojawia się coś przerażającego, po prostu zagłębiam się bardziej w medytację, albo wzywam Jezusa lub Hermanito i zło znika. Ja już się uczę jak wykorzystywać broń daną nam przez Boga! Birdie skinęła tylko głową.
- Opowiedz mi, co to jest Kontrola Umysłu i kim jest Pachita.
- Kiedy skończyłam, Birdie nie odzywała się przez kilka minut.
- Tak, rozumiem dlaczego wierzysz w to wszystko, ale niepokoi mnie jednak to, co robi Pachita. Ale nie będziemy teraz o tym rozmawiać. Chciałabym najpierw, żebyś spędziła jutrzejszy dzień na lekturze Ewangelii Jana i jego Pierwszego Listu. Będzie to fundament, na którym oprzemy nasze kolejne spotkanie. Propozycja ta wydała mi się rozsądna. Tego samego popołudnia, po powrocie do mojego domku, usiadłam w kącie z nowym egzemplarzem Pisma Świętego i otworzyłam je na Ewangelii Jana. "Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo. Ono było na początku u Boga. Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego..."

Nagle ogarnęło mnie zmęczenie. Jeszcze kilka minut temu byłam zupełnie przytomna i chciałam czytać, ale teraz czułam się tak wyczerpana, że dosłownie oczy mi się zamykały. Słowa zlewały się w jedno. "Odpocznę trochę, mogę to przeczytać później", pomyślałam. Zwinęłam się w kłębek i zapadłam w głęboki sen. Spałam kilka godzin, dopóki ktoś przechodząc obok nie zajrzał, żeby zawołać mnie na kolację. Cały następny dzień spędziłam w swoim pokoju usiłując czytać, ale nigdy nie zdołałam przeczytać więcej niż kilka słów, gdy ogarnęło mnie obezwładniające pragnienie snu. Kiedy we wtorek rano spotkałam się znowu z Birdie, wciąż jeszcze nie doczytałam dalej niż do czwartego wersetu.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedziała tajemniczo Birdie, kiedy usłyszała o moich kłopotach.
- Słuchaj, zostań może dzisiaj u mnie i spróbuj czytać. Tu panuje inny duch. Myślę, że nie będziesz już miała kłopotów z opanowaniem senności.

Miała rację. Wcześniej czytałam już kilkakrotnie Pierwszy List Jana i Ewangelię, ale nigdy nie zrobiły one na mnie takiego wrażenia jak teraz. Jezus, którego spotykałam teraz na kartach Pisma był nie tylko żywy i realny, był także pełen przerażającej mocy i dostojeństwa. Jedno Jego słowo wystarczyło, by przywrócić zdrowie i wolność. Przypisywał sobie godność jedyne go wcielonego Bóstwa; nie mogłam nie zauważyć tego faktu, pomimo moich dotychczasowych wierzeń. Wciąż nowe wersety zapewniały mnie, że poza Nim nie ma odpuszczenia grzechów. Kiedy przeczytałam ostatni wiersz z Ewangelii Jana byłam wstrząśnięta i zmieszana. Jeśli słowa, które właściwie przeczytałam, były prawdą, to wszystko w co wierzyłam, czyli karma i zjednoczenie z Bogiem było kłamstwem. Jedno i drugie nie mogło być jednocześnie prawdą. Jezus zbyt wyraźnie mówił o swoich wyłącznych prawach. A jeśli to, w co wierzyłam na temat Jezusa było fałszywe, to może myliłam się także co do całej reszty.

Kiedy tego samego dnia, późnym popołudniem, dotarłam do domu Osa Guinnessa, w moim wnętrzu panował kompletny zamęt pomimo, że starałam się nie okazywać tego na zewnątrz. Jedna część mnie, za wszelką cenę chciała poznać prawdę, ale druga część wciąż jeszcze chciała zamknąć się w sobie i ignorować to wszystko. Os mówił mi o wielkiej przepaści między religiami Wschodu a biblijnym obrazem Boga i zbawieniem w Chrystusie. Mówił też coś o fizycznych i duchowych niebezpieczeństwach okultyzmu, opowiedział mi o tym, jak on i jego żona Jenny, byli atakowani przez siły demoniczne podczas pisania rozdziału o okultyzmie do książki pod tytułem *The Dust of Death* ("*Proch Śmierci*"). Siedziałam cicho i słuchałam. Jadąc tu chciałam mu zadać tyle pytań, ale teraz miałam pustkę w głowie. Ledwie mogłam się skupić na tym, co mówił. Moja twarz musiała zapewne odzwierciedlać moje uczucia, bo w pewnej chwili Os popatrzył na mnie dziwnie i powiedział:

— Może lepiej będzie, jak posłuchasz dwóch moich taśm, zanim dokończymy tę rozmowę.

Najpierw posłuchaj tej pod tytułem *The East, No Exit* ("*Wschód bez wyjścia*"), a potem puść sobie *Encircling Eyes* ("*Otoczające oczy*"). Znajdziesz je w bibliotece. Nie będzie mnie teraz przez dwa dni, ale wracam w czwartek wieczorem. Jeżeli będziesz miała jakieś pytania, przyjdź w piątek rano, dobrze? A na razie pamiętaj, żeby odwiedzić Birdie.

Opracowanie *The East, No Exit* było pierwszym sensownym opracowaniem z jakim się zetknęłam, na temat różnic pomiędzy filozofiami wschodu a filozofią chrześcijan. Podczas gdy ja sama zawsze uważałam, że hinduizm i chrześcijaństwo są w pełni zgodne, ponieważ Swami Vivekenanda (1863-1902) powiedział: "Przyjmujemy wszystkie religie jako prawdziwe". Os wykazywał, że te dwie religie nie są ze sobą zgodne i że przedstawiają zupełnie przeciwne sobie koncepcje Boga, rzeczywistości, moralności i osobowości. Podkreślał on fakt, że chociaż wielu wschodnich guru mówiło o zupełnej zgodności nauki "Błogosławionego Pana Jezusa Chrystusa" z hinduizmem, to ich wywody pozbawione były jakiegokolwiek spójności, ponieważ zwroty, takie jak "*Królestwo Boże jest w was*", wrywali oni z kontekstu, pomijając inne, mniej elastyczne stwierdzenia, takie jak "*Ja jestem drogą, i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze mnie*" (J 14,6). Ten punkt szczególnie zwrócił moją uwagę, bo było to jedno ze stwierdzeń Jezusa, z którymi borykałam się już od dawna i które próbowałam zbyć jakimś wyjaśnieniem. Wydawało mi się ono zbyt nietolerancyjne, zbyt ograniczone, aby można je było uznać za coś więcej niż tylko wynik złej interpretacji lub błędnego tłumaczenia Biblii. Ale Pierwszy List Jana i jego Ewangelia roły się od podobnych stwierdzeń.

"A świadectwo jest takie: że Bóg dał nam życie wieczne, a to życie jest w Jego Synu. Ten, kto ma Syna, ma życie, a kto nie ma Syna Bożego, nie ma też i życia." (1J 11-12).

"...On [Duch Święty] zaś, gdy przyjdzie, przekona świat o grzechu, o sprawiedliwości, o sądzie i o grzechu - bo nie wierzą we Mnie" (J 16:8-9).

"...To bowiem jest wola Ojca mego, aby każdy, kto widzi Syna i wierzy w Niego, miał życie wieczne. A Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym." (J 6:40).

"Powiedziałem wam, że pomrzecie w grzechach swoich. Tak, jeżeli nie uwierzycie, że Ja Jestem, pomrzecie w grzechach swoich." (J 8:24).

Było jasne, że współcześni Jezusowi ludzie rozumieli wyłączność praw, jakie sobie przypisywał: "Dlatego więc usiłowali Żydzi tym bardziej Go zabić, bo nie tylko nie zachowywał szabatu, ale Boga nazywał swoim Ojcem, czyniąc się równym Bogu" (J 5:18). Os podsumował swoje rozważania tymi słowami:

"Jest zatem zupełnie jasne, że jeżeli przebadamy uczciwie chrześcijaństwo na podstawie jego własnych przesłanek, to zawsze dojdziemy do wniosku, że wyklucza ono zupełną i ostateczną prawdziwość innych religii. Jeśli chrześcijaństwo jest prawdziwe, to hinduizm nie może być prawdziwy w takim sensie, w jakim sobie to przypisuje. Nawet jeżeli hinduizm powierzchownie wydaje się bardziej tolerancyjny niż chrześcijaństwo, to obie te religie ostatecznie wymagają dokonania jednoznacznego wyboru."

Wywód Osa wydał mi się sensowny i logiczny, jednak w duchu nie potrafiłam go przyjąć. Czułam się tak, jakby na mojej drodze stała przeszkoda nie do przebycia i nie pozwalająca mi uchwycić istoty tych rozważań. W jednej chwili ogromnie zapragnęłam wrócić do domu. To wszystko mnie przerastało niezależnie od tego jak sensownie mówił Os na swojej taśmie, albo Jan w swojej Ewangelii, po prostu nie mogłam tego wszystkiego przyjąć. Czułam się rozdarta pomiędzy dwiema nieugiętymi siłami. Nie mogąc znieść tego napięcia, padłam wreszcie na kolana i znowu wzywałam Boga, aby raz na zawsze pokazał mi, co tutaj jest prawdą. Czy Jezus to największy awatar, który wskazuje drogę; czy może największe ze stworzeń Boga Ojca; czy to Bóg w ludzkim ciele który umarł za moje grzechy, jak mówi Ewangelia Jana i Os, Birdie i Kim? Czy Pachita działa dzięki mocy Boga, czy też źródłem jej mocy był szatan?

- Boże, jeśli możesz, pokaż mi prawdę. Jeśli nie mam racji, to jestem gotowa porzucić Pachitę, jogę i całą resztę, ale jeżeli tak nie jest, to odrzucę cały ten nonsens i wrócę do Pachity. Och, Boże, pozwól mi zobaczyć prawdę! Nie miałam wtedy pojęcia jak dosłownie Bóg spełni moją prośbę.

* * *

Wieczór 15 listopada 1972 był zimny i wilgotny. Byłam sama na śliskiej ścieżce prowadzącej do domku Birdie. Wcześniej padała mżawka, ale teraz chmury rozstępowały się ukazując jedną czy dwie gwiazdki. Jeśli będę miała szczęście, to może śnieg spadnie jeszcze przed moim wyjazdem, pomyślałam z uśmiechem. Poprzedniego dnia już prawie zdecydowałam się wyjechać ze Szwajcarii pierwszym nadarającym się pociągami, ale dziś rano zmieniłam zdanie. Nie mogłam wyjechać nie uzyskawszy odpowiedzi. Może zatem zostanę tu na tyle długo, by zobaczyć śnieg. Zatrzymałam się. Wokół mnie zaczęła gromadzić się gęsta, czarna mgła, przesłaniając mi ścieżkę. W przeciagu kilku sekund nie widziałam już nic. Czarna mgła wirowała jak żywa, wypełniała ją obecność czegoś bardziej upiornego, niż jakakolwiek ze spotkanych dotąd istot. Jakieś głosy szeptały, syczały słowa bez związku i śmiały się wprost w moje prawe ucho. Oddech zimny jak lód owiał mi kark.

- Hermanito, pomóż mi! - jęknęłam. Głosy wybuchnęły przeraźliwym, odrażającym śmiechem:

- Zabijemy cię!

Wpadłam w panikę i rzuciłam się do ucieczki. Coś niby olbrzymia pięść uderzyło mnie między łopatki. Poleciałam naprzód w nieprzeniknioną ciemność i instynktownie wyciągnęłam ręce, aby złagodzić upadek. Moje palce natrafiły na gałąź niskiego krzaka. Chwyciłam ją z całej siły. Próbowałam krzyknąć "Jezu!", ale żelazna ręka zacisnęła się na moim gardle, nie pozwalając mi wykrztusić ani słowa: Tylko w myśli mogłam krzyknąć: "Jezu, Jezu, ratuj!"

- On ci nie pomoże - wrzeszczały głosy. - On ci nie pomoże!

Nagle uścisk na moim gardle zelżał i ciemność rozproszyła się. Znowu widziałam światło w domku Birdie na końcu ścieżki. Oczy Birdie rozszerzyły się nieco, gdy wpadłam do jej pokoju.

- Na Boga, co się z tobą dzieje? - wykrzyknęła.

- Nie wiem, Birdie - odparłam, wciąż jeszcze drżąc - Boję się.

Birdie zapędziła mnie do pokoju, gdzie zwykle się modliła. Wzięła mnie za ręce i zaczęła się modlić. Próbowałam skupić się na jej słowach, ale dobiegały one jakby z oddali. Kręciło mi się w głowie: Otworzyłam oczy. Zdawało mi się, że pokój dostał się w środek powolnego cyklonu, bo wszystko wokół mnie się kręciło. Znowu zaczęły dobiegać mnie głosy. Odwróciłam głowę w stronę ciemnego okna po mojej lewej stronie i zamarłam. Na zewnątrz ujrzałam niezliczone twarze demonów, zniekształcone, powykęcane w nieopisaną wściekłość.

- Co się stało? - głos Birdie był stłumiony, jakby dobiegał z bardzo daleka.

- Nie widzisz ich, Birdie? - jęknęłam. - Nie widzisz tych twarzy?

- Nie - usłyszałam jej głos. - Ale znam kogoś, kto je widzi. Szatanie, w imię Jezusa Chrystusa z Nazaretu, rozkazuję ci, odejdz! Zabraniam ci przebywać tutaj. Chroni nas krew Chrystusa. Idź, dokąd ci Chrystus rozkaże! W jednej chwili twarze znikły. Pokój przestał się obracać i wypełnił się pokojem przekraczającym ludzkie zrozumienie. Demony odeszły.

Wiedziałam, że to, co się stało, stanowiło bezpośrednią odpowiedź na moją modlitwę. Bóg dosłownie pozwolił mi zobaczyć źródło moich praktyk. Mordercza, demoniczna wściekłość ogarnęła duchy, gdy zrozumiały, że mogę przyjąć Jezusa Chrystusa z Nazaretu takim, jakim On jest, a nie takim, jakim powinien być według mnie. Różnica między tymi dwoma obrazami mogła być subtelna, ale tym nie mniej miała ogromne znaczenie. Było jeszcze wiele rzeczy, których nie rozumiałam, wiele pytań, na które nie znalazłam odpowiedzi, ale teraz nie miałam już wątpliwości co do tego, że moje poglądy na temat Jezusa były błędne. Chciałam już teraz w modlitwie powierzyć swoje życie Chrystusowi na nowo, na Jego warunkach, ale Birdie wahała się. Powiedziała, że powinnam poczekać, aż będzie z nami Os.

Ze zrozumiałych powodów miała prawo przypuszczać, że jestem opętana i że potrzebny będzie jeszcze ktoś o mocnej wierze, aby móc sprostać w walce, jaka może się rozpętać. Bez wątpienia byłam prześladowana, ale na szczęście nigdy nie zostałam opętana. "Strzeże cię mocniejszy Duch", powiedział kiedyś Hermanito. Teraz rozumiałam gorycz w jego głosie. Większą część nocy i następnego dnia spędziłam na modlitwie i lekturze Biblii. Jednak we wtorek wieczorem atak powtórzył się. Chciałam posłuchać taśmy *Encircling Eyes*, aby przygotować się na spotkanie z Osem i Birdie następnego ranka. Słuchałam dopiero od kilku minut, gdy nieprzenikniona czerń wypełniła pokój i zimny strach otoczył mnie ze wszystkich stron. Znowu coś ścisnęło mnie za gardło, gdy próbowałam wzywać Jezusa. Zmusiłam się do wstania i wyszłam do sąsiedniego pokoju. Oczy miałam rozszerzone ze strachu, ale nie mogłam odezwać się nawet jednym słowem do siedzących tam dziewcząt. Nalegały, bym zadzwoniła do Birdie, ale gdy odebrała telefon zdołałam tylko wykrztusić jej imię.

- Wróciły, prawda? - powiedziała. - Mam tutaj bardzo ciężki przypadek, próba samobójstwa - ale jakies dwadzieścia minut temu poczułam, że Bóg chce, żebym się za ciebie modliła. Oddaj się w opiekę krwi Chrystusa. Nie poddawaj się. Czy jest tam ktoś z tobą?

- Tak - powiedziałam z wysiłkiem. Ręka wciąż zaciskała mi gardło.

- Niech modlą się z tobą. Zadzwonię, jak tylko będę mogła.

Dziewczęta modliły się za mnie. Po chwili mogłam sama powierzyć się opiece Bożej. Kiedy zadzwoniła Birdie, było już po ataku. Następnego dnia, 17 listopada 1972, o dziesiątej rano Os i Birdie wspomagali mnie w modlitwie, podczas której wyrzekłam się mojego związku z okultyzmem i złożyłam mój los w ręce Jezusa Chrystusa, mojego Pana i Zbawiciela. Nigdy więcej nie będę sama w moich zmaganiach z siłami ciemności.

NOWY FUNDAMENT

- To najbardziej niedorzeczna decyzja, o jakiej slyszalem! - zawołał tata - Pracowałeś nad Kontrola Umyslu i z Pachitą od ponad roku. Byłaś w stu procentach przekonana, że to wszystko było dziełem Boga. Nawet mnie skłoniłaś, żebym w to uwierzył! A teraz chcesz to wszystko rzucić z powodu doświadczenia na jakiejś górze! Nie mogę w to uwierzyć, Jo! Ile razy powtarzałem Kim i tobie, że musicie zachować otwartość umysłu. Nie widzisz, że to wszystko do siebie pasuje? Najpierw rzuciłaś pianino i gitarę, potem rzuciłaś nasz kościół, potem teatr. A teraz to. Nie możesz, tak sobie, przeskakiwać z kwiatka na kwiatek przez całe życie!

Najwyraźniej był w desperacji. Jego postawa wydawała mi się dziwna, tym bardziej, że sam czasem odczuwał zło towarzyszące nam, gdy po spotkaniu u Pachity wracaliśmy do domu samochodem. Siła ta narzucała nam myśli o zjechaniu z krawędzi urwiska i śmierci w rozbitym samochodzie. Kiedyś nawet to coś opętało mojego kociaka, który jechał z nami. Jak zatem tata mógł teraz życzyć sobie, abym tam wróciłam. "Nie wiem, może jest w tym trochę racji", myślałam zakłopotana. Żałowałam, że nie matu Osa albo Birdie, z którymi mogłabym porozmawiać, ale oboje byli tysiące kilometrów stąd, w Szwajcarii. Nie znałam nikogo w Cuernavaca, do kogo mogłabym się zwrócić o poradę. Wszystko tak się poplątało przez tych kilka tygodni, odkąd wróciłam do domu. Wiedziałam, że nie mogę wrócić do Pachity. Wspomnienie tamtego wieczoru na górskim zboczu było aż nazbyt żywe. Ale może działałam pochopnie odrzucając Kontrolę Umysłu. W L'Abri nie powiedziano mi na ten temat nic konkretnego. Może była to tylko neutralna technika i poza słuchaniem doradców duchowych nie było w niej nic złego? Postanowiłam ich nie wzywać. Będę odczytywała przypadki chorobowe na własną rękę. Wróciłam do swojej grupy. Rezultaty były zdumiewające. Dokładność i różnorodność informacji, które potrafiłam odczytać, zadziwiły nawet mnie samą. Wyglądało to tak, jakby kanał, przez który otrzymywałam informacje, został oczyszczony i poszerzony. Prowadziło to do zadziwiających wniosków. Czy to możliwe, żeby Bóg akceptował jednak siły psychiczne, może nawet te, jakie miała Pachita? Może źle rozumiałam to, co zdarzyło się w L'Abri? Bóg niewątpliwie ujawnił mi prawdziwą tożsamość Swojego Syna. Przyjęłam tę prawdę otwartym sercem. Ale może myliłam się wyciągając z tego wniosek, że cała reszta moich praktyk pochodziła od demonów? Bóg z nie pozwoliłby mi odczytywać chorób z taką dokładnością, gdyby nie pochodziło to od Niego.

Zawsze, zanim zabierałam się do odczytywania, polecałam się Jego opiece; wykorzystywałam każdą sposobność, aby świadczyć o Jezusie. Wiedziałam, że Jego obecność jest realna i że posiada moc, bo za każdym razem, gdy wzywałam Jego imienia demony, które wciąż jeszcze mnie prześladowały, były zmuszone do ucieczki. Ataki powtarzały się często i były zajadłe, ale wiedziałam, że mój Mistrz jest ze mną i że mnie ochrania. Z pewnością nie pozwoliłby, abym ponownie została zwiedziona. Ale w ciągu następnych miesięcy radosna wolność uwielbiania Boga i obcowania z Nim poznana w L'Abri zaczęła znikać. W desperacji poszukiwałam odpowiedzi w Piśmie Świętym. Czy odczytywanie chorób, jakiego dokonywałam u Pachity było dziełem Boga, czy też ponownie dawałam się zwieść pięknej stronie zła?

Jeden po drugim, rzucały mi się w oczy wersety z Księga Powtórzonego Prawa 18, Księgi Kapłańskiej 20, Księgi Wyjścia 2:24. Ich słowa były jasne, a jednak wprawiały mnie w jeszcze większe zakłopotanie. Musiałam znaleźć kogoś, kto posiadał dar rozróżniania duchów, aby raz na zawsze rozwiązać tę sprawę. Przyjaciółka, z którą wciąż jeszcze ćwiczyłam hatha jogę; zaproponowała, żebym spotkała się ze znajomym, katolickim księdzem. On z kolei skierował mnie do ojca Navarro w Katolickim Centrum w Mexico City. Pojechałam zobaczyć się z nim 15 marca 1973.

* * *

- Twoje pytanie na temat Pachity jest trudne, powiedział ojciec Navarro, a jego przyjemna twarz zmarszczyła się w zatroskaniu. Nie znam na nie odpowiedzi, nie znam też nikogo, kto z całą pewnością posiada zdolność rozróżniania tych spraw. Ale może Bóg sam udzieli ci wiedzy, o jaką prosisz. Powiedz mi, czy wkładał już ktoś na ciebie ręce, aby Duch Boży objawił się w twoim życiu?

- Nie, ojciec - odpowiedziałam - Ale chciałabym, żeby ksiądz to zrobił, jeżeli zechce. Pragnę wszystkiego, co może zbliżyć mnie do Boga.

Padre skinął głową, stanął przede mną i położył obie ręce na mojej głowie. Modlił się o opiekę i miłosierdzie Boże nade mną. Prosił Ducha Świętego, by uwolnił mnie i strzegł, aby Jego owoc objawił się w moim życiu.

- Wznies do Niego swoje ręce. Być może obdarzy cię specjalnym darem: jeśli usłyszysz w myślach jakieś słowa albo sylaby, nie bój się. Wypowiedz je na chwałę Bożą.

Podczas modlitwy poczułam, że ogarnia mnie fala ciepła. Moje myśli rzeczywiście napełniły się dziwnymi, pięknymi słowami, których nigdy przedtem nie słyszałam. Z wahaniem, nieśmiało, wymówiłam kilka słów i zamilkłam, niezdolna powiedzieć nic więcej. Jednak w kilka dni później, kiedy modliłam się wielbiąc Boga, poczułam, że coś pęka we mnie i nieznanne mi słowa i hymny jak wezbrane wody poczęły wylewać się ze mnie w radosnym wychwalaniu Boga. Wkrótce potem, podczas modlitwy, przyszło mi na myśl, aby badać duchy, tak jak jest napisano w Pierwszym Liście Jana 4:1. Zeszłam do laboratorium i wezwałam moich doradców.

- Nie jesteś Jezusem z Pisma Świętego, prawda? - zaatakowała postać Jezusa, stojącego przede mną w cieniu. Nic nie odpowiedział. Oczy miał zamknięte. Mamacita stała tuż obok niego.

- Rozkazuję wam, w Imieniu Jezusa Chrystusa z Nazaretu, odpowiedzcie: czy wierzycie, że Jezus Chrystus jest Bogiem jedynym, który przyjął ludzkie ciało?

Nagły błysk, jak od wybuchu bomby, zawałił otaczające mnie ściany ze złota i ametystu, a gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że moi doradcy zniknęli. Przeczytałam jeszcze raz słowa z Księgi Powtórzonego Prawa i Księgi Kapłańskiej. Moje wszystkie wątpliwości zostały ostatecznie rozwiązane. Wiedziałam, że działanie jako medium było obrzydliwością przed Panem. Zrozumiałam też, że metody Kontroli Umysłu i działanie Pachity nie miały swojego źródła w Bogu.

Jakiś czas później zdecydowałam się zastosować ten sam sprawdzian do otrzymanego przeze mnie daru Ducha Świętego. Widziałam i słyszałam wiele razy, jak Pachita mówiła coś w nieznanym języku znajdując się pod wpływem Hermanito, było więc jasne, że zjawiska tego nie można przypisywać wyłącznie działaniu Ducha Świętego. Raz już zostałam zwiedziona. Rozumiałam, że mój "nowy język" może być tylko kolejnym zjawiskiem psychicznym. Przypominałam sobie język wymyślony wiele lat temu podczas ćwiczeń aktorskich. Jeśli tak było, to i ten język sam ulegnie zapomnieniu, jak to się stało z moimi teatralnymi gryzmołami. Ale, jeśli mój dar języków naprawdę pochodził od Boga, to powinien przejść próbę zwycięsko. W modlitwie i uwielbieniu stanęłam przed Panem i powiedziałam mu, że nie chcę żadnego daru, żadnej zdolności, która nie pochodziłaby od Niego. Poprosiłam Go, aby odebrał mi wszelkie zdolności psychiczne, włączając w to również dar języków, jeżeli zalicza się on do tej kategorii. A potem powiedziałam głośno:

— W imię Jezusa, powiedz mi, czy mój dar języków jest poddany panowaniu Jezusa z Nazaretu? Wszystko we mnie krzychało "TAK!" w wybuchu niepohamowanej radości. Gdyby tak się nie stało, odrzuciłabym mój dar języków jako jeszcze jedno subtelne kłamstwo przeciwnika. Ojciec Navarro pokiwał głową z aprobatą, kiedy powiedziałam mu o tym wszystkim.

- Postąpiłaś słusznie. Każdy dar od Boga wytrzyma ten sprawdzian. Czy przyniosłaś swoje okultystyczne książki i przedmioty, tak jak cię prosiłem? Skinęłam głową.
- To dobrze! Upewnij się, że żadna z tych rzeczy nie pozostała w twoim domu, bo mogłaby się stać punktem oparcia dla demonów. Dopilnuję, aby to wszystko zostało spalone.

* * *

Czerwiec 1973 przyniósł jeszcze jeden zwrot w moim życiu. Organizacja "Campus Crusade for Christ" przygotowała sześciotygodniowy kurs wiedzy biblijnej. Pomimo mojej niechęci do ich sposobu prezentowania dobrej nowiny, który uważałam za zbyt mechaniczny, postanowiłam spróbować. Kurs ten nie tylko wyposażył mnie w podstawy, dzięki którym mogłam rozpocząć systematyczne, samodzielne studiowanie Biblii, ale także zapewnił mi przynajmniej na kilka tygodni towarzystwo, którego tak bardzo potrzebowałam. Szczególnie dużo dał mi jeden z nauczycieli, Warren Willis i jego żona, Diane. Ich nauczanie, miłość i troska o mnie stanowiły dla mnie ogromną pomoc i zachętę. Także Swede i Judy Andersonowie, którzy w tamtych latach przewodniczyli sekcji Campus Crusade w Ameryce Łacińskiej, bardzo mi wtedy pomogli w pokonywaniu trudności pierwszych dni. Ich dzieci, Valerie, Tiffany i Matthew, były moimi "przytulankami" i wniosły w moje życie wiele śmiechu i przyjaźni. Te sześć tygodni spędzone z Campus Crusade przyniosły dwa ważne rezultaty. Po pierwsze, zaczęłam pojmować, że przyjmując Pismo Święte jako objawienie prawdy absolutnej nie popełniłam jakiejś wybitnej odmiany intelektualnego samobójstwa. Drugim ważnym wydarzeniem było spotkanie doktora Waltera Marona. Doktor Martin wykladał podczas kursu na temat kultów i okultyzmu. On i trójka jego dzieci, Brian, Dany i Jill, odważnie ryzykowali życiem i zdrowiem zgadzając się na to, abym obwoziła ich po okolicy swoim starym czarnym Fordem, jako "przewodnik wycieczki". To właśnie Walter namówił mnie, żebym przejrzała przynębiającą stertę moich pamiętników, dzienników i notatek celem nagrania na taśmę materiałów do niniejszej książki. Podjęłam się tego w czasie, gdy byłam niemal umierająca z powodu trzeciego powrotu zapalenia wątroby. W rezultacie taśmy nie były całkowicie kompletne i logiczne, ale sporządzony przez Waltera transkrypt nagrań okazał się od tamtej pory bezcenny. Walter stał się także pośrednio odpowiedzialny za dalszy obrót spraw w moim życiu. Na jednym ze swoich wykładów w Oklahomie w październiku 1973 spotkał on Kim. Kim wróciła właśnie z Europy i nie była pewna, co chce robić dalej. Walter zaproponował jej zatrzymanie się w Light and Power House, który był wówczas niewielką szkołą biblijną założoną przez Hala Lindseya i grupę ludzi z seminarium w Dallas, znajdującą się nieopodal terenu UCLA w Westwood, w Kalifornii. Kim pojechała tam i po jakimś czasie napisała do mnie sugerując, że ja także powinnam tam przyjechać. Uplłynął jeszcze rok, zanim to zrobiłam, ponieważ nie skończyłam jeszcze siac spustoszenia w przedsiębiorstwie handlu nieruchomościami mojego ojca. Gdy wreszcie cała nasza czwórka (mama, tata, przedsiębiorstwo i ja) mieliśmy już tego dość, złożyłam podanie do Light and Power House, gdzie zostałam przyjęta na semestr jesienny 1974.

Pomimo, że udało mi się pozostać raczej niezauważoną w intelektualnej dziedzinie biblijnej scholastyki, nauczyłam się wiele. Im bardziej zagłębiałam się w studia nad historią zbawienia, nad krytyką i analizą tekstu, nad teologią systematyczną i prorocत्वami, tym większy ogarniał mnie podziw dla mocnych, obiektywnych podstaw wiary, jakie w nich znajdowałam. Bóg wykorzystał ten okres mojego życia, aby udzielić mi lekcji również w innym zakresie, co sprawiło, że dwa lata spędzone na studiach w Light and Power House były dla mnie pod pewnymi względami ciężkim doświadczeniem. Moja przeszłość, staranne izolowanie się od grupy i atmosfera dziwactwa, która zdawała się ciągnąć za mną jak delikatny zapach siarki, utrudniały mi znacznie czynienie postępów w stosunkowo obcej mi sztuce zawierania przyjaźni. Również moje nieskrępowane uczucie i troska, jaką darzyłam wszystkie bezdomne kociaki uczyniły mnie w oczach niektórych ludzi, osobą "psychicznie nie zrównoważoną", a w pewnych kręgach, nieco odległych od oficjalnej filozofii szkoły uważano nawet, że jestem "opętana przez kociego demona". Rzeczywiście na przestrzeni lat nauczyłam się kochać koty i ufać im o wiele bardziej niż ludziom. Koty z pewnością potrafią być wyniosłe i oschłe, jeśli opiekujący się nimi ludzie tego właśnie od nich oczekują. Dla mnie jednak były one wymagającymi i cudownie puszystymi przyjaciółmi. Rozumiałam je i szanowałam na swój sposób. One ze swej strony odwdzięczały mi się gorącym uczuciem, jakie zwykle przypisuje się psom. Jeśli miałam wybierać, wołałam ich towarzystwo niż towarzystwo większości znanych mi ludzi. Chcę przez to wszystko powiedzieć, że w kręgach chrześcijańskich, w jakich się wtedy obracałam, nie uważano mnie za odpowiednią kandydatkę do randkowania. Ostatecznie znalazłam oparcie w przyjacielskich związkach z kilkoma opiekuńczymi braćmi z Light and Power House, ale przez cztery i pół roku, jakie upłynęły od znajomości z Beckiem, byłam na randce tylko pięć albo sześć razy. Czasem czułam się osamotniona, ale nauczyłam się dawać sobie radę z samotnością.

- Wszystko w rękach Boga - odpowiedziałam, gdy zapytano mnie o moje odczucia na ten temat podczas jednego ze spotkań. - Przyznaję, że cieszyłoby mnie, gdybym częściej chodziła na randki, ale kilka tygodni temu zdecydowałam; że jeśli Bóg zechce, żebym do końca życia pozostała niezamężna, to zgodzę się i na to. Brak obowiązków rodzinnych ma swoje dobre strony, bo właściwie, to ja lubię być sama. W każdym razie Bóg wie, w jaki sposób najlepiej potrafię mu służyć. Mówiłam wtedy to, co rzeczywiście myślałam. Dokładnie dwa tygodnie po wygłoszeniu tego oświadczenia, w poniedziałek, 19 kwietnia 1976, spotkałam Randolpha.

* * *

Można powiedzieć, że Randolph stał się chrześcijaninem na skutek raka. Był po dwóch operacjach czerniaka umiejscowionego na ramieniu. Nowotwór okazał się złośliwy i zaatakował układ limfatyczny, w wyniku czego Randolphowi nie dawano szans na przeżycie. Był to dla niego ciężki cios, ponieważ jego matka również zmarła na raka, gdy miał siedemnaście lat. Po kilku dniach zmagania się ze sobą, postanowił, że nie pozwoli się pokonać. Był zdecydowany spędzić resztę życia tak wesoło, jak tylko będzie mógł. Wybrał się więc w rejs żaglówką na Karaiby, uprawiał surfing na Malibu i całymi dniami na Hawajskich plażach robił ze swoimi dziećmi naszyjniki z muszelek. Pogodził się ze śmiercią. Jednak w ciągu następnego roku jego perspektywy uległy zmianie, ponieważ okazało się, że istnieją duże szanse na przeżycie. Była to dobra wiadomość, ale jego reakcja na tę niespodziewaną odmianę zdziwiła nawet jego samego. Powinien być uradowany, gdyż kochał swoje życie, które pomimo rozbitego małżeństwa, było pełne przygód. Podróżował po całym świecie, opatentował kilka wynalazków, miał swoją własną firmę zajmującą się pracami pod wodą, jako mechanik okrętowy brał udział w przedsięwzięciu Glomar Explorer. Teraz jednak wobec perspektywy powrotu do dawnego życia czuł się jak zawiedziony. Nagle wydało mu się ono zupełnie pozbawione treści. Wtedy właśnie Randolph zdecydował się poważnie zbadać Boga, aby zobaczyć, czy ma On mu cokolwiek do powiedzenia o Sobie. Po miesiącach spędzonych na lekturze i analizie Biblii oraz modlitwie, a także po serii zadziwiających zdarzeń, które można wyjaśnić tylko działaniem Boga. Randolph przyjął Jezusa jako swego Zbawiciela w sierpniu 1975 roku. W osiem miesięcy później spotkaliśmy się w Light and Power House na specjalnym cyklu wykładów na temat filozofii stanu duchownego prowadzonym przez Hala Lindseya. Randolph został zaproszony do wysłuchania tych wykładów przez nauczyciela, który nawet nie wiedział, dlaczego Bóg go tam posyła, za wyjątkiem przeczucia, że Bóg coś przygotował dla niego właśnie tego dnia i w tym miejscu. Na dobre, czy na złe rzeczywiście przygotował: mnie. Nasz ślub odbył się w cudownym blasku świateł w sześć miesięcy i trzy dni później. Przez pierwsze trzy i pół roku mieszkaliśmy w domu na kółkach, o długości siedmiu metrów i trzydziestu centymetrów od jednego końca do drugiego. Nazwaliśmy go "Arką" i wkrótce nauczyliśmy się poruszać po naszym maleńkim mieszkaniu z wystudiowaną, gracją baletnic. Nasze zainteresowania i charaktery były tak podobne, że ograniczenie przestrzeni pomagało nam tylko jeszcze bardziej zacieśnić nasze więzy i pogłębić miłość. Wszystko mieliśmy wspólne książki, dziwaczne poczucie humoru, sentyment do muzyki poważnej i kociaków, myśli... co do których nie zawsze zgadzaliśmy się do końca i o które prowadziliśmy żywiołowe sprzeczki. Przejelśmy nowe zainteresowania od siebie nawzajem; ja nauczyłam się pływać na desce u wybrzeży Malibu (podobno stanowi nie lada widok w kombinezonie i w płetwach), a Randolph zaczął razem ze mną zwiedzać muzea. Nauczył się także gotowania, prasowania, odkurzania i zmywania naczyń. Ale przede wszystkim łączyła nas miłość do Boga. Na przestrzeni pierwszych kilku miesięcy stawało się to dla nas coraz bardziej oczywiste, że Randolph ma powołanie, aby zostać duchownym. Złożył podanie i został przyjęty na jesienny semestr 1977 do Christian Associates Seminary, bo tak właśnie brzmiała teraz nazwa dawnego Light and Power House. Lata studiów, które potem nastąpiły są dla nas cenniejsze, niż cokolwiek innego, co moglibyśmy w tym czasie uczynić. Wiedzieliśmy, że lata spędzone w seminarium nie tylko przygotowują Randolpha do pracy duchownego, ale także wzmocnią naszą więź z Bogiem i ze sobą nawzajem. Przez pierwszy rok mogłam razem z nim uczęszczać na zajęcia i, dzięki słuchaniu wykładów i przepisywaniu prac Randolpha na maszynie, pogłębiałam wiedzę zdobytą w Light and Power House.

* * *

Dwa lata później przenieśliśmy się z Arki do małego mieszkanka. Kiedy teraz siedzę w ciepłym słońcu Kalifornii i przyglądam się kwiatom w moim ogródku, to lata strachu i współpracy z Pachitą wydają mi się bardzo odległe. Duchowe ataki i depresje, które zdarzały mi się bardzo często nawet podczas pobytu w Light and Power House zaczęły ustępować, gdy Randolph i ja zaczęliśmy praktykować codzienną modlitwę. Bóg nauczył mnie tak wiele o Swojej łasce, bezwarunkowej miłości i akceptacji za pośrednictwem mężczyzny, którego zesłał mi jako schronienie!

Wzrastanie to bardzo powolny proces. Zdarzały się jednak i takie okresy, a było ich wiele, kiedy zupełnie się zatrzymywałam i pozwalałam nieprzyjacielowi trzepać mi skórę, zanim zdałam sobie sprawę co się dzieje. Przemiana polegająca na odnowieniu wnętrza człowieka wymaga czasu. Co do Pachity, to już nigdy nie miałam jej zobaczyć. Zmarła w kwietniu 1979.

AKSAMITNE SZPONY

Pisząc tę książkę, nie traktowałam jej jako wprawki w chorobliwym narcyzmie. Opisanie mojej historii i opisywanie dni spędzonych w ciemności, było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie robiłam w życiu. Ci z was, których życie związane było z okultyzmem rozumieją mnie najlepiej. Nie napisałam tej historii też po to, by wysławiać czyny mocy ciemności. Jeżeli ktoś po przeczytaniu tej książki doszedłby do wniosku, że taki był mój ukryty cel, to wątpię, czy czytał uważnie to, co zostało w niej napisane. Postanowiłam podzielić się moją historią, z powodu czasów, w jakich przyszło mi żyć. Zdaję sobie sprawę, że słowa, którymi chciałabym się teraz do Was zwrócić, mogą niektórym z Was wydać się szorstkie lub nawet (niech Bóg broni!) moralizatorskie. Z góry szczerze proszę was o wybaczenie. Jednak przed Bogiem nie mogę usprawiedliwiać się z tego, co mam zamiar napisać w następnych rozdziałach, bo z całego serca wierzę, że jest to prawdą. Ci z was którzy są - albo byli - związani z okultyzmem i szukają wyjścia z ciemności, a także ci, których przyjaciele lub ukochane osoby znajdują się wciąż pod wpływem zła, zrozumieją prawdziwe znaczenie mojej książki. W ostatnich dwóch rozdziałach zamierzam podzielić się z wami podstawowymi zasadami, do których doszłam podczas długoletnich studiów i osobistych doświadczeń w dziedzinie rozpoznawania fałszywych proroków i uzdrowicieli, oraz dróg uwolnienia się spod wpływu okultyzmu. Modłę się, aby te rozdziały stanowiły dla was pomoc i zachętę. Ale wielu z was nigdy nie miało osobistego związku z okultyzmem, a może nie byliście tego świadomi, i teraz zastanawiacie się co też ta książka ma wspólnego z wami.

Ma, i to bardzo wiele! Okultyzm nie jest tylko przemijającą modą; jest z nami na stałe i będzie panoszył się, jak rozrastające się i zagłuszające wszystko pnącza, aż do obiecanego powrotu Jezusa Chrystusa. Myślę, że większość z nas doznałaby niemiłego wstrząsu, gdyby można było sporządzić uczciwą listę tych wszystkich spośród naszych przyjaciół, współpracowników, a nawet członków tej samej wspólnoty religijnej, którzy są lub byli związani z okultyzmem, lub też mieli w tej dziedzinie jakieś doświadczenia. Z powodu przeważającej w wielu środowiskach postawy niedowierzania i ośmieszania podobnych spraw, wielu z nich pozostaje w ukryciu i zachowuje swoje doświadczenia dla siebie. W rzeczywistości moja historia, a przynajmniej jej większa część, potwierdza doświadczenia innych adeptów okultyzmu. Jeżeli uważacie, że nigdy dotąd nie mieliście do czynienia z okultyzmem, być może po prostu nie nazywaliście rzeczy po imieniu. Praktyki okultystyczne uchodzą często za zupełnie nieszkodliwe, uświęcone tradycją rozrywki. Straciłam już rachubę tych wszystkich osób, które nawet znajdując się pod bardzo silnym wpływem demonów, mówiły mi: "Ależ ja nigdy nie zajmowałam się okultyzmem! Bawiłem się tylko kilka razy tabliczką owija, astrologią, wrózeniem z fusów, różdżką i wahadełkiem, urządzaniem seansów, tarotem, wrózeniem z ręki albo grą Dungeons and Dragons", (*Gra RPG / pl. D&D - Lochy i Smoki*) itd. Taką gadaninę można przyrównać do stwierdzenia w rodzaju: "Nie, nie jestem jeszcze w ciąży, bo to dopiero trzeci miesiąc." Widoczne oznaki mogą nie ujawnić się w twoim życiu akurat teraz, ale na pewno pojawią się wcześniej czy później. Nie można pozwolić sobie na ignorowanie tego, co nas otacza. Żyjemy w czasach ostatecznych i potrójne ostrzeżenie naszego Pana sprawdza się z całą zaciekłością: powstaje wielu fałszywych mesjaszy i wielu fałszywych proroków; trzoda miotana jest każdym powiewem nauki, a diabeł i demony czynią cuda, jakich nie widziano od czasu, gdy Jezus chodził po ziemi (Mt 24:4;11;24; Mk 13:4-6, 21-22). Jeśli do tej pory nie byliście tego świadomi, to wkrótce będziecie.

Uśpiona czujność

Świat przygotowywany jest bardzo troskliwie na przybycie tego, który w Piśmie Świętym określony jest jako "człowiek grzechu ... syn zatracenia" (2Tes 2:3), pojawieniu się którego... towarzyszyć będzie działanie szatana, *z całą mocą, wśród znaków i fałszywych cudów*" (2Tes 2:9). Ja wierzę, że ten człowiek jest już na świecie i że szatan pracuje zapamiętale, aby przygotować ludzkość na przyjęcie szatańskich znaków i cudów, których on dokona (Ap 13:13) jako cudów uczynionych ręką Samego Boga. Widzieliście to na własne oczy. Osoby prowadzące różnego rodzaju programy telewizyjne jedna przez drugą wysilają się, aby każdy odkryty człowiek o nadprzyrodzonych zdolnościach pojawił się w ich studiu. W programie "Bionic Woman" widziałem "pozaziemskiego mistrza" wykonującego operację psychiczną. Telewidzowie śmieją się już od ponad dziesięciu lat ze sprytnych sztuczek Samantha, "dobrej" czarownicy z serialu "Bewitched", i z Jeanie, która jest zaczarowanym dżinem w serialu "I Dream of Jeanie".

Filmy wyświetlane po powrocie dzieci ze szkoły, a także opowieści dla dzieci pełne są historiami o duchach i goblinach, a także o małych chłopcach i dziewczynkach, którzy uczą się, jak zostać czarownicami i czarodziejkami. Począwszy od historyjki "Casper the Ghost" (Kacper i przyjaciele), a skończywszy na filmach rysunkowych przedstawiających cuda ery kosmosu, dzieci uczą się akceptować zjawiska paranormalne jako wspólną część codziennego życia, którą należy przyjąć z radością i bez obaw. Tabliczki ouija można kupić w prawie każdym sklepie z zabawkami, często sprzedawana jest tam także gra "Dungeons and Dragons" (*D&D - Lochy i Smoki*), która oparta jest całkowicie na okultyzmie, cokolwiek sądzą na ten temat jej zwolennicy. W Stanach Zjednoczonych ukazują się bardzo niewiele gazet, które nie publikowałyby codziennego horoskopu. Tygodniki takie jak "Enquirer" czy "Star", spośród pół tuzina innych na terenie całych Stanów, wypełnione są po brzegi nowinkami z dziedziny parapsychologii i różnymi przepowiedniami. Zwiastun nowego serialu telewizyjnego pod tytułem "Phoenix" przedstawia nam pozaziemskiego szamana i "mesjasza", od którego może zależeć zbawienie świata. Jest on obdarzony godnymi podziwu zdolnościami parapsychicznymi, spośród których wymienić należy lewitację, psychokinezę i niezwykle wyostrzoną percepcję nadmysłową. Zespoły muzyczne otwarcie przyznające się do związków z satanizmem (przyjrzyjcie się ich nazwom i okładkom płyt) pojawiają się na rynku całymi tuzinami. Niektóre nawet oficjalnie głoszą chwałę szatana poprzez odwróconą symbolikę swoich płyt. Wschodni guru wprawili rynek w transcendentálną euforię, a ich nauczanie o reinkarnacji i karmie, skrojone na miarę masowej konsumpcji zachodu, zostało bezkrytycznie przyjęte przez miliony osób. Kursów jogi też mamy pod dostatkiem, a poważne instytucje naukowe, że nie wspomnę o szkołach średnich, oferują kursy dotyczące Medytacji Transcendentalnej i czarów. Zaliczanie tych przedmiotów traktowane jest na równi z kursami obowiązkowymi. Wiem o pewnej sieci szkół (a jest ich z pewnością więcej), która włączyła lektury na temat sił paranormalnych do programu nauczania w czwartej, piątej i szóstej klasie, uzasadniając to faktem, że uczniowie wykazują duże zainteresowanie tą tematyką. Tytuły tych "bardzo interesujących książek" (5) to: *Czarownice; Duchy i upiory; Sekrety wielkich magów; Wróżenie z ręki; Czary, zaklęcia i czarodziejskie napoje*. Tytuły filmów polecanych w tej serii wykładów są równie ciekawe. *"Magia i czary"* to film, który "odkrywa świat czarów i nadprzyrodzonych mocy... czarownic i baśni ludowych". Inny film *Znaki Astrologiczne*: "to przystępny opis znaków zodiaku", który w bardzo wciągający sposób pokazuje, w jaki sposób astrologowie starają się wywróżyć przyszłość człowieka dzięki badaniu gwiazd. Trzeci film z tej serii: *"Przepowiadanie przyszłości"* przedstawia metody przepowiadania przyszłości przy pomocy kryształowej kuli, tarota i wróżenia z ręki". Ostatni film to *"Siła umysłu...* fascynujące spojrzenie na tych, którzy przypisują sobie nadmysłowe lub inne niezwykle zdolności psychiczne". Wykształceni w swoim zawodzie nauczyciele mogą w dobrej wierze uczyć swoich podopiecznych czytania przy pomocy tej "interesującej serii łatwych do czytania książek", nie zdając sobie sprawy z tego, że mogą w ten sposób unieszczęśliwić tysiące dzieci. W rzeczywistości to właśnie dzieci są głównym celem, w który wymierzona jest ta szatańska kampania anty ewangelizacyjna. Młode umysły można o wiele łatwiej kształtować i programować tak, by nauczyły się akceptować rzeczywistość świata paranormalnego. *Calendar*, sekcja gazety *Los Angeles Times* opublikowała fascynującą recenzję filmu Stevena Spielberga pt. *E.T.* napisaną przez Michaela Londona. Na specjalny pokaz tego filmu zaproszono ośmiu tzw. weteranów doświadczeń z UFO. Niektóre z komentarzy, które zostały przez nich wypowiedziane podczas późniejszej dyskusji, a także wiele telefonów odebranych przez autora recenzji świadczą o tym, że istnieje przynajmniej częściowa świadomość co do prawdziwego celu podobnych filmów i tego, co one przedstawiają.

- To nie jest romantyczna opowieść, to prawdziwy film - powiedział jeden z rozmówców - Jest on częścią procesu warunkującego, przygotowującego nas na przybycie nieznanych istot.

- Ten film jest środkiem przekazu - powiedział inny - Jest w nim dużo nonsensu, ale jest tam także zawarte przesłanie, aby nie bać się zjawisk paranormalnych. A od kogo można łatwiej zacząć niż od dzieci?

Listę podobnych przykładów można by ciągnąć w nieskończoność. Wszystkie kraje Europy, Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej mogłyby stworzyć własne, bardzo szerokie zestawienia. Od połowy lat sześćdziesiątych jesteśmy dosłownie zalewani przez informacje na temat zjawisk okultystycznych. Czy zdajesz sobie sprawę, że co najmniej sześćdziesiąt pięć milionów ludzi zajmuje się dzisiaj jakąś formą okultyzmu, począwszy od tarota i tabliczek ouija po astrologię, spirytualizm i satanizm? (W świetle ich doświadczeń, moja historia nie jest aż tak "beznadziejnie dziwaczna", jak niektórzy z was mogliby sądzić.) Ponad trzydzieści milionów ludzi praktykuje różnego rodzaju kultury. Podczas długich lat prowadzenia wykładów na ten temat, zauważyłam z przerażeniem, że wielu chrześcijan, a nawet pastorów, zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tych diabelskich knowań, ani tego, jak wiele zniszczeń powodują w kościele praktyki okultystyczne.

Niewierni pasterze

C. S. Lewis znany jest, między innymi, z dotkliwie trafnego, choć dość już zużytego, cytatu z Listów starego diabła do młodego: *"Jeśli chodzi o demony, to istnieją dwa równie wielkie, a równocześnie przeciwstawne sobie błędy, w które może popaść nasze pokolenie. Jednym z nich jest zupełna niewiara w ich istnienie. Natomiast drugim, przesadne a zarazem niezdrowe interesowanie się nimi. Oni sami są jednakowo zadowoleni z obu tych błędów i z tą samą radością witają zarówno materialistę, jak i magika."* (6)

Wśród dzisiejszych chrześcijan spotkać można jaskrawe przypadki obu tych skrajności. Wiele osób, w tym także pastorów, na podstawie nauk Bultmanna, a także innych liberalnych teologów, w ogóle nie wierzy w istnienie osobowego szatana i mocy demonicznych. Nienaukowe i niewyszukane opisy szatana i demonów, znajdujące się w Piśmie Świętym, wprawiają ich tylko w zakłopotanie. Ale takie samo zakłopotanie wywołują u nich cuda dokonywane przez Jezusa, Jego Boskość, Jego narodzenie z dziewicy, Jego śmierć na krzyżu za nasze odkupienie, Jego zmartwychwstanie w ciele, a także dogmat o Trójcy. Opisane w Biblii spotkanie Jezusa, twarzą w twarz, z szatanem przyjmowane jest jedynie jako dowód na to, że Jezus był inteligentnym, ale naiwnym dzieckiem swoich czasów, które skłaniało się do ówczesnych wierzeń albo, że Jezus miał halucynacje z powodu niedoboru witamin, w wyniku czterdziestodniowego postu, jak sugeruje biskup James Pike. (7) Na amerykańskich kazalnicych obdarło Słowo Boże z jego realności i mocy, prezentując wiernym tylko pożałowania godną i niedołączną karykaturę Chrystusa. Apostoł Paweł pisze, że kaznodzieje głoszący taki obraz Chrystusa są ludźmi *"którzy przybierają tylko pozór pobożności, podczas gdy ich życie jest zaprzeczeniem jej mocy; również tych się wystrzegaj."* (2Tm 3:5 BW). A my, jesteśmy później zdumieni, gdy nasze dzieci pakują się w narkotyki, pogańskie religie lub okultyzm, by zapełnić czymś pustkę w powstałą w ich życiu. Wśród tych błędzących "pasterzy" rozwinęła się jeszcze jedna niezdrowa tendencja, którą również zapoczątkował biskup Pike. Wykluczając koncepcję osobowego szatana i jego armii demonów, automatycznie otwierają się oni na wszelkie odkrycia parapsychologii, a wszystkie ponad naturalne działania Boga, opisane w Piśmie Świętym, zaczynają przypisywać osobom o zdolnościach mediumicznych i paranormalnych, z których największym, według nich, był Jezus.

Ludzka mądrość

Ci ludzie zdyskredytowali zakaz zasięgania rady medium, zawarty w Starym Testamencie, w księdze Kapłańskiej 19:31, twierdząc, że były to słowa *"Żydowskich przywódców religijnych, zmuszonych do obrony swoich pozycji, jako jedyńskich osób zdolnych interpretować Słowo Boże, którzy byli skłonni do potępiania wszelkiej konkurencji, w tym medium i jasnowidzów przepowiadających przyszłość. Dla tego pod tym względem, zakazy te nie są dla nas wielce użyteczne, ponieważ nasz obraz świata jest zupełnie inny."* (8)

Innymi słowy, według biskupa Pike, określenie "Słowo Boże" używane odnośnie Biblii jest niczym innym, jak tylko metaforą. Biblia nie jest dla niego objawieniem prawdy absolutnej i żywego Boga, ale pisaniną wystraszonych i niepewnych swojej przyszłości ludzi, starających się za wszelką cenę utrzymać własną pozycję i stanowisko. Odrzucając świadectwo Pisma Świętego, biskup Pike pozbawił się punktu oparcia, a za podstawę jego światopoglądu mogły mu w tej sytuacji służyć jedynie własne doświadczenia. Cyt: *"Moje doświadczenia z parapsychologią, a także głębokie studia, do jakich mnie one pobudziły, jeszcze bardziej otwały mi oczy i pozwoliły przyjąć za możliwy obraz człowieka i wszechświata, który zdaje się być bardziej trafny od tradycyjnego obrazu chrześcijaństwa i blisko z nim spokrewnionego obrazu promowanego przez świecki Zachód."* (9)

Ostateczne objawienie otrzymane przez biskupa dzięki tym doświadczeniom, zostało odkryte podczas jednego z ostatnich seansów, jakie biskup odbył z medium Eną Twigg. Duch, który podawał się za Jima, syna biskupa, rozmawiał z nim za pośrednictwem medium. Na pytanie biskupa Pike "Czy słyszałeś tam coś o Jezusie Chrystusie, albo w ogóle o jakimś Jezusie?", odpowiedział on tak:

"Och, to trudne, boję się, że mogę cię urazić. Mogę cię urazić... ale mówią o nim, że to mistyk, jasnowidz, tak, jasnowidz. Ale, och, tato, nie mówią o nim jako o zbawicielu. On był przykładem, rozumiesz?... Rozumiesz, chcę ci powiedzieć, chciałbym ci powiedzieć, że Jezus tryumfuje, wiesz? Ale to nie jest tak. Jeszcze tego nie rozumiem. Kiedyś, może kiedyś... Nie chcesz, żebym mówił ci o tym, czego nie wiem... nie zbawiciel, to jest ważne, na przykład... nie wierz nigdy, że Bóg może być uosobiony. On jest centralną siłą i wszyscy macie w nim udział, dając swoją część. Zgadzasz się ze mną, tato?" (10)

On się zgadza. Ta wiara zawiodła go ostatecznie ku zatraceniu. Słowa z pierwszego listu Jana 2:22-23 nie mają dla niego żadnego znaczenia, tak jak nie mają one znaczenia dla wielu innych ludzi, którzy "wyszli z nas, lecz nie byli z nas" (1J 2:19). "Któż zaś jest kłamcą, jeśli nie ten, kto zaprzecza, że Jezus jest Mesjaszem? Ten właśnie jest Antychrystem, który nie uznaje Ojca i Syna. Każdy, kto nie uznaje Syna, nie ma też i Ojca... To wszystko napisałem wam o tych, którzy wprowadzają was w błąd" (1J 2:22-23; 26). "Podając się za mądrych, stali się głupimi." (Rz 1:22)

Syndrom strusia

Inni, chociaż wierzą w Jezusa i osobowego szatana, przypisują niemal wszystkie przejawy okultyzmu nie naukowym odkryciom parapsychologii, czy też duchom zmarłych działających przez medium, a już na pewno nie interwencji demonów, a tylko sprytnym sztuczkom lub też odchyleniom psychicznym. Nie ulega wątpliwości, że dzisiaj na każde sto zjawisk ponad naturalnych większość jest fałszywych. Z pewnością istnieje wielu fałszywych wróżbitów, astrologów, okultystów czy też ludzi przypisujących sobie moce nadprzyrodzone. Wywoływane przez nich zjawiska często mogą być skopiowane przez ludzi znających się na iluzji. Zawodowi magicy twierdzą, że skoro potrafią odtworzyć wiele zjawisk okultystycznych dzięki iluzjonistycznym sztuczkom, a resztę da się wytłumaczyć dzięki psychologii, to znaczy że wszystkie podobne zjawiska też muszą być oszustwem. Wyciąga się zatem wniosek, że skoro te rzeczy nie istnieją, to wierni nie powinni się ich obawiać. W pewnym sensie, ludzie przyjmujący taką postawę, mają rację, że nie musimy w najmniejszym stopniu obawiać się oszustwa. Niestety, udowodnienie oszustwa kilku szarlatanom nie dowodzi, że tak postępują wszyscy, bo istnienie jakiegokolwiek fałszerstwa dowodzi również o istnieniu oryginału. Bez tego, fałszerstwo nie znaczy nic.

Demoniczne cuda

Twierdzenie, że demony nie czynią cudów i że medium nie może odbierać zjawisk natury nadprzyrodzonej, sieje ogromne spustoszenie w świadectwach zarówno Starego jak i Nowego Testamentu. Od Księgi Rodzaju aż po Apokalipsę, Bóg mówi o potężnej istocie, którą nazywa szatanem, i nie przestaje ostrzegać nas przed nim i jego przerażającą, złowrogą zdolnością zwodzenia. Czytamy o tym, jak czarownicy faraona kopiuje znaki, które Bóg czynił przez Mojżesza. Oni czynili to samo dzięki swej wiedzy tajemnej, zamieniając swoje laski w węże, wody Nilu w krew czy okrywając kraj plagą żab. Jak na "zwykłe oszustwo" są to imponujące sztuczki. Ale nadszedł moment, kiedy nie potrafili podrobić Bożej plagi komarów (pomimo, że ja zawsze uważałam, że pochodzą one z dna piekieł i są własnością szatana). Porażka zmusiła ich do przyznania, że jest to "palec Boży" (Wj 8:15). W trzynastym rozdziale Księgi Powtórzonego Prawa otrzymujemy następujące ostrzeżenie: "Jeśli powstanie u ciebie prorok lub wyjawiacz snów i zapowie ci znak lub cud, i *spełni się ten znak albo cud*, jak ci zapowiedział, a potem powie "Chodźmy do bogów obcych, których nie znałeś i służmy im, to nie usłuchasz słów tego proroka, albo wyjawiacza snów. Gdyż to Pan, Bóg twój doświadcza cię..." (Pwt 13:2-4). Użyte tutaj hebrajskie słowa: *aoth*, oznaczające "znaki" i *moteth*, oznaczające "cuda", przetłumaczone przez uczonych w Piśmie przy tworzeniu Septuaginty około roku 250 przed Chrystusem, są tymi samymi słowami, których używa Jezus w Ewangelii Mateusza 24, 24: "*Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i działać będą wielkie znaki i cuda...*" Słowo *aoth* tłumaczy się na grecki jako *semeion* (znaki), a słowo *moteth* to greckie *teras* (cuda). Dokładnie tych samych słów użyto w Ewangelii przy opisach cudów, jakich dokonywał Jezus. Hal Lindsey prześledził występowanie tych słów i stwierdził, że czy to w odniesieniu do cudów szatańskich, czy też do cudów Bożych, słowa te nie mogą w żaden sposób oznaczać takich znaków i cudów, jakich dokonują dzisiaj zawodowi magicy. Również apokalipsa opisuje "*czyniące cuda duchy demonów*" (Ap 16:14 BW), mówi także, że kiedy pojawi się antychryst, to uczyni "*wielkie cuda, tak że i ogień z nieba spuszcza na ziemię na oczach ludzi.*" (Ap 13:13). "*Jego pojawieniu się towarzyszyć będzie działanie szatana, z wielką mocą, wśród znaków i fałszywych cudów.*" (2Tes 2:19). Użyte tu słowo "*fałszywe*" nie znaczy "*oszukańcze*" w znaczeniu, że cud nie miał miejsca, ponieważ te szatańskie cuda naprawdę mają miejsce. Dlatego nie pytajmy się czy zdarzył się jakiś prawdziwy cud?, ale zawsze wnikajmy jakie jest jego źródło?

W Piśmie Świętym Bóg dokonuje wiele cudów i przedziwnych znaków, aby poświadczyć słowa proroków i apostołów, dając w ten sposób świadectwo o prawdziwości ewangelii o Jezusie Chrystusie (Hebr 2:4). To właśnie dzięki cudom i znakom potwierdzona zostaje tożsamość Jezusa, jednak nie są one nigdy celem samym w sobie. Wszystkie one zostały zaplanowane po to, by pogłębić nasze zrozumienie i wiarę w żywego Boga i Jego Syna. W odpowiedzi na swoją działalność Jezus oczekiwał właśnie wiary po to, "*abyście wiedzieli, iż Syn Człowieczy ma na ziemi władzę odpuszczenia grzechów*". To dlatego powiedział do paralityka: "*Mówię ci: wstań, weź swoje łożo i idź do domu!*" (Mk 2:10-11).

Ustal definicje

Jesteśmy w dzisiejszych czasach świadkami wielu znaków i cudów. Mogą one być czynione nawet w imię Jezusa i na chwałę Ojca na niebie. Ale którego Jezusa i czyjego Ojca? Użycie Jego imienia nie gwarantuje wcale, że pochodzi ono z właściwego źródła, bo wiele osób tak je przedefiniowało, że ten, którego oni nazywają Jezusem, często w ogóle nie przypomina biblijnego Jezusa". **(11)** W ten sposób skłaniają oni nierozważnych do oddawania czci "bogom obcym, których nie znałeś ani ty ani twoi ojcowie". "Jeśli bowiem przychodzi ktoś i głosi wam innego Jezusa, jakiego wam nie głosiliśmy, lub bierzecie innego ducha, którego nie otrzymaliście, albo inne Ewangelię, nie te, którą przyjęliście, to znoście to spokojnie." (2Kor 11:4).

Dziwnym zbiegiem okoliczności, apostoł Paweł powiedział to do kościoła, któremu nie brakowało żadnego daru łaski (1Kor 1:7), i gorliwego w swoim oddaniu dla Pana (1Kor 1:4-8). Ale sama obfitość darów i gorliwość, mówi Paweł, nie wyklucza możliwości zejścia na manowce, jeśli ulegną zwodniczym oszustwom na skutek braku rozwagi i oprą się na doświadczeniu sprzecznym z Biblią.

Diabeł mnie do tego zmusił

Co do demonów, to drugim błędem o którym mówił C.S. Lewis jest "przesadne, a zarazem niezdrowe zainteresowanie się nimi." C.S. Lewis miał tu na myśli przede wszystkim tych, którzy otwarcie lekceważąc Słowo Boże (Pwt 18:9-14; Kpł 20:6 i 27; 19:31; Iz 8:19), zajmują się okultyzmem, to znaczy magicznymi lub tajemnymi praktykami. Praktyki okultystyczne zmierzają zwykle do osiągnięcia dwóch głównych celów: *nadprzyrodzonej wiedzy*, dotyczącej zazwyczaj przyszłości, oraz *władzy* (Rdz 3:5), którą okultysta stara się zdobyć poprzez kontrolowanie mocy i istot nadprzyrodzonych. Demony potrafią być bardzo usłużne i z wielką radością wdrożą każdego tę okultystyczną wiedzę i dadzą władzę, ponieważ wiedzą, że szukając, a nawet żądając tych rzeczy poza obszarem nakreślonym przez Słowo Boże (Pwt 29:29), człowiek łamie bezpośrednio pierwsze i drugie przykazanie... "Nie będziesz miał cudzych bogów obok Mnie! Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią! Nie będziesz oddawał im pokłonu i nie będziesz im służył." (Wj 20:3-6). Sięganie po władzę lub wiedzę ze źródeł innych niż Bóg jest we wszystkich możliwych znaczeniach stawianiem obcych Bogów obok Niego, co zawsze prowadzi do pozbawienia się Bożej ochrony: "...ponieważ Ja Pan, Bóg Twój, jestem Bogiem zazdrosnym, który karze występki ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia względem tych, którzy Mnie nienawidzą..." (Wj 20:5-6)

Wśród ludzi praktykujących okultyzm, jest rzeczą powszechnie wiadomą, że ich ponad naturalne zdolności mogą być dziedziczone do trzeciego i czwartego pokolenia. Ich udział w tym, co Bóg wielokrotnie nazwał obrzydliwością (Pwt 18:9-14) daje szatanowi, księciu tej ziemi, pełne prawo do zniewolenia ich i ich potomstwa do trzeciego i czwartego pokolenia. Ludzie często są nieświadomi praktyk swoich przodków aż do chwili, gdy stają się, lub usiłują stać się wierzącymi. Wówczas, w dosłownym tego słowa znaczeniu, piekło wali im się na głowę, chociaż oni sami, być może, nigdy nie uczestniczyli w żadnych praktykach okultystycznych. Pomimo szczerych chęci, mogą oni napotkać trudności w uwierzeniu w Jezusa, albo staną się obiektem demonicznych ataków, tak jak mnie to spotkało. Z tego właśnie powodu wielu chrześcijan popada dzisiaj w błąd przesadnego, a zarazem niezdrowego zainteresowania demonami. Nie tylko w nie wierzą, ale automatycznie każdą ludzką wadę, niepowodzenie lub zmaganie przypisują bezpośredniemu działaniu demona. Bracia ci niewątpliwie miłują Boga, a od ich zapału i poświęcenia mogło by się uczyć wielu duchownych, jednakże ich zapał pozostaje w niezgodzie ze zdrową egzegezą Pisma Świętego, gdyż twierdzenie, że każdy człowiek jest opętany i że potrzebuje wyzwolenia, jest ewidentnym zaprzeczeniem nauczania zawartego w Biblii.

Ćwicz się w wierze

Zmagamy się zarówno z diabłem, jak i ze światem i ciałem. Paweł mówi nam, że uczynki ciała (Gal 5:19-21, oraz prawie dwa tuziny innych urywków) są rzeczą wiadomą, i raz po raz zarówno on, jak i każdy z autorów Nowego Testamentu, napomina nas, abyśmy *postępowali zgodnie ze światłością* (Ef 5:8-15), *opierali się pokusie* (1Kor 10:13) i *zaprzestali grzechu* (Hebr 12, 4), a nie przesadnie obwiniali za wszystko demony. Pismo Święte skupia naszą uwagę na ćwiczeniu się w wierze, a nie na odprawianiu egzorcyzmów. Opierając swoją teologię na niepewnym gruncie doświadczeń ponad naturalnych, ludzie nieświadomie otwarli w kościołach drogę prowadzącą wprost do zniszczenia. Nieopisane szkody wyrządziły już wielokrotne próby egzorcyzmowania epileptyków i psychicznie chorych w celu wypędzania z nich nieistniejących demonów.

Objawy tych chorób mogą często wydawać się szatańskie, ale ludzie powołani do posługi duszpasterskiej wśród chorych są odpowiedzialni przed Bogiem za rozważenie, co Biblia mówi w tej sprawie i za odróżnienie zwykłej choroby psychicznej od opętania. Dr. Kurt E. Koch napisał na ten temat dwie ważne prace: "Occult Bondage and Deliverance" (Więzy okultyzmu i wyzwolenie) oraz "Christian Counseling and Occultism" (Poradnictwo chrześcijańskie i okultyzm), które wydało wydawnictwo Kregel Publications. Dr. Kurt E. Koch przez ponad 40 lat swojej pracy duszpasterskiej, zetknął się z ponad 20 tysiącami ludzi związanych okultyzmem. Nie spotkałam się jak dotąd z lepszymi publikacjami na ten temat opartymi na Biblii. Uważam, że nikt nie powinien udzielać porad osobom pod wpływem okultyzmu, zanim nie zapozna się z tymi pracami i dogłębnie ich nie przeanalizuje. *(Publikacje nie są dostępne w języku polskim)*

PRAWDZIWE I FAŁSZYWE

Jestem charyzmatyczką. Wierzę, że dary Ducha Świętego, a wśród nich prorocstwo, czynienie cudów, uzdrowienie i dar języków istnieją i działają wśród wiernych. Widziałam wielu ludzi uzdrowionych przez Boga dzięki modlitwie. Jednym z nich był mój mąż, który wyzdrowiał z dnia na dzień, gdy Bóg dosłownie scalił na nowo dwa bolesne, rozsypujące się kręgi jego kręgosłupa. Słyszałam prawdziwe słowa mądrości, języków i prorocstwa: *Oryginał istnieje*. I właśnie dlatego szatan trzyma się, aby przy pomocy osób o zdolnościach paranormalnych fałszować dzieła Boże i należy się tego spodziewać. W świetle poprzedniego rozdziału, nie jest dziwne, że w większości wspólnot chrześcijańskich, wliczając w to także kościół katolicki, można dzisiaj spotkać ludzi praktykujących okultyzm. Np. powszechnie wiadomo, że Jeane Dixon (medium, zajmująca się astrologią i parapsychologią) uczestniczy codziennie w porannej mszy świętej. Większość cudów powszechnych w kościele katolickim, takich jak płaczące madonny, krwawiące drzewa i figury, wizje, stygmaty itp. są w swej naturze wyraźnie okultystyczne. Edgar Cayce (Amerykański okultysta, mistyk i jasnowidz) był popularnym nauczycielem Biblii. Nawet z kościoła episkopalnego w Meksyku, który pamiętam z dzieciństwa, pamiętam panią Ruth Montgomery posiadającą zdolności parapsychologiczne i cieszącą się tam dobrą sławą. W bibliotece naszego kościoła dumnie wystawiono na pokaz wszystkie jej książki o Jean Dixon i zjawiskach paranormalnych. Przykościelne jarmarki, popularne w całych Stanach Zjednoczonych, znane są z cyganek wróżących z ręki jako sposobu zasilania kościelnych funduszy. Wielu z nas nigdy nie spodziewałoby się odkrycia szatańskiego fałszerstwa w samym sercu wspólnoty, na przykład spotkaniach charyzmatycznych. Jednak to, co zdarzało mi się widzieć podczas takich spotkań, zmroziło mi krew w żyłach. Apostoł Paweł poleca nam "zabiegać się o dary duchowe". Powinniśmy oczekiwać, że Duch Boży przechodzący wśród Swojego ludu dokona na naszych oczach cudownych rzeczy. Ale z powodu naszej chęci ujrzenia działającej mocy Boga, wielu z nas straciło rozeznanie i zaczęło przyjmować każdą jedną ekstatyczną wizję i każde zjawisko nadprzyrodzone jako działanie od Boga.

Jak mocny mamy fundament

W bardzo subtelny sposób pozwoliliśmy, by podstawa naszego życia przesunęła się; nie spoczywa już ona na pewnym i trwałym fundamencie Słowa Bożego, ale znajduje oparcie w naszym doświadczeniu, które stało się jedynym wzorcem wiary. W drugim liście do Tymoteusza apostoł Paweł mówi swojemu młodemu uczniowi, że *"Wszelkie Pismo przez Boga jest natchnione i pożyteczne do nauczania, do przekonywania, do poprawiania, do kształcenia w sprawiedliwości, aby człowiek Boży był doskonały, przysposobiony do każdego dobrego czynu"* (2Tm 3:16-17). W kontekście tego wzywa też Tymoteusza: *"bądź w pogotowiu w każdy czas, dogodny czy niedogodny, karć, grom, napominaj z wszelką cierpliwością i pouczaniem. Albowiem przyjdzie czas, że zdrowej nauki nie ścierpią, ale według swoich upodobań nzebierają sobie nauczycieli, żądni tego, co ucho łechce, i odwrócą ucho od prawdy, a zwrócą się ku baśniom"* (2Tm 4:2-4 BW). Znaczy to, że odwrócą się od obiektywnego przekazu prawdy Bożego Słowa i zamiast tego będą opierać swoją wiarę na własnym doświadczeniu i naginać Pismo Święte, aby potwierdzić swoje przekonania.

Podczas pierwszego tygodnia spędzonego w koledżu, kiedy odkryto przede mną Ewangelię, przyjąłem ją z otwartymi ramionami. Wyznałem przed Bogiem swoje grzechy i poprosiłem Jezusa, aby wszedł w moje życie jako mój Pan i Zbawiciel. Na podstawie Słowa Bożego wiem, że narodziłam się na nowo i w duchu otrzymałam potwierdzenie mojego zbawienia. Oddałam Mu się całym sercem. Nie rozumiałam jednak, jak ważne jest wnikliwe i systematyczne studiowanie Jego Słowa. Nie rozumiałam właściwie w co, ani dlaczego wierzę (12). I w ten sposób z czasem zaczęłam budować swoją więź z Bogiem opierając się tylko na własnym doświadczeniu. Moje doświadczenie mówiło mi, że cuda i uzdrowienia, których byłam świadkiem u Pachity pochodziły od Boga, a moje uczucia utwierdzały mnie w przekonaniu, jej działalność była uświęcona, bo używała ona imienia Jezusa, na ołtarzu stał krucyfiks i "wypędzano" tam demony.

Moja własna logika, udowodniła mi wkrótce, że poglądy przedstawione w Biblii są ograniczone, a samo Pismo, jako dzieło ludzkie, musi zawierać wiele błędów i źle przetłumaczonych słów. Ostatecznie uwierzyłam, że Jezus stanowi jedną z dróg do Boga i że nie jest on jedyną Drogą, Prawdą i Życiem. Powoli, krok po kroku odpadałam od wiary, lekkomyślnie "skłaniając się ku duchom zwodniczym i ku naukom demonów" (1Tm 4:1). Z powodu nieznamości Słowa Bożego, zostałam zwiedziona. Ostatecznie Bóg mnie wyzwolił, ponieważ byłam Jego dzieckiem i chciałam ponad wszystko poznać Prawdę. Ale z powodu braku dojrzałości w Panu, a także z powodu rozmyślnego odrzucenia Jego Słowa, przez wiele lat błąkałam się w ciemności, pomimo moich szczerych intencji.

Szczerze błądzący

Wielu członków kościoła wierzy, że szczerze intencje działają jak rodzaj magicznej osłony przeciw wszelkim oszustwom i pułapkom szatana. Ale w całej Biblii nie ma ani jednego wersetu, który zapewniałby nas, że szczerze intencje gwarantuje odporność na szatańskie oszustwa. Jest wręcz przeciwnie, wszystkie listy Nowego Testamentu są pełne ostrzeżeń, kierowanych do nas, byśmy byli trzeźwi i czujni (1P 5:8; Ef 6:18), abyśmy nie dawali się zwodzić próżnymi słowami (Ef 5:6), ani zniewolić przez jakąś filozofię, będącą czczym oszustwem, opartym na ludzkiej tradycji albo żywiołach świata, a nie na Chrystusie" (Kol 2:8). Gdyby nie było możliwości zbłądzenia, to w jakim celu napisano by ostrzeżenie, aby nie każdemu duchowi wierzyć: *"badajcie duchy, czy są z Boga"* (1J 4:1). Chrystus ostrzega nas też, że *"powstaną fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i czynić będą wielkie znaki i cuda, by w błąd wprowadzić, jeśli to możliwe, także wybranych"* (Mt 24:24). Niektórzy twierdzą, że użyte tu wyrażenie *"jeśli to możliwe"* dowodzi, że w rzeczywistości nie jest to możliwe. Jeżeli w grece słowo *"jeśli"* rozpoczyna zdanie warunkowe pierwszego stopnia, to mówi ono: *"że z pewnością jest to możliwe..."*, choćby tylko przez jakiś czas. Apostoł Paweł ponagla nas, abyśmy przyodziali pełną zbroję Bożą *"abyście mogli się ostać wobec podstępnych zakusów diabła"* (Ef 6:11), ponieważ lęka się on o kościół: ... *"ażeby umysły wasze nie zostały odwiedzone od prostoty i czystości wobec Chrystusa w taki sposób, jak w swojej chytrności wąż uwiódł Ewę"* (2Kor 11:3). Ja także obawiam się o chrześcijan, bo widziałam innego ducha wchodzącego pomiędzy nas z powodu naszej niewiedzy i braku rozeznania co do darów Bożych i zamysłów szatana. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Szatan stara się czynić pośród nas fałszywe cuda dlatego, że biblijny kościół żyje i świadczy o mocy Boga. Piszę te słowa nie po to, by atakować, ale po to by ostrzegać. Uczmy się rozpoznawać zamysły diabła, abyśmy mogli skutecznie dawać świadectwo o świętości i mocy Boga w dniach ostatnich. Dzisiaj bardzo wiele wspólnot chrześcijańskich znajduje się w niebezpieczeństwie zatrucia okultyzmem i nie można mówić o pięknej stronie zła, nie wspominając o braku rozeznania w kościołach charyzmatycznych.

Okultystyczne związki

Za przykład mogą tu posłużyć wierni, którzy nigdy nie wyrzekli się swoich dawnych związków z okultyzmem. Demonstrują oni swoje zdolności i techniki paranormalne w atmosferze ekstatycznego entuzjazmu, jaki często charakteryzuje wiele spotkań charyzmatycznych i są one niezauważane. Niektórzy z nich mają nadal związek z takimi praktykami jak astrologia czy wróżenie z ręki, i najczęściej nie zdają sobie nawet sprawy ze związanych z tym zagrożeń duchowych. Jednak wcześniej czy później, zaczną oni na swojej drodze doświadczać pustki. Ogarnie ich dziwna niechęć do czytania i rozważania Jego Słowa. Pograżą się w mrocznej i nieprzerwanej depresji, po czym zaczną wątpić w Boga i we własne zbawienie. W szczególnie ciężkich przypadkach, mogą oni być nawet fizycznie atakowani przez demony, jak to miało miejsce w moim przypadku. Stany duchowe, powiązane z nękaniami demonicznymi może mieć bardzo wiele różnych przyczyn i nie każde nękanie czy zwątpienie jest bezpośrednim działaniem szatana. Jednak te stany zawsze towarzyszą ludziom, którzy w przeszłości związani byli z okultyzmem. Zdolności paranormalne mogą, ale nie muszą, zniknąć automatycznie, gdy taka osoba zostaje chrześcijaninem. Moje nie zniknęły i po Powrocie z L'Abri, wykazywałam nawet większe zdolności niż kiedykolwiek przedtem. Zauważyłam, że na spotkaniach chrześcijańskich mogłyby one zostać przyjęte jako dar mądrości lub dar prorocstwa. A przecież było to nic innego, jak jasnowidztwo. Moje zdolności paranormalne zaczęły zanikać po kilku miesiącach i dopiero wtedy, gdy w mojej walce z szatanem przesłam do ofensywy, sporządzając pełną listę wszystkich moich grzechów, wyznając je otwarcie przed Panem i wyrzekając się ich ponownie jako mocy szatana. Musiałam też całkowicie zaprzestać ich praktykowania. U wielu osób, którym później służyłam radą, proces ten przebiegał bardzo podobnie. Uważam, że ludzie związani z okultyzmem, nie powinni sięgać po żadne spektakularne dary Ducha Świętego, ale powinni poczekać aż dojrzeją w łasce i poznaniu Pana. Apostoł Paweł mówi nam, że to dzięki dojrzywaniu do *"miary wielkości według Pełni Chrystusa..."* nie będziemy już jak dzieci *"którymi miotają fale i porusza każdy powiew nauki"* (Ef4:13-14). *"Stały pokarm jest właściwy dla dorosłych, którzy przez ćwiczenie mają władzę umysłu udoskonalone do rozróżniania dobra i zła"* (He 5:14).

Dar języków

Wiele osób kierowanych nadgorliwością, próbuje wmówić innym wiernym, że posiadają oni jakieś dary. Być może dary te mogłyby być wielkim błogosławieństwem dla osoby, która doszukuje się ich u innych, ale postępując w ten sposób w ogóle nie zwraca ona uwagi na to, że mogą być oni niedojrzali w Panu. W ten sposób zupełnie lekceważy ona zamierzenia Boga w tym względzie. Widziałam wierzących, którzy z tego powodu sięgali nawet po techniki okultystycznych, aby tylko osiągnąć zamierzony cel. Na przykład często zdarza się wmawianie ludziom daru języków: *"Wstań, przemów lub wydawaj jakieś dźwięki i nie przestawaj, aż Bóg uczyni z nich język."* Taką technikę stosował Joseph Smith, założyciel kościoła mormonów. **(13)** Słyszałam także, jak mówiono: *"Mów sto razy pod rząd: 'Wysławiajcie Pana!' albo 'Ojciec nasz, który jesteś w niebie', tak szybko jak tylko potrafisz. Kiedy słowa zaczną się plątać, mów dalej! Wysławiaj Pana, bo otrzymałeś dar"*.

Takie praktyki są obrazą Ducha Świętego i zakrawają wręcz na bluźnierstwo. Częściej niż się nam wydaje, demonstrowanie darów jest wynikiem wprawienia się w stan ekstatycznej autohipnozy, która jest bardzo zbliżona do niektórych form klinicznej neurozy i zaburzeń mózgowych. Osiągnięty w ten sposób stan jest zjawiskiem czysto psychicznym. Presja otoczenia ma tutaj ogromne znaczenie, ponieważ chęć akceptacji w grupie jest jedną z podstawowych cech człowieka. Wiele osób desperacko pragnie mówić językami, bo "wszyscy mówią". Oni nie chcą pozostać z tyłu i nie chcą być postrzegani jako "nieuduchowieni". Wiele osób przyznaje się, że często kłamały na temat swoich duchowych doświadczeń na potrzebę chwili. Jednak Duch Święty nie potraktował łagodnie kłamstwa Ananiasza i Safiry (Dz 5:1-11). Dlaczego sądzimy, że dzisiaj nas traktuje je pobłażliwie, jeżeli napisano, że *"Pycha chodzi przed upadkiem, a wyniosłość ducha przed ruiną"* (Prz Sal 16:18 BW).

Opisane powyżej metody, stosowane u osób związanych wcześniej z okultyzmem lub posiadających zdolności paranormalne, mogą uczynić je jeszcze bardziej podatnymi na zaciekle prześladowania i oszustwa demonów **(14)**. Jednym ze sposobów przekazywania mocy tajemnych przez czarownika lub spirytystę innej osobie jest nałożenie na nią rąk. Osoby posiadające demoniczny dar języków, uzdrawiania czy prorocstwa również potrafią przekazywać swoje dary innym przez nałożenie rąk i zazwyczaj tak robią **(15)**. Dr. Kurt E. Koch w swojej książce *Strife of Tongues (Walka języków)* przytacza interesującą obserwację, że osoby o zdolnościach medialnych zaczynają szybciej mówić językami niż pozostali. **(16)** Fakt, że ludzie, którzy nagle odkrywają w sobie nadprzyrodzone zdolności uznają je automatycznie za Boży dar, jest prawdziwą tragedią. Przecież ich zdolności wcale nie muszą pochodzić od Ducha Świętego. Na przykład językami mówią hinduiści, także mnisi buddyjscy i sintoistyczni będąc w transie też mówią językami. **(17)** Językami mówią też wyznawcy wielu kultów, zaprzeczający Boskości Jezusa. Mówi nimi także wielu opętanych tubylców z Transwalu w Południowej Afryce **(18)**. Niektórzy chorzy psychicznie mówią językami. Osobiście widziałam ludzi opętanych przez demony, a także media spirytystyczne mówiące obcymi językami. Zatem na jakiej podstawie można mówić, że dar języków jest tylko i wyłącznie przejawem mocy i obecności Ducha Świętego w życiu wiernych? Jest to najłatwiejszy do podrobienia dar i najbardziej zdradliwy, bo szatan również go używa, aby odwrócić naszą uwagę od uwielbienia wszechmogącego, jedyne Pana, i skoncentrować ją na, często próżnym i pysznym, zajmowaniu się własnymi darami zamiast podążaniu za Bogiem. W Bożej owczarni znaleźć można niezliczone tłumy wiernych, którzy żyją wiarą, składają wiarygodne świadectwo o Mesjaszu i przynoszą owoce Ducha, a którzy nigdy nie mówili językami. Wielu z tych wiernych jest ponad miarę obciążanych przez ludzi wymagających od nich wykazywania się darem, którego Bóg być może wcale nie zamierzał im udzielić. Czy będą to języki ludzi czy aniołów, czy zjawisko to nazwiemy znakiem języków czy darem języków, nie da się ominąć faktu, że Duch Święty udziela ich tak, jak zechce, zgodnie ze Swoją wolą **(19)**. (1Kor 12:28-30; 14:15-19; Hebr 2:4; Rz 12:3-8). W tym właśnie kontekście apostoł Paweł udziela nam następującego upomnienia: *"Bracia, nie bądźcie dziećmi w swoim myśleniu, lecz bądźcie jak niemowlęta, gdy chodzi o rzeczy złe."* (1Kor 14:20).

Źródło prawdziwej mocy

Nie możemy budować naszego życia duchowego na ekstatycznych uniesieniach czy widzeniach anielskich, nie możemy też wskazywać na cuda ani ekstatyczne przeżycia jako na dowód wydawania "dobrego owocu", jak to niektórzy czynią. Te rzeczy, same w sobie, nic nie znaczą, gdyż napisano: *"Niech was nikt nie potępia, kto ma upodobanie.... (...), a opierając się na swoich widzeniach, pyszni się bezpodstawnie cielesnym usposobieniem swoim, a nie trzyma się głowy, z której całe ciało, odżywiane i spojone stawami i ścięgnami, rośnie wzrostem Bożym" (...)* *"Mają one pozór mądrości (...)* *ale nie mają żadnej wartości, gdy chodzi o opanowanie zmysłów"* (Kol 2:18-19 i 23 BW).

Innymi słowy, to nie objawienia, wizje i doświadczenia duchowe są źródłem Bożej mocy w naszym życiu. Wizje, nawet ukazujące Jezusa, mogą być bardzo łatwo sfałszowane przez szatana, tak jak dar języków, uzdrawiania czy prorocstwa. Żadne doświadczenie, nawet najbardziej ekstatyczne, nie powoduje dojrzałości. Moc w naszym życiu jest darem łaski pochodzącej od Ducha Świętego, gdy postępujemy zgodnie z Jego wolą i jesteśmy mu posłuszni. Moc do życia w wierze, do moc opierania się pokusom, moc służenia i dawania świadectwa dostępna jest dla wszystkich chrześcijan, bez względu, czy mówią oni językami czy nie. Owocem Ducha Świętego jest dojrzałość duchowa (Gal 5:22-23), jest ona jednym z prawdziwych znaków obecności Ducha Świętego w życiu chrześcijanina. Dojrzałość można osiągnąć tylko dzięki trwaniu w Nim, jak trwa lub drzewo zasadzone nad wodą. *"Ojciec mój przez to dozna chwały, że owoc obfity przyniesiecie i staniecie się moimi uczniami"* (J 15:8).

Wiem, że osoby wychowane w tradycyjnym nauczaniu zielonoświątkowym mogą nie zgodzić się z tym, co tutaj napisałam. Ale co wtedy, jeżeli mam rację? Czy odważysz się stanąć przed Bogiem w obronie błędnego myślenia, które szerzyłeś? Wątpię, że odważysz się kiedykolwiek uczynić dogmat z daru języków, jeżeli wielu wierzących nie mówiących językami również dowodzi mocy Ducha Świętego w swoim życiu. W liście do Rzymian, w którym apostoł Paweł tłumaczył wszystkie doktryny i prawdy niezbędne w podążaniu za Bogiem, nie ma nigdzie wzmianki o tym, by dar języków albo jakikolwiek inny dar lub znak miał być kluczem do objawienia się mocy w naszym życiu. Podkreślona jest tam jedynie wiara w Boże obietnice. Czy apostoł Paweł pominąłby w tak ważnej rozprawie prawdę, która miałaby być kluczem do otrzymania mocy niezbędnej do życia i służenia Bogu?

Nie tylko szczerze intencje

Nie znaczy to, że Bóg daje nadgorliwym wiernym węża lub skorpiona zamiast ryby, ale raczej to, że to my umyślnym ignorowaniem Słowa Bożego zasmuciliśmy Ducha Świętego i daliśmy się zwieść. Pan obiecał *"to, co dobre, tym, którzy Go proszą"* (Mt 11:7), ale apostoł Jan dodaje, że możemy pokładać w Nim tę ufność, *"jeśli prosimy zgodnie z jego wolą (1J 5:14) i jeżeli zachowujemy Jego przykazania i czynimy to, co się jemu podoba"* (1J 3:22). Czy Jego wolą jest, abyśmy byli nierozważni? Czy może podobać Mu się to, że zachowujemy się często jak nieposłuszne dzieci, które starają się wydrzeć z Jego ręki dary i pozwalają aby zapanował pośród nich chaos i zamieszanie? Czy podoba Mu się to, że ci, których On nie uzdolnił do mówienia językami, muszą czuć się gorsi, niedoskonalani i niegodni? Czy Jego wolą może być to, by gorliwi chrześcijanie, nie obdarowani darem języków, byli z tego powodu skazani na życie w duchowym zamęciu? Myślę, że nie. W naszej nadgorliwości uczyniliśmy z daru Bożego kłodę, rzucaną pod nogi wierzących. Apostoł Paweł polecił nam, aby *"starać się o znacznie większe dary"* (1Kor 12:31; 14:1). Nie znaczy to, że Bóg ma zamiar obdarzyć jednym lub wszystkimi darami wszystkich chrześcijanin. (1Kor 12:28-30; He 2:4). Jak zauważył Hal Lindsey, sformułowane w liczbie mnogiej polecenie, by starać się o dary, skierowane jest do całego kościoła, a nie do pojedynczych osób. Prośmy zatem z czystym sercem, wiedząc, że Jego potężna miłość udziela darów i znaków *zgodnie z Jego wolą (1Kor 12:11)*. Nie musimy domagać się darów lub błagać o nie bardziej, tak jak nie musimy domagać się więcej miłosierdzia, bo dary leżą w naturze Boga. Jego przykazanie nie mówi nam, abyśmy mówili językami, ale *"abyśmy wierzyli w imię Jego Syna, Jezusa Chrystusa, i miłowali się wzajemnie"* (1J 3:23). My mamy szukać Jego samego, a Bóg sam zadba o to aby, w wyniku tego, objawiły się w nas Jego dary.

Ducha nie gaście

Starajmy się o dary, ale bądźmy rozważni. Pouczono nas, że mamy badać duchy. Słowa z Pierwszego Listu Jana 4:1 nie są niezobowiązującą zachętą, do której możemy się stosować, jeżeli mamy na to ochotę: *"Umilowani, nie każdemu duchowi dowierzajcie, ale badajcie duchy, czy są z Boga, gdyż wielu fałszywych proroków pojawiło się na tym świecie"*, czyniąc znaki i cuda, które tylko z pozoru wyglądają na prawdziwe. Widzę jednak, że wielu z nas rezygnuje z badania daru języków, prorocstw, uzdrowień i cudów obawiając się, że będzie to wyglądało na brak wiary lub gaszenie Ducha Świętego. Przyjrzyjmy się, co mówi Słowo Boże: *"Ducha nie gaście, prorocstwa nie lekceważcie! Wszystko badajcie, a to jest co szlachetne zachowujcie!"* (1Tes 5:19-21). O mieszkających Berei dowiadujemy się, że byli oni *"szlachetniejsi od Tesaloniczan, przyjęli naukę z całą gorliwością i codziennie badali Pisma, czy istotnie tak jest"* (Dz 17:11). Poddali oni słowa apostoła Pawła badaniu, porównując je z niezmiennym świadectwem Bożego Słowa i nie pozwolili, aby ich własne odczucia potwierdzały głoszoną im prawdę. Prawdziwi Boży prorocy, nigdy nie obawiali się badania i weryfikacji (1P 1:10-11) tego, co mówił im Duch. To nie badanie gasi Ducha, ale zasmuca Go grzech, bunt, nieposłuszeństwo i umyślne trwanie w nieświadomości.

Jeśli chodzi o badanie duchów, to niepewnie czują się tylko ci, którzy nie znają Słowa Bożego, bo to właśnie ono nas uczy, że badanie dowodzi prawdziwości darów i że jest miłe Bogu. Jak przetrwamy w tych trudnych dniach, jeżeli chrześcijanie nie rozpoznają niebezpieczeństwa i nie przyznają się do swojej winy przed Panem, pragnąc oczyścić i odbudować swoje wnętrza, zatrute fałszywkami i kłamliwymi doktrynami? Jeżeli to zignorujemy, to zostaniemy rozdarci przez podziały i walki, po czym staniemy się jak zwietrzała sól, która utraciła smak. Jak wtedy dotrzemy z chwalebłą prawdą o naszym zwycięstwie w Chrystusie do świata ginącego w morderczym uścisku okultystycznego fałszu?

W obecnej sytuacji, okultyści czują się na spotkaniach charyzmatycznych jak w domu, ponieważ widzą tam niepohamowane ponaglanie Ducha i drżenie rąk przywodzące na myśl techniki manipulacji aurą oraz popadanie w stany transów, podczas których wykrzykiwane są "słowa mądrości", zupełnie tak samo, jak robi to medium spirytystyczne. Oni widzą, jak domagamy się natychmiastowego działania Boga, niczym specjaliści od białej magii, którzy również używają imienia Boga Ojca, Jezusa i Ducha Świętego podczas swoich obrzędów. Widzą "chrześcijan" szczekających jak psy "w duchu" (21). Widzą, jak dzięki jakiejś niewidzialnej sile ludzie upadają na podłogę tak samo, jak na moich oczach upadała opętana przez demona Pachita. Słyszą ogłuszający charyzmatyczny zamęt, w którym każdy stara się krzyknąć głośniejsze od innych, jak gdyby Bóg był głuchy. Widzą, jak bez zastanowienia wkładane są ręce w celu uzdrowienia chorego, bez pokuty i bez żalu za grzechy - co zdarza się bardzo często (Jk 5:14-17).

Jak zatem możemy wezwać ich do pokuty? Jak możemy sądzić, że wzywamy ludzi do więzi ze świętym, żywym Bogiem, w którym nie ma nawet cienia zmienności (Jk 1:17)? *"Bóg bowiem nie jest Bogiem zamieszania, lecz pokoju. Tak jak to jest we wszystkich zgromadzeniach świętych" (1Kor 14:33)*. Porządek na zgromadzeniach nigdy nie "gasił ducha" ani nie "zamykał Boga w klatce", i tak też nauczał apostoł Paweł: *"Jeżeli komuś wydaje się, że jest prorokiem albo że posiada duchowe dary, niech zrozumie, że to, co wam piszę jest nakazem Pańskim. A gdyby ktoś tego nie uznał, sam nie będzie uznany. Tak więc, bracia moi, troszczcie się o łaskę prorokowania i nie przeszkadzajcie w korzystaniu z daru języków. Lecz wszystko niech się odbywa godnie i w należyтым porządku!" (1Kor 14:37-40)*.

Po co studiować pisma?

Nie sugeruję, że mamy żyć w obsesyjnym strachu przed skradającymi się demonami i fałszerstwami. Nie potrzebujemy polowań na czarownice, ani samozwańczych specjalistów od badania owoców i darów Ducha, przeczesujących nasze spotkania. Nie sugeruję także, że każdy chrześcijanin musi być ekspertem od demonów, szatana i ciemnych spraw. Jako wierzący jesteśmy wezwani do skupienia naszej uwagi na Jezusie, na trwaniu w nim i uwielbieniu Go. Naszym powołaniem jest kochać Go ponad wszystko, poznawać Go i doświadczać Jego mocy. Bóg powołał swoje dzieci również do studiowania Pism, aby mogły one stanąć przed Panem jako wypróbowani pracownicy, którzy nie przynoszą wstydu, *"trzymając się prostej linii prawdy" (2Tm 2:15)*. Wymaga to wkłady własnego wysiłku i dlatego wiele osób uważa, że regularne studiowanie Słowa Bożego jest podyktowane formalizmem, i że nie ma w tym duchowego natchnienia. Jednak Słowo Boże jest *"żywe..., skuteczne i ostrzejsze niż wszelki miecz obosieczny, przenikające aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów i szpiku, zdolne osądzić pragnienia myśli i serca" (Hbr 4:12)*. To właśnie Słowo Boże jest *"mieczem Ducha" (Ef 6:17b)* będącym jedyną bronią przeznaczoną do ataku, pośród całej Bożej zbroi. Jest to broń, która w ręku wierzącego, o ile kieruje nim Duch Pański, może spowodować największe spustoszenie w królestwie szatana. Dlatego szatan zawsze będzie starał się podważać Boże Słowo i rozluźniać więzy wierzących z tą śmiertcionośną bronią. On będzie próbował nas pozbawić tej broni, którą możemy go atakować, jak i sami się obronić. Żołnierz może być świetnie uzbrojony, jeśli jednak nie ma miecza, to przeciwnik szybko go powali i pokona. Każda postawa umniejszająca lub podważająca autorytet Bożego Słowa jest podejrzana. Poprzez Swoje Słowo Bóg objawił nam to, co musimy wiedzieć o Nim i o naszym zbawieniu. Nie jest to objawienie pełne i skończone, ale jakiegokolwiek objawienie nie pozostające w zgodzie i harmonii ze Słowem Bożym, to nawet jeśli brzmiałoby ono słusznie i sprawiedliwie, nie będzie pochodzić od Boga. A jednak wielu wierzących uważa, że nie potrzebują oni systematycznych studiów, ani nawet wykładania Pism, bo Bóg "mówi do nich bezpośrednio, pouczając ich jak mają postąpić". Dokładnie taką zasadę przyjął Jim Jones i wszyscy jego zwolennicy poprowadzeni zostali na zatracenie, bo nie weryfikowali jego słów ze słowami Pisma Świętego. Dlatego musimy być ostrożni, gdy ktoś nam mówi: "odłóżcie na chwilę swoją teologię na bok." Zwykle oznacza to, że następujące potem dowody oparte są na doświadczeniach mówiącego, które ten stawia wyżej od Słowa Bożego. Jeżeli jego słowa nie pokrywają się ze Słowem Bożym, to prawdopodobnie w ogóle nie powinny się tam znaleźć. Znajomość i zrozumienie Pisma nie jest wynikiem jakiegoś tajemnego procesu wchłaniania pokarmu, ale jest to rezultat zarówno ciężkiej pracy, jak i natchnienia Ducha Świętego, który zaniedbujemy na naszą własną zgubę.

BADAJCIE DUCHY

W Biblii zostaliśmy pouczeni, aby badać duchy. Ale jak właściwie do tego się zabrać? Jak można być pewnym, że dane uzdrowienie lub cud pochodzą od Boga? Jak możemy się upewnić się, że nasze własne zdolności są darem Pana? Bóg nie po to obdarował nas Swoimi nadprzyrodzonymi darami i mocą abyśmy przez cały czas żyli obarczeni strachem, że są one tylko szatańską mistyfikacją. Wielu pastorów nie nic mówi na temat fałszywych darów, ponieważ boją się właśnie takiej reakcji. W rezultacie wielu z nas żyje w zupełnej nieświadomości co do planów i metod działania szatana. Czyni nas to zupełnie bezbronnymi. To właśnie ignoranci i ludzie naiwni zostają najczęściej zwiedzeni gładką mową oszusta.

Duch proroctwa

W Piśmie Świętym podano nam kilka sposobów sprawdzania, czy ktoś jest prawdziwym prorokiem czy fałszywym. Zadanie to nie zawsze należy do łatwych, bo fałszywy prorok rzadko kiedy ma ochotę zaszczycić nas otwartym przyznaniem się do kłamstwa. Dlatego bardzo ważne jest, aby do rozróżniania stosować wszystkie sposoby, a nie tylko jeden lub dwa z nich. Sposoby badania podane poniżej mogą być także stosowane w przypadku znaków i cudów.

W Starym Testamencie prorok był natchniony w ponad naturalny sposób do przekazywania Bożej Woli Jego ludowi, lub do odkrywania przed nimi przyszłości. Słowo "prorok", *nabi*, znaczy "ten, który ogłasza, obwieszcza, formułuje wypowiedź przedstawiającą wyroki Boże." (2) Byli oni pasterzami i stróżami Izraela, dającymi świadectwo jednemu, prawdziwemu Bogu (Iz 45:6). Ich misją było napominanie ludzi za ich grzechy, wzywanie do pokuty i prawego życia, przepowiadanie nie tylko Bożego sądu nad grzesznikami, ale także miłości i łaski Pana nad tymi, którzy zawrócili ze złych ścieżek, aby trwać przed Nim w wierze. Ich prorockie powołanie obejmowało nie tylko przepowiadanie przyszłości objawionej im przez Boga, ale także nawoływanie ludu do okazywania Mu posłuszeństwa (Pwt 29:29). Apokalipsa 19:10 obwieszcza ostateczny cel i przeznaczenie proroctwa: "*Świadectwem bowiem Jezusa jest duch proroctwa.*"

Który Jezus?

1. Pierwsze badanie proroka (uzdrowiciela) musi dotyczyć doktryny. W co on wierzy odnośnie Jezusa? Czy przyłgął on do Jezusa Chrystusa z Nazaretu jako Syna Bożego, drugiej Osoby Trójcy, Boga wcielonego jako w pełni Boga i w pełni człowieka, który umarł za nas na krzyżu aby mogły być nam odpuszczone nasze grzechy. Syna Jednorodzonego narodzonego z dziewicy, którego zmartwychwstanie w ciele obwieściło Jego zwycięstwo nad grzechem, śmiercią i sztanem? Czy ta osoba wierzy, że "*Łaską jesteśmy zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga: nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił*"? (Ef 2:8).

Czy też dzięki subtelnemu przedefiniowaniu, osoba tak zaakceptowała "innego Jezusa", "innego Ducha", "inną Ewangelię"? Dokładnie to miał na myśli apostoł Jan, gdy pisał; "*każdy duch, który wyznaje, że Jezus Chrystus przyszedł w ciele, jest z Boga. Każdy zaś duch, który nie uznaje Jezusa nie jest z Boga; i to jest duch Antychrysta...*" (1J 4:2-3). Pierwszym zatem pytaniem jakie należy zadać, jest "Który Jezus?", "Która Ewangelia? - czy mówi to samo co Biblijna ewangelia. " Bo jeśli odpowiedzi na te dwa pytania nie są właściwe, natychmiast dowiadujemy się także jaki to duch.

W Księdze Powtórzonego Prawa 13:1-5, Pan stwierdza wyraźnie, że nawet jeśli prorok lub wyjawiacz snów będzie czynił cuda, a przy tym w jakikolwiek sposób będzie cię nakłaniał do słuchania innych bogów, to masz go nie słuchać, "*Gdyż to Pan, Bóg twój, cię doświadcza, chcąc poznać czy miłujesz Pana, Boga swego, z całego swego serca i z całej duszy.*" Jezus powiedział: "*Kto przykazania moje zachowuje je, ten Mnie miłuje. Kto zaś Mnie miłuje, ten będzie umiłowany przez Ojca mego, a również Ja będę go miłował i objawię mu siebie.*" (J 14:21). Jeżeli praktykujemy coś, co jest sprzeczne z Jego Słowem, to wtedy wyrażanie miłości do Jezusa w samych słowach, nie jest wystarczające. W rozdziale 18 księgi Powtórzonego Prawa Pan ostrzega nas, że fałszywy prorok może nawet używać imienia Bożego i mówić: "*tak mówi Pan*", tak samo jak to zwykli czynić wszyscy prawdziwi prorocy. Po tym ostrzeżeniu podaje on następne wnikliwe badanie, przez które bardzo niewielu dzisiejszych proroków mogłoby przejść zwycięsko.

Stuprocentowa dokładność

2. Proroctwa muszą sprawdzać się w stu procentach za każdym razem. Jeśli myślisz w swym sercu: W jaki sposób poznam słowo, którego Pan nie mówił? *"Gdy prorok przepowie coś w imieniu Pana, a słowo jego będzie bez skutku i nie spełni się, to znaczy, że tego Pan nie mówił, lecz w swej pysze powiedział to sam prorok. Nie będziesz się go obawiał."* (Pwt 18:21-22).

Dzisiejsi prorocy, co można łatwo zauważyć, mają a skłonność do niedokładności. Nawet pomyłki Jean Dixon bywają szokujące. Zapewnienie, że miało się "zły dzień", albo że "wibracje nie były odpowiednie", albo mówienie, że *miało się rację*, tylko osoba, której prorokowano nagle zmieniła zdanie, nie wystarczy. Gdyby tak było, to pamiętajmy, że Bóg zna przyszłość i może od razu podać prawidłową informację. Gdyby takie słowo pochodziło od Niego, to było by ono *w stu procentach trafione*. Kryterium to powinno być stosowane także podczas spotkań charyzmatycznych, ale niestety jest to rzadkością. Nie wystarczy usprawiedliwić się mówiąc: "nie czepiaj się; dopiero od niedawna to robię", albo, że "to musi pochodzić od Boga, bo ja tak czuję", bo nasze odczucia nie są najlepszym sprawdzianem.

Starotestamentowi prorocy głosili Słowo i Wolę Bożą w natchnionych naukach, nie ograniczając się do proroctw o przyszłości. Z całą pewnością w dzisiejszym świecie działa dar proroctwa w celu wzmocnienia osób wierzących, a także w celu ujawnienia tajemnic serca, aby niewierzący mógł poznać miłość Boga i Jego osobistą troskę o niego. Niech każdy dba o to, aby nie wykorzystywał tego daru do wróżbiarstwa. Jeśli jakaś osoba twierdzi, że przepowiada przyszłość w imię Boże, to w pełni podlega ona temu, co zostało powiedziane w Słowie Bożym, w księdze Powtórnego Prawa 18:20-22 oraz 13:1-5.

Obrzydliwość

3. Jeżeli jakkolwiek cud, znak, proroctwo lub uzdrowienie dokonane jest przez okultystę, albo przy pomocy technik okultystycznych, to na pewno nie pochodzi ono od Boga. Jest ono fałszerstwem. Bo *"cóż ma wspólnego światło z ciemnością? Albo jakaż jest wspólnota Chrystusa z Belialem?"* (2Kor 6:14-15). Oczywiście żadna. Bóg niezwykle jasno przedstawił swój stosunek do okultyzmu w Księdze Powtórnego Prawa 18:9-14, gdzie wymienia cały wachlarz praktyk okultystycznych, nazywając je *obrzydliwością*. W razie gdyby wyrażenie to umknęło nam za pierwszym razem, Bóg powtarza je trzykrotnie (9 i 12) i nie zostało to powiedziane dlatego, że okultyści psuli interes kapłanów, ale dlatego, że Bóg zna szatańskie źródło tych praktyk i nie chce, aby Jego lud został nimi skażony (Kpł 19:31). *Ci, którzy zwracają się do wywołujących duchy lub wróżbitów w oczach Pana uprawiają duchowy nieład* (Kpł 20:6) i z tego powodu *zasługują na śmierć* (Wj 22:18), bo praktyki te odwodzą ludzi od polegania na Bogu i sprawiają, że ludzie zwracają się oni do demonów aby poznać rzeczy tajemne, których poznać im nie wolno (Pwt 29:28). Dzięki Bogu nie mieszkamy w państwie teokratycznym, jakim był Izrael, bo w przeciwnym razie nasze społeczeństwo byłoby dzisiaj poważnie zdziśiatkowane. Jeśli postępujemy w wierze i zaufaniu do naszego Pana i Boga, to nie musimy znać naszej najbliższej przyszłości, jak się to niektórym wydaje. Wystarczy wiedzieć, że On ma naszą przyszłość w Swoim ręku i że dzięki temu możemy odważnie kroczyć w wierze.

"A gdy wam będą mówić: Radźcie się wywoływaczy duchów i czarowników, którzy szepczą i mruczą, to powiedzcie: Czy lud nie ma się radzić swojego Boga? Czy ma się radzić umarłych w sprawie żywych? A co dotyczy zakonu i objawienia: Jeżeli tak nie powiedzą, to nie zabłyśnie dla nich jutrzienka". (Iz 8:19-20). (Zobacz też Izajasza 45:11).

Jeśli jakkolwiek prorok twierdził, że mówi słowa od Pana, a został przyłapany na stosowaniu wróżbiarstwa, czarów lub wywoływania duchów albo jakiegokolwiek innej techniki okultystycznej, był natychmiast uznawany za fałszywego proroka (Ez 22:28; Jer 14:14; 28:8-9; Mich 3:7). Prawdziwi prorocy nie musieli stosować żadnych technik, bo Bóg mógł przemawiać do nich poprzez natchnienie i objawienie, kiedy uznał za stosowne. We "Wprowadzeniu do Proroków Starego Testamentu", dr Hobart Freeman pisze; "To jedna z największych różnic pomiędzy Judaizmem a religiami pogańskimi, które starały się odkrywać prawdę za pomocą wróżb i czarów. (22) Bóg przemawiał przez proroków za pomocą natchnienia, snu i wizji, nie za pomocą technik okultystycznych. W Nowym Testamencie Bóg postępuje z okultystami tak samo, jak z opętaną dziewczyną która wróżyła przez ducha nieczystego (Dz 16:18), albo jak z magiem i fałszywym prorokiem imieniem Bar-Jezus (Dz 13:6-11). Widać tu wyraźnie, że w Nowym Przymierzu Bóg nie zmienił swojego zdania na ten temat. Bowiem nie można *"pić z kielicha Pana i z kielicha demonów"* (1Kor 10:21). Ale prawdą jest też to, jak zauważył Dr Freeman (23), że fałszywi prorocy także miewają sny i widzenia, i mogą też w ogóle nie używać technik wróżbiarskich, takich jak kryształowe kule, tarot, tabliczki owija itd.

Właśnie dlatego należy stosować wszystkie te sprawdziany. Żadna metoda badania nie jest sama w sobie wystarczająca. Każdy fałszywy prorok albo cudotwórca może przejść zwycięsko przez jeden lub dwa z podanych sprawdzianów, będąc równocześnie kłamcą i oszustem.

Owoc życia

4. Trzeba także zbadać owoce życia. Wielu fałszywych proroków Starego Testamentu charakteryzowało się niemoralnym stylem życia, w którym uparcie tkwili i starannie "pobielali" swoje życie zewnętrzne. Prawdziwy prorok Pana powinien postępować zgodnie ze światłem Jego powołania. Widzimy czasem też prawdziwych proroków Pana, takich jak Dawid, popełniających przez pewien czas ciężkie grzechy, bo morderstwo i cudzołóstwo to nie są błahostki. Ale tym, co sprawiło że Dawid był człowiekiem Bożym, była jego szczerość w przyznaniu się do winy i pokuta. Dla fałszywych proroków często charakterystyczny jest duch buntu i zatwardziałości w grzechu, ale nie zawsze, bo bywa, że ich życie i moralność są nienaganne. Owoc ich życia mógłby czasami nawet wielu z nas zawstydić. Tekstem kluczowym jest tutaj Ewangelia Mateusza 7:15-23. Pan ostrzega nas przed fałszywymi prorokami *"którzy przychodzą do was w owczej skórce, a wewnątrz są drapieżnymi wilkami"* (wersz 15). Jak mamy ich rozpoznać? *"Poznacie ich po ich owocach"* (wersz 16). Następnie Pan wyjaśnia szczegółowo podstawy duchowego ogrodnictwa, po raz kolejny podkreślając, że dobre drzewo nie może wydać złych owoców i vice versa. Jednak niewielu ludzi czyta wersety następujące zaraz po tym, które ponownie stwierdzają *"A więc: poznacie ich po owocach"* (wersz 20). *"Nie każdy, który mówi do mnie: Panie, Panie!, wejdzie do królestwa niebieskiego, lecz ten, kto pełni wolę mojego Ojca, który jest w niebie. Wielu powie mi w owym dniu: Panie, Panie, czy nie prorokowaliśmy mocą Twego imienia i nie wyrzucaliśmy złych duchów mocą Twego imienia, i nie czyniliśmy wielu cudów mocą Twego imienia? Wtedy oświadczę im: Nigdy was nie znałem. Odejdźcie ode mnie wy, którzy dopuszczacie się nieprawości (wersze 21-23)*. To, że ktoś używa imienia Pana, prorokuje, wygania demony i czyni cuda, to nie wystarcza gdy owoc jego wewnętrznego życia, nie ma żadnej wartości, bo dobrymi uczynkami nie można sobie zasłużyć na niebo. *"Rzekli więc do niego: Cóż mamy czynić, aby wykonywać dzieła Boże? Odpowiedział Jezus i rzekł im: To jest dzieło Boże: wierzyć w tego, którego On posłał. (J 6:28-29 BW)* (Zobacz też 1J 3:23). To doktryna nadaje niezniszczalną wartość owocowi życia. Jeżeli nie mamy kontaktu z Jezusem jako Panem i Zbawicielem, to owoc naszego życia nie ma znaczenia.

Wewnętrzne świadectwo

5. Ostatnim sprawdzianem jest zbadanie naszego wewnętrznego, subiektywnego świadectwa. Powiedziałam już dużo na temat obecnej w naszym ciele głębokiej potrzeby budowania na trwałym, mocnym fundamencie Pisma Świętego, czystego Słowa, które Bóg objawia jako Swojego Syna - jest to nasz Kamień Węgielny. Bóg uzbraja nas w Swoje Słowo. Ale ostatecznie stajemy przed Bogiem na płaszczyźnie bardzo osobistej i intymnej, gdzie czujemy Jego miłość i czułą litość nad nami; gdzie doświadczamy radości i głębokiego pokoju poprzez Jego obecność w naszym życiu. Najwyższym celem naszego życia jest kochać, poznawać i doświadczać Jego. Jeżeli jesteśmy w jedności z Panem i jeżeli coraz lepiej Go poznajemy, to Duch Święty składa wtedy w naszym wnętrzu świadectwo dotyczące tych spraw. Ale jeśli zasmuciliśmy Ducha Świętego przez grzech lub nieposłuszeństwo, nasz głos wewnętrzny zostaje zniekształcony tak, że nie potrafimy już jasno rozróżnić. Nasze wewnętrzne świadectwo może przestać być wiarygodne. Pan powiedział: *"Ten kto chce pełnić Jego wolę, ten pozna, czy ta nauka jest od Boga, czy też Ja mówię od siebie samego"* (J 7:17). Jeśli rzeczywiście pragniemy poznać Prawdę i jesteśmy gotowi być jej posłuszni, to Bóg ujawni nam ją w naszym wnętrzu. Niestety, zbyt wielu z nas upiera się, że nasze wewnętrzne świadectwo jest pierwszym i najważniejszym kryterium. Ja też kiedyś mówiłam; "...Jak możesz mi wmawiać, że to co robi Pachita jest dziełem demonów! Wtedy czułam obecność złych duchów i doświadczyłam też działania dobra, więc teraz potrafię to rozróżnić".

WYZWOLENIE

Te pięć podstawowych sposobów badania duchów bardzo nam pomoże w odróżnieniu oryginału od fałszerstwa. Jednak wciąż pozostaje pytanie: Jak bada się prawdziwość własnych zdolności przed Panem? Jak zamyka się drzwi przed jakimkolwiek wpływem okultyzmu działającym w naszym życiu? Na pewno nie trzeba w tym celu uczyć się żadnych tajemnych rytuałów. Jest jednak ważne, aby zrozumieć kilka podstawowych zasad, o których mówi Pismo. Być może niektórzy z was nie uznają Jezusa jako swojego Pana i Zbawiciela. Niekтары z was mogli doczytać aż dotąd z czystej ciekawości; ale na pewno są też inni, którzy czytają te słowa szukając drogi wyzwolenia z szatańskich więzów.

Nie ma wolności poza Jezusem

1. Przede wszystkim trzeba zrozumieć, że nie ma żadnej nadziei poza Jezusem. *"I nie ma w nikim innym zbawienia; albowiem nie ma żadnego innego imienia pod niebem, danego ludziom, przez które moglibyśmy być zbawieni."* (Dz 4:12 BW). Jeżeli nie jesteś gotowy poświęcić Mu całego swojego życia, ciała, ducha i umysłu, to nigdy nie znajdziesz pokoju ani wolności, których szukasz. *"Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a ja was pokrzepię."* (Mt 11:28). Jezus mówi, że Jego jarzmo jest słodkie, a brzemień lekkie. Szatan chce narzucić ci jarzmo swoich kłamstw. On będzie cię zwodził nawet jako anioł światłości, aby ostatecznie móc przytłoczyć cię brzemieniem strachu i zniszczenia. A jednak Pismo daje zadziwiające świadectwo, że: *"Syn Boży objawił się po to, aby zniszczyć dzieła diabła"* (1J 3:8). To On "rozbroił nadziemskie władze i zwierzchności, i wystawił je na pokaz, odniósłszy w nim triumf nad nimi." (Kol 2:15 BW). Jezus poprzez swoją śmierć na krzyżu pokonał *"tego, który dzierżył władzę nad śmiercią, to jest diabła"* (Hebr 2:14). Ale *"jakże my unikniemy kary, jeśli nie będziemy się troszczyć o tak wielkie zbawienie?"* (Hebr 2:3). On zwyciężył, ale zwycięstwo to nie przyniesie pożytku tym, którzy Go odrzucają. *"Dziś, jeśli głos Jego usłyszycie, nie zatwardzajcie serc waszych"* (Hebr 3:15).

Na wieki

Ci, którzy znajdują się w Jezusie nie muszą obawiać się o swoje zbawienie. *"Wszystko, co Mi daje Ojciec, do Mnie przyjdzie, a tego który do Mnie przychodzi, precz nie odrzucę... abym ze wszystkiego, co Mi dał niczego nie stracił, ale żebym to wskrzesił w dniu ostatecznym"* (J 6:37-39). Gdyby Jezus stracił choćby jednego z nas, którzy przychodzimy do niego w wierze, to stał by się kłamcą, bo On powiedział, że wszyscy którzy przyjdą do Niego będą razem z Nim wskrzeszeni. Nie możemy przecież odwrócić tego, co miało miejsce na krzyżu. *"Jedną bowiem ofiarą udoskonalił na wieki tych, którzy są uświęceni"* (Hebr 10:14). *"Na mocy tej woli uświęceni jesteśmy przez ofiarę ciała Jezusa Chrystusa raz na zawsze"* (Hebr 10:10). Przebaczenie, jakie uzyskał dla nas Jezus jest wieczne. Nie można go cofnąć. Jeśli ktoś wierzy inaczej, twierdzi tym samym, że ofiara, którą Jezus złożył za nas nie była wystarczająca, że czegoś jej brakowało. Ale apostoł Paweł mówi nam, że: *"bóg, będąc bogaty w miłosierdzie, przez wielką swą miłość, jaką nas umiłował, i to nas, umarłych na skutek występków, razem z Chrystusem przywrócił do życia. Łaską, bowiem jesteście zbawieni. Razem też wskrzesił i razem posadził na wyżynach niebieskich w Chrystusie Jezusie, aby w nadchodzących wiekach przemożne bogactwo Jego łaski wykazać na podstawie dobroci względem nas, w Chrystusie Jezusie"* (Ef 2:4-7). Kiedy Chrystus umierał na krzyżu, wszystkie nasze grzechy należały jeszcze do przyszłości. Umarł On nie tylko za grzechy, które popełniliśmy zanim przyjęliśmy Jego przebaczenie, ale także za grzechy, które popełnimy potem. Jedynym grzechem, którego nie może nam wybaczyć, jest odrzucenie go przed odejściem do wieczności. *"Powiedziałem wam, że pomrzecie w grzechach swoich, tak, jeżeli nie uwierzycie, że Ja Jestem, pomrzecie w grzechach swoich"* (J 8:24). Jednak jeśli *"ktoś pozostaje w Chrystusie, to jest nowym stworzeniem"* (2Kor 5:17). Ponieważ On wziął nasze grzechy na siebie i zapłacił za nie okup. Bóg Ojciec nie jest już przeciwko nam; wybaczone zostały wszystkie nasze przewinienia, skreślony został nasz list dłużny który nas obciążał (Kol 2:13-14). *"Ja, właśnie Ja przekreślam twe przestępstwa i nie wspominam twych grzechów"* (Iz 43:25). Wszyscy, którzy są w Nim już teraz zasiadają razem z Nim na Bożym tronie (Ef 2:6). Jesteśmy pewni, że tam pozostaniemy, bo Jezus powiedział: *"Moje owce słuchają mego głosu, a ja je znam. One idą za Mną i Ja daję im życie wieczne. Nie zginą one na wieki i nikt nie wyrwie ich z mojej ręki. Ojciec mój, który mi je dał, jest większy od wszystkich. I nikt nie może ich wyrwać z ręki mego Ojca"* (J 10:27-29). Nawet my sami nie możemy wyrwać się z ręki Ojca, skoro już należymy do Niego.

Szatański cel

Jeśli zatem nasze dusze są na zawsze bezpieczne, to co takiego szatan próbuje wykraść nam, którzy jesteśmy w Chrystusie? C.S. Lewis powiedział: *"Jałowy chrześcijanin jest najbliższy potępienia duszy."* Szatan może okraść nas z naszego świadectwa, czyniąc z nas przyczynę upadku dla ludzi szukających prawdy; może obrabować nas z pokoju i radości; może obrabować nas z wolności; może obrabować nas z naszej jedności z Chrystusem. Dlatego właśnie bez przerwy jesteśmy napominani, abyśmy chodzili w światłości (1J 1:6-7), abyśmy czuwali (1P 5:8), abyśmy oblekli "pełną zbroję Bożą (abyśmy) mogli się ostać wobec podstępnych zakusów diabła" (Ef 6:11). Rażąca niemoralność, uczynki ciała opisane w Liście do Galacjan 5:19-21 - duma i bunt, uczestnictwo w rzeczach, które Bóg nazwał obrzydliwością - wszystko to daje szatanowi miejsce w naszym życiu, które stara się on zdobyć za wszelką cenę. Działalność okultystyczna czyni nas szczególnie podatnymi na szatańskie prześladowanie. To właśnie dlatego ważne jest, abyśmy "zamknęli drzwi" otwarte na podobne wpływy w naszym życiu.

Zamknięcie rachunku

2. Każdy grzech związany z okultyzmem stanowi, w dosłownym tego słowa znaczeniu, pakt z diabłem. (24) Daje on szatanowi prawo do zniewolenia i prześladowania takiej osoby (Wj 20:3-5), bez względu na to, w jaki sposób otwarła ona drzwi szatanowi. Być może zostałeś zauroczony przez jakieś medium lub uzdrowiciela jako dziecko. Możliwe, że odziedziczyłeś duchowe obciążenie po swoich przodkach, tak jak ja. Być może ktoś o zdolnościach spirytystycznych włożył na ciebie ręce i w ten sposób przekazał ci swoją moc. Być może tylko bawiłeś się w wywoływanie duchów, astrologie lub odczytywanie aury. Samo to, że lekko traktowałeś te rzeczy nie ma najmniejszego znaczenia w oczach szatana. Jeśli wszedłeś na jego terytorium to zawsze staniesz się ofiarą demonów. Bez względu na to, w jaki sposób otwarłeś te drzwi, jest tylko jeden sposób, aby je zamknąć. W tym celu trzeba się zwrócić do Jezusa, wyznać swoje grzechy i wyrzec się tego. Wyznanie grzechów to nic innego jak tylko potwierdzenie ich przed Bogiem. Poprzez wyznanie grzechów przyznajemy, że to, co uczyniliśmy było rzeczywiście złe i niezgodne z Bożą wolą. Ważne jest aby wyznawanie grzechów osoby znajdującej się pod wpływem demonicznym miało miejsce, o ile to możliwe, w obecności jakiejś innej osoby dojrzałej w wierze. A to z dwóch powodów:

(a) Aby wydobyć na światło dzienne rzeczy ukryte. Wielu okultystów z Efezu, którzy nawrócili się do Pana *"przychodziło... wyznając i ujawniając swoje uczynki"* (Dz 19:18), unikali oni *"postępowania skrywającego rzeczy hańbiące"* (2Kor 4:2). Szczególnie ważne jest wyznanie wszystkich grzechów i niechęci, nie tylko tych związanych z okultyzmem, tak aby usunąć z naszego życia każdy punkt oparcia, który szatan chce utrzymać. Wyznania grzechów nie można od nikogo wymuszać, ponieważ jeżeli nie jest to dobrowolne, i nie płynie z głębi serca, to jest to bezcelowe.

(b) Aby wspomagać cię w modlitwie, gdy oficjalnie wyrzekniesz się szatana i jego prawa do twojego życia. Diabeł nie jest zadowolony takim obrotem spraw i może, w przypadkach szczególnie ciężkich, stawiać silny opór zanim wypuści swoją ofiarę. Poświęć trochę czasu na rozważenie grzechów, które chcesz wyznać. Czasem pomocne może być nawet sporządzenie listy. Proś Boga, aby pokazał ci, co masz mu wyjawić.

Zniszcz przedmioty

Jest także ogromnie ważne, abyś zebrał wszystkie książki czy rzeczy związane z okultyzmem, jakie tylko posiadasz i zniszczył je. Nie wystarczy wyrzucić je do śmieci, gdzie mogą je znaleźć twoi sąsiedzi. Upewnij się, że wszystkie przedmioty zostały rozbite, spalone lub podarte tak, że nie da się już ich naprawić. W przeciwnym razie mogą się one stać punktem oparcia dla demonów. Pozbądź się ich (Dz 19:19).

Wyrzeknij się szatana

W celu wyznania grzechów i wyrzeczenia się szatana można zastosować podaną tu modlitwę, ale same słowa nie są w żaden sposób uświęcone. Dla Boga najważniejsze są czyste intencje i nastawienie serca.

"Wszchemogący Boże, w Imię Twojego Syna Jezusa Chrystusa wyrzekam się wszystkich dzieł diabła. Wyznam moje grzechy (wymień je) i wyrzekam się tych praktyk, jako obrzydliwości przed Tobą. Wyrzekam się wszelkich wpływów okultystycznych moich przodków i proszę cię, Panie Boże, abyś zerwał więzy, którymi szatan krępuje moje życie. Proszę, abyś całkowicie zniszczył i usunął ode mnie wszystkie złe siły i zdolności, które mnie opanowały lub prześladowały, nie chcę żadnych zdolności, które nie pochodzą od Ciebie. Ofiaruję siebie, moje ciało, moje myśli, moją osobowość, moje uczucia, całą moją istotę, Panu naszemu, Jezusowi Chrystusowi, aby stał się moim Zbawcą i Panem."

Tak samo jak nasze zbawienie jest dziełem łaski, przez wiarę "a to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga; nie z uczynków..." (Ef 2:8), tak samo jest i z naszym wyzwoleniem spod władzy szatana. Podstawą do tego nie są nasze zalety czy osiągnięcia. Nie zależy ono od naszych uczuć. Bez względu na to w jakim jesteś stanie duchowym w tej chwili, jeśli stanąłeś przed Bogiem z otwartym sercem i wyznałeś swoje grzechy, to masz zapewnienie Słowa Bożego, że "Bóg jako wierny i sprawiedliwy odpuści je i oczyści nas z wszelkiej nieprawości" (1J 1:9). Drzwi zostały zamknięte. Nie pozwól szatanowi wykraść ci tej pewności, chociaż możesz być pewien, że będzie tego próbował. Wkrótce omówimy oręż, jakiego udzielił nam Bóg.

Badaj swoje dary

Ci z was, którzy chcieliby sprawdzić przed Panem swoje dary, powinni postępować podobnie. Poświęć czas na modlitwę, uwielbienie Boga i wyznanie swoich grzechów. Następnie poproś Boga, aby udzielił ci w tej sprawie rozeznania. Potem po prostu zwróć Mu jakkolwiek nadprzyrodzony dar czy uzdrowienie, które otrzymałeś:

"Ojcze, oddaję Ci ten dar języków, lub uzdrawiania, lub czynienia cudów, lub prorocstwa... Jeśli rzeczywiście pochodzi on od Ciebie, pobłogosław ten dar i spraw, by wzrastał, aby twoje ciało mogło być błogosławione i budowane dzięki niemu, ale jeśli w jakiś sposób zostałem zwiedziony w tej sprawie, proszę Cię, abys zabrał ode mnie ten dar. Odrzucam i wyrzekam się go, jeśli nie pochodzi od Ciebie. Abba, Ojcze, obdarz mnie pragnieniem Twojego Słowa; spraw, abym wzrastał w poznawaniu Twojej miłości i łaski. Spraw, abym szukał Ciebie, wszechmocny Boże, bardziej niż czegokolwiek innego. Proszę o to w Imię Twojego Syna, mojego Pana i Zbawcy, Jezusa Chrystusa, wiedząc, że moja prośba jest miła Twoim oczom. Amen."

Zbadałeś już swój dar lub uzdrowienie porównując je ze Słowem Bożym, według Jego polecenia; poprzez wyznanie grzechów i wyrzeczenie się zła zamknąłeś drzwi wpływom okultyzmu, jeśli miały one rzeczywiście miejsce w twoim życiu; złożyłeś siebie i swój dar w mocnych rękach Boga. Chodź zatem w chwale Jego mocy i w radosnej pewności, że On cię strzeże! *"Spotkało kogoś z was nieszczęście? Niech się modli! Jest ktoś radośnie usposobiony? Niech śpiewa hymny! Choruje ktoś wśród was? Niech sprowadzi kapłanów Kościoła, by się modlili nad nim i namaścili Go olejem w imię Pana. A modlitwa pełną wiary będzie dla chorego ratunkiem i Pan go podźwignie, a jeśli by popełnił grzechy, mu odpuszczone. Wyznawajcie zatem sobie nawzajem grzechy, módlcie się jeden za drugiego, byście odzyskali zdrowie. Wielka moc posiada wytrwała modlitwa sprawiedliwego"* (Jk 5:13-16).

Bóg chce, abyśmy prosili go o ponad naturalne rzeczy. Z radością udziela On każdego dobrego i doskonałego daru Swoim dzieciom, ponieważ nas kocha. Chce abyśmy byli pewni swojej modlitwy, a nie pogrążeni w strachu przed demonami i fałszerstwami, lub też i pełni nierozwagi i ignorancji, jakże dalekiej od prawdziwie dziecięcej wiary. Stań przed Panem, oczyść się w Jego oczach; "na wzór Świętego, który was powołał, gdyż jest napisano: *Świętymi bądźcie, bo Ja jestem święty"* (1P 1:15-16). Świętość i prawość przed Bogiem wnosi w nasze życie prawdziwą moc Ducha Świętego. Obyśmy potrafili tak jak apostoł Paweł radować się z tego, że wystarczy nam Jego łaska *"albowiem Jego moc przejawia się w naszych słabościach"* (2Kor 12:9). Obyśmy tak jak apostoł Paweł mogli wszystko uznać *"za stratę ze względu na najwyższą wartość poznania Chrystusa Jezusa, Pana mojego"* (Flp 3:8).

Krew Baranka

3. Nadeszły czasy ostateczne. Fałszywi mesjasze, fałszywi prorocy i fałszywe cuda plenią się coraz gęściej wraz ze zbliżającym się drugim przyjściem Chrystusa. Jednak nawet z powodu najsubtelniejszych fałszerstw i najzacieklejszych walk wierni nigdy nie muszą się cofać w przerażeniu przed atakiem demonów i ich fałszywych znaków, o ile trwają w wierze i posłuszeństwie względem Chrystusa. Ten, który zgodnie z Bożym poleceniem bada duchy, nie może być długo zwodzony. Nie wystarcza jednak nie dać się zwieść. Dni są złe; musimy stanąć do otwartej walki wiedząc, że dzięki Niemu mamy pełne zwycięstwo (Rz 8:37). Demony uciekają w przerażeniu przed tym, kto rozumie moc i zwycięstwo, jakie przyniosła krew baranka. To dzięki niej skruszona została zniewalająca nas moc szatana. *"I usłyszałem donośny głos w niebie: Teraz nastąpi zbawienie, potęga i królowanie Boga naszego i władza Jego Pomazańca, bo oskarżyciel braci naszych został stracony, ten co dniem i nocą oskarża ich przed Bogiem naszym. A oni zwyciężyli dzięki krwi Baranka i dzięki słowu swojego świadectwa i nie umiłowali dusz swych, aż do śmierci"* (Ap 12:10-11). Ochronia nas krew Baranka, krew, która obmyła nas wszystkich z grzechu; to jest właśnie największa broń, jaką Bóg zostawił Swojemu ludowi. Ponieważ pozostajesz w Nim, to masz prawo prosić o Jego opiekę i pomoc w walce z szatanem.

Nakazywanie szatanowi

Dzięki przelanej krwi Chrystusa, ośmielamy się występować przeciwko szatanowi, nakazując mu, aby ustąpił przed imieniem Jezusa. "Nakazuję ci w imię Jezusa Chrystusa, abys z niej wyszedł!", mówi apostoł Paweł duchowi wieszczemu, który opętał niewolnicę. Ewangelia Łukasza 10:17 opisuje radość siedemdziesięciu dwóch uczniów spowodowaną faktem, że "przez wzgląd na Twoje imię nawet złe duchy się nam poddają".

Ośmielamy się nakazywać diabłu tylko ze względu na nasze położenie w Chrystusie. Sami z siebie nie posiadamy takiej mocy, strzeżmy się więc, abyśmy nie popadli w pychę, rozkazując demonom, by odeszły do piekła, bo nawet archanioł Michał *"tocząc rozprawę z diabłem gdy spierał się o ciało Mojżesza, nie odważył się rzucić wyroku bluźnierczego, ale powiedział: Pan niech cię skarci!"* (Judy 9). Niektórzy ludzie *"bluźnią temu, czego nie znają"* (Judy 10). Ale wobec zwycięstwa Chrystusa, znajdując się pod opieką i ochroną Jego krwi, będąc napełnieni i prowadzeni przez Ducha Świętego, możemy nakazać: *"Szatanie, w Imieniu Jezusa Chrystusa gromie cię i karzę. Rozkazuję ci odejść i iść tam, dokąd posyła cię Jezus. Pamiętaj, że jestem dzieckiem Boga Żywego; nie masz nade mną władzy"*. Następnie poproś o Bożą opiekę: *"Ojczy, proszę opiekuj się mną i chroń mnie mocą Twojej świętej krwi. Napełnij mnie i otocz Twoim Duchem Świętym."* Te słowa nie są magiczną formułą, którą można klepać automatycznie jak mantrę. Nie są też modlitwą do szatana. Są to raczej słowa polecenia, wypowiedziane przez gotowe do walki dziecko, które zna zaciętość duchowej walki i pojmując jaką władzę obdarzył je zwycięski Dowódca. Osoby mające w przeszłości związek z okultyzmem być może będą musiały uciekać się do wypowiedziania tych słów wiele, wiele razy dziennie, tak jak ja. Szatan niełatwo rezygnuje ze swojej ofiary. Chociaż wie, że już przegrał pojedynek o duszę, to będzie jednak atakował zaciekle. Nie bój się. Strach jest najgroźniejszą bronią, którą szatan może wymierzyć przeciwko wierzącemu. Bóg powiedział jednak: "Jego doskonała miłość przepędza wszelki strach". Gdy czujesz, że szatan staje ci na drodze to bądź pewien, że otrzymałeś moc i przykazanie by mu się przeciwstawić, a on naprawdę wtedy przed tobą ucieknie (Jk 4:7).

Boża zbroja

4. Załóż całą zbroję Bożą. Żaden wojownik nie wyrusza na wojnę wyposażony tylko w te części uzbrojenia, które wydają mu się potrzebne. Ponieważ nasza walka jest nie tylko przeciw ciału i krwi, ale także przeciw siłom świata ciemności, przeciwko złym bytom duchowym na wyżynach niebieskich, dlatego weźcie na siebie pełną zbroję Bożą. Jeśli nie przepaszemy naszych bioder Jego Prawdą, nasza zbroja nie będzie trzymała się razem. Jeśli nie założymy pancerza sprawiedliwości w Chrystusie, nasze serca mogą być przebite pychą i obłudą. Jeśli nie założymy na nogi mocnych, zabezpieczonych przed poślizgnięciem się butów ewangelii, to możemy być wytrąceni z równowagi przez pierwszy podmuch ludzkiej nauki, jaki do nas dotrze. Jeśli nie wyposażymy się w tarczę wiary, to szatańskie pociski wątpliwości i pokus utkwiają w naszym ciele i poparzą je dotkliwie. Hełm zbawienia strzeże naszych myśli. Miecz Ducha, którym jest żywe Słowo Boże, służące nam do obrony i zadawania ciosów, przenikających "aż do rozdzielenia duszy i ducha" (Hebr 4:12). Miecz ten to także słowa zwyciężające strach. Zanotuj sobie te fragmenty z Pisma, które szczególnie przemawiają do ciebie i naucz się ich na pamięć. Używaj ich jako broni przeciwko szatanowi, gdy będzie próbował przytłoczyć cię strachem. Biblia pełna jest słów przynoszących ulgę i pocieszenie: Ps 91; Rz 8; J 6; Pwt 31:6-8; 1J 4:18; 1J 4:4 i 3:8; Kol 2:15; Ap 12:11; Iz 41:9b-10. Jak można wejść w posiadanie takiej zbroi? Jak przywdziać to, co, według słów Boga, jest nam niezbędne do oparcia się zakusom szatana? Jest to możliwe, jeśli trwamy w modlitwie (Ef 6:18). Nigdy nie lekceważ mocy modlitwy i nabożeństw w walce z szatanem! Pan mieszka w chwale swojego ludu. Gdy wychwalamy i czcimy Boga Żywego, to ciemność odsuwa się od nas, nie może ona bowiem znieść obecności Światła.

Więcej niż zwycięstwo

Nasza historia nie musi być powtórzeniem żalostnej tragedii bohaterów takich filmów jak *Egzorcysta*, *Amyville* czy *The Demonologist*. Rozwiązania proponowane w tych filmach, o ludziach znajdujących się w niewoli demonów, przerażają beznadzieją. Ukazują one chrześcijaństwo niczym przesądne pogaństwo, które traktuje swoje symbole i wierzenia jak fetysze i wzywa imienia Pańskiego na daremno. Pomimo ukazania w nich religijnej żarliwości, w ogóle nie wspominają one jednak o Jezusie jako Panu i Zbawicielu, a próby uwalniania osób prześladowanych przez demony kończą się tam tak samo jak wysiłki synów Scewy. Ci żydowscy egzorcyci, ujrawszy jak napełnieni Duchem Świętym chrześcijanie z mocą używali imienia Jezusa, dodali je po prostu do repertuaru swoich zaklęć. Demon którego próbowali przepędzić rzekł do nich: *"Jezusa znam i wiem kim jest Paweł, a wy coście za jedni?"*, po czym ich pobił i poranił (Dz 19:13-16). Nie zapominajmy, że istnieje piękna strona zła, złudna, subtelna, tworząca złudzenie duchowej doskonałości, ale pochodząca wprost z piekła tak samo, jak każde inne szatańskie kłamstwo. Ale do nas, którzy uwierzyliśmy, powiedziano: *"Wy, dzieci, jesteście z Boga i zwyciężyliście ich, ponieważ większy jest Ten, który w was jest, od tego, który jest w świecie (1J 4:4). "A modlę się o to, aby miłość wasza doskonalila się coraz bardziej i bardziej w głębszym poznaniu i wszelkim wycuciu dla oceny tego, co lepsze, abyście byli czysti i bez zarzutu na dzień Chrystusa, napełnieni płonem sprawiedliwości, [nabytym] przez Jezusa Chrystusa ku chwale i czci Boga" (Fil 1:9-11)*. Niechaj Bóg udzieli nam łaski i mądrości w tych ostatnich dniach, abyśmy potrafili postępować jak dzieci Światłości.

"Ci fałszywi apostołowie to podstępni działacze, udający apostołów Chrystusa. I nic dziwnego. Sam bowiem szatan podaje się za anioła światłości. Nic przeto wielkiego, że i jego słudzy podszywają się pod sprawiedliwość. Ale skończą według swoich uczynków." (2Kor 11:13-15).

"A są to duchy czyniące znaki - demony, które wychodzą ku królom całej zamieszkaney ziemi." (Ap 16:14).

"Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i działać będą wielkie znaki i cuda, by w błąd wprowadzić, o ile to możliwe, także wybranych." (Mt 24:24).

"Wielu Mi powie w owym dniu; Panie, Panie, czy nie prorokowaliśmy mocą Twojego imienia i nie wyrzucaliśmy złych duchów mocą Twojego imienia, i nie czyniliśmy wielu cudów mocą Twojego imienia? Wtedy oświadczę im: Nigdy was nie znałem; Odejdźcie ode Mnie wy, którzy dopuszczacie się nieprawości." (Mt 7:22-23).

PRZYPISY

- 1) Źródło nieznane
- 2) ang *Bre'r Rabbit* - zniekształcone "*brother rabbit*" - brat królik
- 3) T.S. Eliot "Ziemia jałowa", przekład Czesław Miłosz
- 4) "Gdy wejdiesz do kraju, który ci daje Pan, Bóg twój, nie ucz się popełniania tych samych obrzydliwości, jak tamte narody. Nie znajdzie się pośród Ciebie nikt, kto by przeprowadzał przez ogień swego syna lub córkę, uprawiał wróżby, gusła, przepowiednie i czary; nikt, kto by uprawiał zaklęcia, pytał duchów i widma, zwracał się do umarłych. Obrzydliwy jest bowiem dla Pana każdy kto to czyni. Z powodu tych obrzydliwości wypędza ich Pan, Bóg Twój, sprzed twego oblicza. Dochowasz pełnej wierności Panu, Bogu swemu. Te narody bowiem, które ty wydziedziczysz, słuchały wróżbitów i wywołujących umarłych. Lecz tobie nie pozwala na to Pan, Bóg twój" (Pwt. 18:9-14). "Także przeciwko każdemu, kto się zwróci do wywołujących duchy albo do wróżbitów, aby uprawiać z nimi nierząd, zwrócę oblicze i wyłączę go spośród jego ludu" (Kpł 20:6). "Jeżeli jakiś mężczyzna albo kobieta będą wywoływać duchy albo wróżyć, będą ukarani śmiercią". (Kpł 20:27). "Nie pozwolisz żyć czarownicy" (Wj 22:17)
- 5) Orange Cherry Media - 1981-1982 Catalog for grades k-8 (Katalog dla klas od przedszkolnych do ósmych na rok 1981-1982), str. 5. Wydawca: Orange Cherry Media. 7 Delano Drive, Bedford Hills, New York 10507
- 6) C.S. Lewis "Listy starego diabła do młodego", Instytut Wydawniczy PAX W-wa 1990, str. 19
- 7) Biskup James A. Pike *The Other Side*, (Doubleday [end] Company, Inc. 1968). str. 147
- 8) Pike, *The Other Side*, str. 284.
- 9) Pike, *The Other Side*, str. 373.
- 10) Pike, *The Other Side*, str. 383.
- 11) Zob. Walter Martin "Kingdom of the Cult", rozdział zatytułowany "The Jesus of the Cults".
- 12) Paul E. Little "Knoty What You Believe", Victor Books, 1970.
- 13) Jody Dillow "Speaking in Tongues" (Zondervan, Grand Rapids, MI, 1975), str. 173.
- 14) Merrill f. Unger "What Demons Can Do to Saints" (Moody Press, Chicago, IL, 1977) str. 81-84.
- 15) Kurt E. Koch "Strife of Tongues", str. 31,34. (Kregel Publications, Grand Rapis MI 1966) str. 25-28.
- 16) Kurt E. Koch "Strife of Tongues", str. 33-34.
- 17) Kurt E. Koch "Strife of Tongues", str. 31.
- 18) Kurt E. Koch "Strife of Tongues", str. 31.
- 19) Hal Lindsey "Satan is Alive and Well on Planet Earth" (Bantam, Nety York, 1972), str. 137-149.
- 20) Hal Lindsey, *Ibid.* str. 134.
- 21) Słyszałam, jak na jakimś spotkaniu przytoczono to zdarzenie jako wspaniały przykład swobody i "braku zahamowań, które osiąga się dzięki Duchowi Świętemu".
- 22) Merrill F. Unger "Unger's Bible Dictionary" (Moody Press, Chicago, IL, 1961), str. 890-893.
- 23) Hobart E. Freeman "An Introduction to the Old Testamensts Prophets" (Moody Press 1968), str. 110.
- 24) Kurt E. Koch "Occult Bondage and Deliverance" (Kregel Publications, 1968), str. 100.
- 25) Kurt E. Koch "Occult Bondage and Deliverance", str. 98—99.